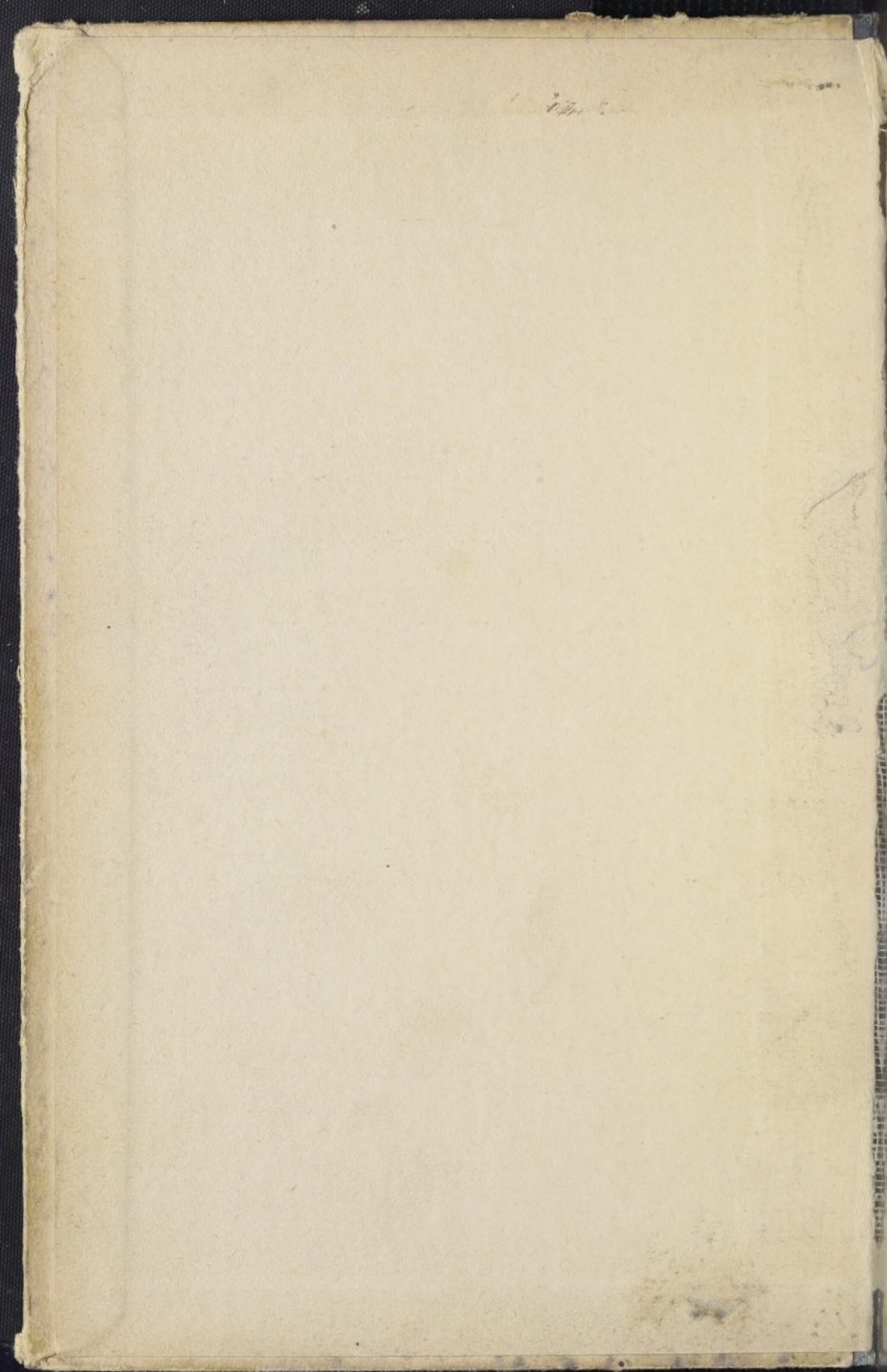


407.467
WALERY PRZYBOROWSKI



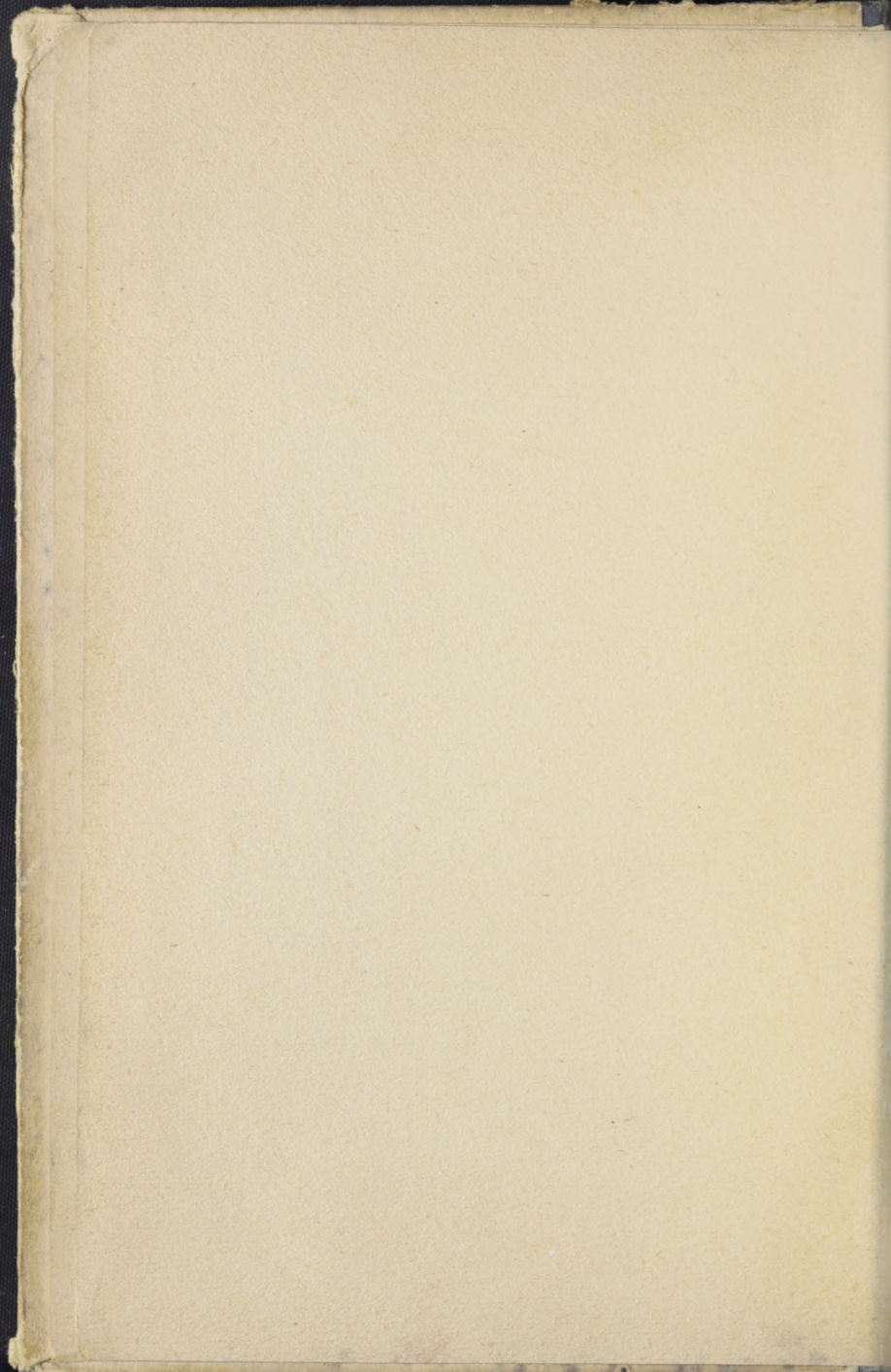
KRÓL KRAK I
KRÓLEWNA WANDA



Od dygi- dla kamini
kawał, 24. II. 1937.

1.467.467

4-



KRÓL KRAK i KRÓLEWNA WANDA

THE END OF THE WORLD

hoo, -
WALERY PRZYBOROWSKI

KRÓL KRAK i KRÓLEWNA WANDA

OPOWIADANIE PRZEDHISTORYCZNE
DLA MŁODZIEŻY

Z WINIETĄ OKŁADKOWĄ I CZTEREMA ILUSTRACJAMI
WEWNĘTRZNYMI PROF. STAN. SAWICZEWSKIEGO

WYDANIE NOWE



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN



I 1.467.467



TŁOCZONO W Drukarni Św. Wojciecha w Poznaniu
na papierze z własnej fabryki papieru „MALTA”.
ILUSTRACJE WYKONANO TECHNIKĄ ROTOGRAWUROWĄ
W ZAKŁADACH WŁASNYCH.

1989 k 365/183

I.

Żubry w puszczy.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Jego czerwone promienie przedzierały się ukośnie przez gąszcz olbrzymich drzew wielkiego lasu i oświecały wąską ścieżkę, którą jechał co koń wyskoczy jakiś młodzieniec. Koń coprawda był dzielny, mały, krępy, o nader rączym i pewnym biegu, co było rzeczą ważną, bo ścieżka była wąska, wijąca się śród lasu jak wąż, zawalona tu i owdzie ogromnemi pniami wywróconych drzew lub mnóstwem gałęzi.

Na koniu tym, naoklep, na pustym worku parcianym, bez strzemion, siedział młody mężczyzna z gołą głową, pokrytą tylko bujnemi kędzierzawemi jasnymi jak len włosami. Jeździec miał na sobie kożuch barani, przewiązany czerwonym pasem, od którego na rzemykach zwieszał się krótki miecz niemiecki, prosty i oboieczny, bez pochwy. W mieczu tym od czasu do czasu przeglądał się krwawy promień zachodzącego słońca, rzucając dokoła olśniewające blaski. Prócz miecza uzbrojenie młodzieńca stanowił wielki łuk przerzucony przez plecy

i kołczan suto zaopatrzone w strzały. Ubranie zresztą jeźdźca było bardzo ubogie. Oprócz kożucha, który sięgał do kolan, nie miał on nic więcej na sobie. Stopy tylko ukryte miał w łapciach z kory lipowej, przywiązanej do nogi rzemieniami.

Wieczór był ciepły, bo był to początek czerwca. W ogromnym lesie panowała poważna cisza, którą przerywał jedynie brzęk komarów, much i chrabąszczy. Gdzieś z głębi puszczy odzywał się głos kukułki, lub krzyk żorawi. Powietrze, nieodświeżane najłżejszym nawet wietrzykiem, było parne, przesiąknięte duszącym zapachem roślinnym i żywicznym. To też jeźdźcowi widocznie w dużym kożuchu i przy natężonym biegu było bardzo gorąco, bo od czasu do czasu ocierał ręką pot kroplisty, spływający mu po twarzy, i odgarniał bujne kędzierzawe włosy. Wówczas ukazywało się jego białe czoło, różniące się wyraźnie od reszty mocno opalonej twarzy.

Koń pędził ciągle wyciągniętym galopem, omijając zręcznie gromady gałęzi, leżących na ścieżce, przeskakując ze zwinnością wiewiórki zawalające drogę kłody drzew. Wśród ciszy leśnej tętent kopyt rozlegał się daleko.

Jeździec od czasu do czasu prostował się na koniu i rzucał dokoła niespokojnym wzrokiem, jakgdyby pragnął przebić ciemności, zalegające powoli głęb puszczy. A puszcza to była stara i wielka. Olbrzymie dęby, klony, buki i jawory

szumiały poważnie, sięgając szczytami swych koron wysoko. U ich stóp, z pod gromady liści i gałęzi, darło się pod słońce mnóstwo drobniejszych drzewek, krzaków i roślin. Ze szczytu drzew, na odgłos biegnącego konia, zrywały się z krzykiem wrony i kawki, żórawie i jastrzębie, które, wzbiwszy się wysoko, pokołysały się na swych skrzydłach pod ciemnym lazurem wieczornego nieba i znów siadały na wierzchołkach drzew.

Tymczasem słońce zaszło i noc zapadała w lesie szybko. Jeździec zwolnił biegu, odgarnął włosy, zasłaniające mu wzrok, i coraz niepokojniej oglądać się począł dokoła. Las stawał się coraz gęstszy, ciemność była coraz większa i wkońcu koń, widocznie nie wiedząc gdzie iść, stanął. Jeździec, dotąd milczący, mruknął coś pod nosem i pochylił się na kark konia, widocznie upatrując drogi. Gdy jednak z powodu ciemności nic zobaczyć nie mógł, żwawo zeskończył z konia i, klękawszy na ziemi, pilnie począł się w niej rozpatrywać.

— Na Perkuna! — mruknął — pobłądziłem.

Powstał, wyprostował się i ruszył do najbliższego dębu, który obmacał dokoła rękami. Gęsta warstwa mchu, pokrywająca zwykle drzewa od strony północnej, dała mu mniej więcej pojęcie, w którą stronę winien jechać, żeby się dostać do celu swej podróży. Ale widocznie nie była to dla niego wielka pociecha, bo ze spuszczoną głową, zamyślony głęboko, już zamierzał

dosiąść swego konia, gdy nagle ten, strzygąc niespokojnie uszami, zarżał głośno i rwać się począł.

W lesie panowała już zupełna nierozjaśniona niczem, nieprzejrzana ciemność. Jeno w górze, gdyby jeździec nasz zadarł dobrze głowę, można było dostrzec z poza zbitych koron drzew płatki jasnego nieba. Przytem, jak zwykle nocą, zerwał się chłodny wiatr i pognał po lesie, napęlniając go szumem i trzaskiem. W głębi puszczy nie ustawały krzyki żórawi i innego ptactwa, ponure hukania puszczyka i ryk dzikiego zwierza. Wszystkie te odgłosy, odbijając się echem od dębów do dębów, od buków do buków, rosły w coraz większą siłę, coraz dzikszy i straszniejszy przybierały charakter.

Nie dziw więc, że jeździec ów, spostrzegłszy niespokojne zachowanie się konia, mimowolnie obejrzał się trwożliwie dokoła i sięgnął ręką po miecz. Po chwili jednak uspokoił się trochę, gdyż jeżeli puszcza wrzała teraz tysiącem głosów, to jednak odzywały się one zdaleka, a zbliżona nic nie zdradzało niebezpieczeństwa. Pogłaskał więc ręką kark konia i nagle, jakby uderzony jakąś myślą, rzucił się na ziemię, przykładając do niej ucho.

Ale nie potrzebował już tego. W tej chwili bowiem po puszczy rozległ się trzask okropny, huk głuchy i wrzawa, jakby szedł huragan straszliwy i druzgotał stuletnie dęby. Ziemia przytem drżała i dudniała, jakby przez puszcze rwa-

ły w szalonym pędzie całe setki koni i ludzi. Z pośrodku tej wrzawy od czasu do czasu wybiegał donośny, krótki, urywany, niemniej przeto straszny ryk, z początku jeden, potem powtórzony przez tysiące innych. Puszcza zdawała się zamieniać w piekło.

Przez chwilę młodzieniec stał jak skamieniały, wsłuchując się w tę dziką wrzawę, zbliżającą się ku niemu ciągle, potem nagle oprzytomniał i chciał skoczyć na konia, który coraz niespokojniejszy szarpał się gwałtownie, stawał dęba i wierzgał. Ale było za późno. Łoskot i wrzawa, rosnąc ciągle, były już bardzo blisko. W głębi lasu, wśród jego ciemności, posuwała się gwałtownie jakaś czarna, olbrzymia masa. Koń w tej chwili, przerażony do najwyższego stopnia, szarpnął się tak gwałtownie, że wyrwał się z rąk jeźdźca i rżąc pognał w szalonym pędzie, przeskakując przez pnie, rozbijając się o drzewa, i znikł w ciemności leśnej. Jeździec został sam.

Przez chwilę stał on jak oszołomiony, z twarzą zwróconą w kierunku uciekającego konia, ale gdy owa ciemna masa już była tak blisko, że rozróżnić ją można było, gdy z pośrodku czarnego lasu migotać zaczęły jakieś krwawe ogniki, młodzieniec oprzytomniał i szepcąc:

— Żubry! żubry! — ze zrećczością, zdwojoną niebezpieczeństwem, wdrapał się na najbliższe drzewo.

Czas już był wielki, gdyż właśnie z głębi czarnego lasu, z trzaskiem łamanych gałęzi,

z głuchem dudnieniem, z rykiem dzikim pędziła jak szalona gromada żubrów. Pyszne te zwierzęta, z rogami zakrzywionemi, z grzywami na karkach, rwały naprzód, tratując wszystko przed sobą. Na ich czele posuwał się wspaniały żubr stary, z nozdrzami szeroko rozwartemi, jakgdyby węszył i upatrywał, czy niema gdzie w pobliżu nieprzyjaciela. Potrzasał on groźnie grzywą, którą wiatr rozwiewał, a racicami wyrzucał ziemię, trawę, krzewy i korzenie w górę. Niekiedy w przystępie gniewu porywał na zakrzywione rogi drobne krzaki lub młode drzewka, które napotykał na drodze, wrywał je, traktował z głuchym rykiem nogami i potem, jak kamień rzucony z procy, ciskał w górę. Oczy świeciły mu się jak dwa ogniki.

Za nim ścieśnioną gromadą biegły inne żubry, popychając się, rycząc strasznie, potracając się o drzewa. Posuwały się one z wielką szybkością. Młodzieniec, patrząc na nie ze szczytu staro-
go dębu, ukryty w jego liściach i gałęziach, pytał się samego siebie, dlaczego te żubry tak pędzą jak szalone? Czyżby ścigał je jaki zwierzę straszniejszy od nich? Ale czyż jest taki zwierzę w puszczy, którego by się żubry obawiać mogły, zwłaszcza jeżeli są w tak licznej gromadzie? Nie: one pędzą do wody, która musi stąd być niedaleko.

Ta myśl przypomniała młodzieńcowi, że i on ma pragnienie, trapiące go od południa jeszcze, a którego, wjechawszy w tę wielką puszcę, do-

tać ugasić nie mógł. Postanowił więc zejść z drzewa i za śladem żubrów ruszyć, by tym sposobem dostać się do wody. Woda zresztą mogła go wyprowadzić na dobrą drogę z tej puszczy: nad wodą zwykle mieszkają ludzie, u których przecież będzie można dopytać się o gościniec. Przytem zimno było w nogi nagie i niczem nieosłonięte. Z głębi puszczy, z ziemi nigdy nieogrzewanej słońcem, dzięki gęstości drzew i ich liści, tworzących niejako zielone sklepienie nad ziemią, wydobywały się teraz nocą mgły wilgotne i chłodne, które chłopaka przenikały do kości. Był głodny, spragniony i zmęczony. W worku na koniu zostawił kawałek podpłomyka i krajanekę sera, ale koń z workiem uciekł i jeść nie było co. Brała go ochota, kiedy tak siedział na szczycie dębu, a u stóp jego przebiegała czarna masa żubrów, naciągnąć łuk, który miał na sobie i posłać tym ryczącym zwierzętom jedną lub dwie strzały. Ale strzałą żubra nie zabije — dał więc pokój. Bądź co bądź trzeba było pójść przedewszystkiem za żubrami, żeby odnaleźć wodę, choć kropelkę wody dla ust spragnionych.

Już zamierzał zsunąć się z drzewa, kiedy nagle spostrzegł w pomroce nocnej przepysznego jelenia, zabiegającego drogę żubrom. Przestraszony zwierz o rozłożystych prześlicznych rogach, napotkawszy gromadę żubrów, przeraził się tak, że zamiast szukać ocalenia od niechybnej śmierci w ucieczce, stanął i dużemi swemi

oczami wpatrzył się w rwące ku niemu żubry. W jednej chwili przez pędzącego na czele wodza gromady starego żubra został porwany na rogi i wyrzucony z taką siłą, że padł, tłukąc się o drzewa, o kilkanaście kroków w bok zaciekłych zwierząt. — Będzie co jeść! — pomyślał młodzieniec i zręcznie a lekko zsunął się z drzewa. Przedewszystkiem pobiegł do jelenia, który złany posoką, potłuczony okropnie dyszał jeszcze. Jednym pchnięciem miecza dobił biedne zwierzę, wyciął cały comber i zostawiając resztę na pastwę dla wilków i kruków, ruszył za żubrami, których ślad w lesie nawet w nocy rozpoznać można było po stratowanych krzakach i powyrywanych młodych drzewkach.

Niedługo jednak iść potrzebował. Uszedłszy bowiem kilkaset kroków, spostrzegł bielejącą wstęgę rzeki. Ucieszyło go to niezmiernie, gdyż umierał z pragnienia. Ale właśnie żubry, napiwszy się, wracały ze zwykłym sobie trzaskiem i rykiem. Trzeba znowu było drapać się na drzewo, aby uniknąć wcale niepożądanego spotkania i czekać, aż cała ta gromada przeleci.

Nakoniec uciszyło się w puszczy. Trzask i ryk żubrów coraz bardziej się oddalał, cichł i nareszcie zupełnie ucichł. Znowu tylko szum drzew było słyhać i huk puhacza. Dzieciół gdzieś daleko głośno stukał swym długim dziobem w wypróchniałe drzewo.

Młodzieniec, dźwigając na sobie comber jeleni, żwawo ruszył ku rzece. Wiła się ona niby

srebrna wstęga w korycie dość zagłębionem wielkim pędem. Po obu stronach miała piaszczyste wzgórza, zarosłe wikliną i wierzbami, ale że wysokich drzew nie było, więc gwiazdy dawały jakie takie światło i śliczna noc letnia rozlegała się dokoła tysiącem nieuchwytnych szmerów.

Młodzieniec, zstępując ku rzece, zastanawiał się nad tem, coby to za woda była, i prawie był pewny, że to Wisła.

— Jeżeli to Wisła, to i Kraków niedaleko.

Położywszy się na brzuchu na brzegu, napił się wody dosyta, czerpiąc ją garściami. Potem wstał i oglądając się dokoła, począł rozmyślać, coby mu teraz czynić należało. Nad wodą unosiła się biała mgła i nie pozwalała daleko sięgnąć okiem. W trzcinie rozlegał się krzyk ponury byka i żaby gdzieś na bagnisku przybrzeżnem rechotały. Po trzasku i huku, jaki przed chwilą brzmiał w puszczy, otoczyła teraz naszego podróżnego cisza nocy letniej ze swemi głuchemi głosami i szmerami.

II.

Nawodne mieszkanie.

Powoli noc coraz głębsza i ciemniejsza zapadać poczęła, a z nią cichły te tysiączne szmery natury, które tyle poezji nadają nocom letnim w naszym kraju. Mgła nad rzeką opadła nisko i zakryła wszystko sobą, tak że widać było tylko szczyty drzew przeciwnego brzegu. Reszta rozpływała się we mgle.

Młodzieniec, napiwszy się wody w rzece i odpocząwszy sobie nieco, począł przemyśliwać nad tem, w jaki sposób teraz zająć się przygotowaniem pieczystego z combra jelenia, combra, który tak dziwnym i niespodziewanym sposobem dostał się do rąk jego. Ognia nie było znów tak trudno rozniecić i nie o to mu szło, ale lękał się, by dym i blask nie zdradził jego samotnego pobytu w tej puszczy, leżącej na kraju Morawy i Śląska i zażywającej złej sławy. Mówiono, że kryje się w niej mnóstwo zbójców, którzy napadają i rabują podróżnych i kupców, przedzierających się tędy ku Krakowu. Żeby to jeszcze tylko rabowano, to mniejsza, ale zabijano. Młodzieniec nie miał wiele do stracenia, bo oprócz

kożucha i miecza nic na nim nie było, ale i kożuch w onych czasach był coś wart, a miecz niemiecki był rzeczą bardzo nawet cenną. Mogli się więc na niego zbójcy złakomić.

Z drugiej jednak strony niepodobna było wytrzymać całą noc bez ognia, wśród tego chłodnego i wilgotnego powietrza, wobec dzikiego zwierza, którego ponure ryki w miarę posuwania się nocy rozlegać się poczęły po puszczy; niepodobna nakoniec nic nie jeść, mając na sobie wyborny comber jeleni. Chłopak cały dzień nic prawie w ustach nie miał, boć kawałek podpłomyka i sera nic nie znaczyło, i głodny był bardzo. Bądź co bądź, postanowił rozpalić ognisko, wyszukawszy wprzód jakie dogodne potemu ukryte miejsce nad rzeką.

Obejrzał się dokoła i z wielką ostrożnością, starając się jak najmniej robić szelestu, posunął się wdół rzeki kilkanaście kroków, upatrując jakiego wąwozu lub zagłębienia w brzegu, mocno przez wodę poszarpanym. Wiatr szumiał po puszczy i mgła coraz gęstsza się stawała. Wkrótce nawet na parę kroków młodzieniec nasz nic dojrzeć nie mógł. Szedł jednak wolno, ostrożnie, nad słuchując pilnie, baczny na najmniejszy podejrzaný szelest, z wprawą człowieka obeznanego ze wszystkimi tajemnicami i niebezpieczeństwami olbrzymich ówczesnych lasów.

Nagle zatrzymał się i nadstawił uszu w kierunku rzeki. Zdawało mu się, że usłyszał jakies głosy ludzkie, pochodzące jakgdyby ze środka

ukrytej w nieprzeniknionej mgłę wody. Istotnie, rozlegały się tam jakieś głosy ludzkie, jakieś nawoływania, okrzyki. Rzeka widać w tym miejscu rozszerzała się znacznie, gdyż nie było widać drzew, a raczej ich wierzchołków, z przeciwnego brzegu. Wszystko pokrywała jedna wielka szara płachta mgły, kłębiącej się pod wiatrem.

Młodzieniec, wiedziony instynktem obrony przedewszystkiem, ukrył się w wiklinie i pilnie wzrok wlepił w stronę, skąd dochodziły te głosy, mogące zwiastować tak dobrze niebezpieczeństwo jak pomoc. W ciszy nocnej po wodzie dobiegały go wyraźnie te głosy męskie, grube i silne, jakgdyby rozmawiało kilka osób. Głosy te ciągle wychodziły z jednego miejsca, co dowodziło, że rozmawiający nie płyną na łodzi, ale stoją na środku rzeki. Do mężczyzn dołączył się wkrótce płacz dzieci i krzyki kobiece. Zaraz też potem ukazało się kilka światełek, które przyćmione przez mgłę, wyglądały jak czerwone jakieś ogniki.

Teraz podróżny nasz wiedział, czego się już ma trzymać. Rzeka w tym miejscu rozlewała się bardzo szeroko, tworząc małe jezioro, na którem znajdowała się osada, czyli tak zwane mieszkania nawodne. Postanowił się do nich dostać, choćby dlatego, żeby zasięgnąć języka. Co postanowił, to i zrobił. Szybko zrzucił ze siebie kożuch, związał go pasem koło combra jeleniego i to wszystko przymocował sobie do



.. a potem zaczął płynąć....

Król Krak i kr. Wanda.)

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

grzbietu. Miecz, kołczan i łuk umieścił tam także.

Tak przygotowany wszedł w rzekę, która mocno ogrzana przez cały dzień, cieplejsza była od otaczającego powietrza. Postępował póty, póki czuł grunt pod nogami, a potem począł płynąć. Wkrótce z mgły wyłoniła mu się czarna masa jakichś budynków, liczne ogniska i ludzie kręcący się koło nich, krwawo oświeceni w ogniu i widocznie zajęci połowem ryb.

— Hop! hop! — począł krzyżeć nasz podróżny.

Okrzyk ten wprawił wszystkich w niemałe zamieszanie. Kobiety i dzieci z wrzaskiem puciekały i pochowały się do mieszkań, mężczyźni chwycili łuki, oszczepy i z natężeniem wpatrywali się w ciemną wodę, zakrytą oponą mgły.

— Hop! hop! — powtórzył młodzian.

Wtedy jeden z mężczyzn, olbrzymiego wzrostu, zarośnięty cały, na pół nagi, okryty tylko kawałem skóry niedźwiedziej, uzbrojony w łuk i krótki oszczep, pochylił się nad wodą i huknął głosem grubym, odważnym:

— A kto tam?

— Swój — odrzekł młodzian, płynąc wciąż.

— Co za swój?

— Zbłądziłem w puszczy. Poratujcie mnie, władzyko!

— Ilu was tam jest?

— Jeden tylko.

Wtedy mężczyzna ów olbrzymi, którego nasz młodzian nazwał władyką dlatego, że zdawał się być najstarszym między zebranymi na pomoście, szepnął coś do otaczających. Zaraz kilku młodych rzuciło się do łodzi i popłynęli ku naszemu podróżnemu. Z wielką ostrożnością zbliżali się do niego. Dwóch wiosłowało a trzech stało w łodzi, trzymając łuki naciągnięte i ręce na cięciwach. Gdy się jednak przekonali, że na rzece znajduje się tylko jeden człowiek, dopomogli mu do wdrapania się na wątlą łódkę i otoczywszy go zaraz, nic nie mówiąc, popłynęli ku osadzie. Tu po drabince spuszczonej do łodzi wprowadzili naszego bohatera na pomost, trzymając go pod ręce.

Zaraz go otoczyła gromada uzbrojonych mężczyzn, zarośniętych, w części w baranich czapkach, a w części z gołemi głowami, napół nagich, czarnych, brudnych, dzikich, uzbrojonych w łuki, oszczepy, maczugi drewniane nasadzone ostremi krzemieniami, dzidy i miecze nawet. Z chat a raczej szałasów powysuwały się dzieci nagie, chude, brudne, kobiety mizerne i o dzikim wejrzeniu. Wszystko to cisnęło się do młodzieńca, oglądało go z ciekawością, piszczało, popychało się, krzyczało.

Nakoniec ów najstarszy olbrzym, zwany przez naszego podróżnego władyką, krzyknął dumnie, by się uciszono. Zapanowało głębokie milczenie. Władyka obrzucił od stóp do głów

swemi dużemi niebieskiemi, ale pełnemi dzikości oczyma naszego podróżnego i zapytał:

— Skąd jesteś?

— Z Krakowa.

Wywołało to ogólną ciekawość. Wszyscy baczniej słuchać poczęli.

— Ja wiem, co to jest Kraków — rzekł na to władyka — ja tam raz byłem. Jest to gród na wysokiej górze, a w grodzie tym mieszka król.

— Tak, król Krak.

— On jest mocarz wielki, ma dużo ludzi zbrojnych i niewolników. Ja go widziałem, jak jechał na białym koniu w złocistych szatach z ogromnym mieczem u boku.

— Tak, on jest bardzo mocny — odrzekł młodzieniec.

— A co ty tu robisz?

— Ja jestem sługa królewski i jego poseł. Król wysłał mnie tam, daleko na wschód słońca za tą puszcza jeszcze i za górami, bym patrzył z drużyną, czy Niemcy nie idą.

— A jak się ty nazywasz?

— Zabój.

— To tak, jak ja! — ozwał się któryś z gromady.

— Cicho tam! — ryknął władyka. — I dokądże ty teraz idziesz? — zapytał, zwracając się do Zabója.

— Do Krakowa, do króla. Niemcy idą z mieczem i ogniem, więc jadę oznajmić o tem królowi.

— Czy to straszny naród te Niemcy i dużo ich jest?

— Jak gwiazd na niebie — zawołał Zabój. — Mają na głowach wielkie hełmy żelazne i takie oto miecze, jak mój.

Poczęto więc oglądać skwapliwie miecz jego, który był wielki i ciężki.

— Skądże ty masz taki miecz? — pytał władyka.

— Od Niemców. Zabiłem jednego i zabrałem mu ten miecz.

Wywarło to wielkie wrażenie. Zabicie jednego z Niemców, których wprawdzie tu w głębi puszczy nie znano, ale o których przecież słyszano, wydało się zebranym czemś bohaterkiem. Zabój teraz wyglądał tu na prawdziwego bohatera, na istotę wyższą od wszystkich obecnych.

— A czemże go ty zabiłeś? — pytał władyka.

— Z łuku. Wsadziłem Niemcowi strzałę w samo ślepie, a potem go maczugą przez łeb palnąłem i padł jak długi.

— Ho! ho! a gdzież te Niemcy są?

— Nie bój się, przyjdą tu oni do ciebie, nie trzeba ich szukać. Powiadam ci, że idą z wielką mocą na Kraków i jeno ich patrzeć, jak tu przy-
leżą, bo oni zawsze idą nad rzekami, żeby mieli co pić i czem konie poić. A gdzie jeno ludzi spo-

tykają, zaraz ich zabijają, zabierają wszystko lub pałą.

— I możność, że oni tu przyjdą?

— A nie inaczej.

— Ho! ho! — zafrasował się mocno władyka — a daleko oni jeszcze?

— Jeszcze daleko, ale będą tu, nim miesiąc dwa razy powróci. Wojewoda ich nazywa się Rytygierz.

Władyka słuchał tego wszystkiego, ale udawał, że go to niewiele obchodzi. Podczas całej tej rozmowy dzieci i kobiety już powychodziły z chat i pilnie przyglądały się rzadko widzianemu gościowi. Młodsze coprawda pochowały się i tylko przez drzwi lub dziury w ścianach spoglądały, ale starsze otoczyły kołem Zaboja, popodpierały brody na rękach i patrzyły w niego jak w tęczę.

— A czegoż ty tu chciałeś, żeś płynął przez wodę do nas? — pytał dalej władyka.

— Ano cóż! pobłądziłem w puszczy, napadły mię żubry, koń ni uciekł. Więc zobaczywszy was, popłynąłem, żebyście mi drogę wskazali i jeść co dali, bom głodny. A oto mam kawał mięsa jeleniego — niech niewiasty upieka.

Rozwinął tobolek swój i rzucił ów comber, z którym dotąd nic nie mógł zrobić.

— Dobrze, niech tam upieka zaraz — rozkazywał władyka. — A ty, Zaboju, rozgość się

u nas. Gość w dom, Bóg w dom. Zaraz ryb nałowimy. No! hej! do roboty!

Chwycono zaraz sieć i zarzucono ją na wodę. Zabój zmęczony tymczasem usiadł sobie na pomoście i oglądał się dokoła. Wszystko tu dla niego było ciekawe, gdyż w owych czasach takie mieszkania na wodzie były już wielką rzadkością i tylko gdzieś w głębi olbrzymich puszczy się znajdowały, zdaleka od gościńców i dróg. Budowano je dlatego, żeby się ustrzec od napadu nieprzyjaciela i dzikiego zwierza. W tym celu wbijano pale w dno rzeki tak, żeby wystawały nad wodą, na te pale kładziono pomost z desek, a na deskach wznoszono rzędem chaty lub tylko szałas. Była to zwykle cała osada, złożona z kilkunastu rodzin. Z łodem taką osadę łączył wąski mostek, który na noc zdejmowano.

Wszystko to obejrzał Zabój, gdyż raz tylko w życiu, na Morawie, widział taką osadę i to zdaleka, więc był bardzo ciekawy całemu porządkowi tutaj. Ale nie śmiał zaglądać do środka chat, żeby nie wzbudzić podejrzenia.

Tymczasem ryb nałowiono i comber kobiety upiekły. Wszyscy mężczyźni usiedli do uczyty. Rękami urywali kawałki mięsa i jedli.

— Pokażecie mi jutro drogę do Krakowa, władko? — pytał Zabój.

— Czy ja wiem, którędy to do Krakowa. Pojedziemy jutro do gontyny tam w puszczy i spytamy się starców. Oni ci pokażą drogę.

Nie było co robić, zgodzić się trzeba było na ten projekt, który Zabojowi wcale nie był do smaku. Widocznie chciano się poradzić kapłanów, co z nim zrobić. Tymczasem zjedzono comber i ryby do szczytu i za chwilę cała osada spała snem głębokim.

III.

Gontyna.

Różowy świt dobrze już zarumienił niebo, kiedy Zabój obudzony krzątaniem się koło niego otworzył oczy. Kobiety rozkładały już ogniska, koło których kręciła się gromada dzieci, a mężczyźni tuż nad wodą oczyszczali pomost i ustawiali ławy proste, drewniane. Dzień robił się prześliczny i gorący. Mgły, unoszące się nad rzeką, powoli opadały i miotane lekkim wietrzykiem kłębiły się, zwijały i nikły. Puszcza, której ciemnozielone głębie otaczały z obu stron rzekę, szemrała i grzmiała tysiącem głosów budzącego się dnia. Wiatr przynosił od puszczy aromatyczną woń żywicy i szeroki, świeży oddech poranku. Pół nieba od wschodu, zakryte u dołu lasem, gorzało purpurą i złotem. Wisła szemrała, a lekki plusk fali, odbijającej się od pali wbitych w dno rzeki, dawał się słyszeć.

Zabój przeciągnął się i żwawo się zerwał na nogi. Spozregłszy stojącego na pomoście i wydającego jakieś rozkazy władzykę, zbliżył się doń i oddawszy mu pokłon, zapytał:

— A kiedy mi pokażecie gościniec do Krakowa?

— Jaki gościniec? — oburknął się tamten, ale zaraz dodał: — Czekaj, zaraz pójdziemy do gontyny i zapytamy się starców. Dziś wiec tam będzie z całego opola i stanąć musisz przed wiecem. Starcy ci powiedzą, co masz czynić i dokąd iść.

Nie w smak to było trochę Zabajowi. Jemu śpieszyło się mocno, by donieść królowi, siedzącemu na gródku w Krakowie, że Niemcy idą, a tu mu każą czekać na postanowienie wieca, czyli sejmu i narady starszych opola. Nie przypuszczał, żeby tu w tej puszczy mogli mieszkać ludzie tak licznie, żeby aż opole tworzyli. Opole bowiem w onych czasach było rodzajem gminy, mającej wspólne grunta i rządzącej się swemi prawami. Ale widać, że tak było i chciał czy nie chciał, Zabaj zgodzić się musiał na to, co mu kazał czynić ów władca, który był jakiś surowy i dziki trochę.

Zająto się tymczasem połowem ryb, a jakaś stara kobieta przyniosła Zabajowi trochę w glinianym garnku świeżego mleka i placek owsiany. Zjadł prędko, bo mu się jeść chciało. Kilku z młodzieży, uzbrojeni w łuki, kołczany, oraz we włócznie i maczugi, siadło do łodzi i zagłębili się w puszczy. Prawdopodobnie poszli polować. W szalasach rozlegał się wesoły śmiech dziewcząt i dzieci, czasem śpiew jakiś o Diedzilli-bogince.

Nakoniec wyruszono na wiec. Władyka i kilku młodzieży, oraz starszych, uzbrojonych w łuki, maczugi, krótkie miecze, w co kto miał, siadło do trzech łodzi. Zaboja oddano młodzieży pod dozór i przepawiono się na brzeg Wisły, przeciwny temu, z którego przybył nasz młodzieniec, i zagłębiano się coraz w puszcę. Posuwano się niezmiernie wąską, ledwie widzialną ścieżynką, przez gąszcz, z którego strącano mokrą rosę poranną. Przebywano kilkakrotnie jakieś moczary, w które Zabój zapadał po kolana. Niekiedy z sitowia zrywały się gęsi dzikie lub żórawie, które krzykiem swoim napełniały brzmiającą tysiącem głosów ciszę puszczy. Młodzież do gęsi strzelała z łuków i parę sztuk ubiła, a nawet jeden młodzieniaszek bezwasy kamieniem rzuconym z procy zabił dużą, tłustą kurkę. Przez gąszcz otaczających ich buków i dębów, przez mnóstwo drobnej roślinności, pnącej się do góry, nie mogło się tu przedostać słońce i cień był mroczny w puszczy, przesiąknięty wilgocią i wyziewami gnijących roślin. Choć dzień był gorący, tu był chłód zupełny, a rosa tak obficie leżała na liściach, że wszyscy podróżni mieli wkrótce mokre włosy niczem nie przykryte. Z głębi puszczy odzywała się kukulka i starsi mówili, że to dobry znak.

Nakoniec przebyto drożynę, wijącą się jak wąż i starannie ukrytą wśród sitowia, jeszcze jedne wielkie moczary, porośłe tu i owdzie karłowatą olszyną, pokryte żółtymi kwiatami ka-

czeńca. Moczary te zakończone były wielkiem usypiskiem z ziemi, na które poczęto się wdrapywać. Był to wał duży i szeroki, porośły bujną trawą i mnóstwem kwiatków, zwanych żabie oczka, oraz ciemnoczerwonemi goździkami. Za wałem tym, gdy się na jego wierzch dostano, ujrzał Zabój dużą polanę bezdrzewną i na polanie tej kilkunastu mężów w słomianych kapeluszach, w kozuchach wywróconych włosem do góry, uzbrojonych w łuki i maczugi, siedzących na trawie, wokoło drewnianego budynku, będącego świątynią, czyli — jak to wówczas nazywano — gontyna. Starcy, wszyscy siwobrodzi, siedzieli w poważnem milczeniu, a w dali pod wałem stała w postawie pełnej uszanowania grupa młodzieży, także zbrojna i szepcąca między sobą.

Sama gontyna był to niewielki drewniany budynek, wzniesiony ze starannie ociosanych belek, pomalowanych na czerwono i niebiesko. Dach kryty był gontami i stąd może nazwa gontyny. Wejście do środka stanowiły drzwi, otoczone dokoła misternie rzeźbionemi ozdobami z drzewa. Drzwi były zamknięte i nad dachem unosiła się gromada gołębi białych, które zrywały się, znów siadały na dachu, gruchając głośno. Słońce, które już dość wysoko się wzniosło, rzucało jasne promienie na gontynę i gorąco tu było bardzo.

Przed samym budynkiem, przed jego drzwiami stał wielki, stary, rozłożysty, z powyginane-

mi konarami dąb, u dołu suchy, u góry tylko ozdobiony koroną zielonych liści. Kora jego czarna, popękana była w wielu miejscach i sam środek tego pysznego odwiecznego drzewa był spróchniały zupełnie. Gromady wróbli kryły się między rzadkimi liśćmi u szczytu, napęliając grodzisko wrzaskliwym świergotem. Całe chmury wron i kruków przebiegały ponad polaną, siałady na okopisku, zrywały się znowu, by z głośnym złowróbnem krakaniem przelecieć ciężko i powoli ponad grodziskiem.

Pod dębem, osłoniony jego konarami i na pół w nich ukryty, stał wielki kamienny, niezgrabnie wyciosany posąg bożka Striboga. Przedstawiał on człowieka, mającego trzy szkaradne z wielkimi czarnymi oczami głowy. Trzy te głowy opasane były pewnym rodzajem przepaski w kształcie trójkąta. Bożek ten, zwany także Strzygą, wyciosany był z piaskowca, niegdyś białego, dziś przez czas i deszcze mocno szerniałego. Tu i owdzie po kamieniu znać było szare pasy od deszczu, który ściekał z gałęzi dębu.

Panowała tu zresztą poważna, niczem niezamąconą cisza około tej świątyni, w całym tem grodzisku, przerywana tylko świergotem wróbli na dębie, gruchaniem gołębi na dachu i krakaniem przelatujących wron. W upale dnia czerwcowego, w tej dolinie niczem nieosłonionej, skwarzyło się powietrze z pewnym, ledwie dającym się uchwycić szmerem, brzęczał bąk czar-

ny z czerwoną przepaską, szukający swego gniazda.

Starcy siedzieli wciąż koło świątyni w poważnym milczeniu, ocierając niekiedy pot kroplisty z czoła wywołany gorącem, ale kożuchów nie zdejmowali. Gdy wszedł do okopiska władcy z Zabojem i swymi towarzyszami, w milczeniu powitano się głowami i władca wraz z paru innymi starszymi siadł w poważnym gronie wiecowem, młodzież zaś otaczając ciągle Zaboja, cofnęła się pod okop.

Nakoniec rozwarły się z trzaskiem drzwi gontyny i na polanę wyszedł kapłan, wysoki, siwy jak gołąb starzec, w wysokiej czapce z bobrowego futra, ubrany w długie, białe z lnu szaty, w postołach z łyka lipowego, dzierżąc w rękę długą laskę, zakrzywioną u góry. Otaczało go trzech innych kapłanów młodszych znacznie, ubranych w takież suknie. Arcykapłan z powagą posuwał się ku siedzącym na ziemi starcom, a wielka jego biała jak mleko broda przy białem ubraniu nadawała mu jakąś nieziemską postać.

Skoro go ujrzeli siedzący, powstali natychmiast i pokłon mu oddali, a on głosem drżącym, opierając się jedną ręką na lasce a drugą wyciągając ku starcom, rzekł:

— Witajcie, kmiecie i władcykowie!

Potem zbliżył się do nich i siadł na wielkim głazie, który tam sterczał wśród bujnie otaczającej go dokoła trawy. Co tam mówiono, Zabój z powodu oddalenia nie słyszał, widział tylko,

jak jeden starzec po drugim powstawał i coś głośno rozprawiał, machając przytem rękami. Wreszcie powstał władyka z osady nawodnej i drapiąc się po swym skudłaczonym ciasnym łbie, prawił coś szeroko, co chwila wskazując na Zaboja. Mowa jego wywołała widocznie wielkie zaciekawienie, bo wszyscy powstawali i zbliżyli się doń, a arcykapłan kilkakrotnie mu przerywał, zadając nowe pytania. Wreszcie władyka zwrócił się ku Zabajowi i krzyknął swym grubym donośnym głosem:

— Hej, Zabój! sam tu! bywaj!

Popchnęło naszego Zaboja zaraz kilku z młodzieży. mówiąc mu, żeby ruszał na wiec, bo go starsi wołają. Poszedł więc trochę z strachem i stanął w poważnem tem kole, które mu się teraz ciekawie przypatrywało. Ten i ów nawet podszedł do niego i dotykał się jego długiego niemieckiego miecza, dziwiąc się jego wielkości.

— Parobku — ozwie się nakoniec swym drżącym głosem arcykapłan — skąd wiesz, że Niemcy idą?

— Bom ich widział. Kupą wielką walą. Na to mnie król Krak wysłał, bym patrzył, czy Niemcy nie idą.

— I tedy, mówisz, iść będą?

— A jużcić, że tedy. Którędyżby szli? Oni zawždy nad wodami idą, bo w puszczyby pobłądzili, jak ja pobłądziłem, choćem swojak.

— A jak ty się zowiesz?

— Zabój.

— Ja nie o to się pytam. Twój ród jak się zowie?

— A no... ja jestem Chrobata... my tam wszyscy Chrobaci.

Tedy starzec oparł siwą głowę na rękę i począł myśleć. Teraz Zabój mógł mu się dokładnie przypatrzeć. Był on siwiuteńki jak gołąb i łysy zapewne, bo z pod bobrowego kołpaka wymykało mu się niewiele białych długich i cienkich kosmyków. Głos miał drżący a twarz taką pomarszczoną i suchą jak kora na onym starym świętym dębie, który stał przed gontyną. Na rękę, na której głowę swoją wsparł, skóra pofałdowała się zupełnie i podstawała od kości, a palce były długie, suche, pogięte jak szpony u jastrzębia. Głowy już także na karku utrzymać nie mógł i chwiała mu się, jak kwiat maku poruszany wiatrem. Oczy zapadłe, spłowiałe, zasze łzami, podnosił co chwila i wpatrywał się w Zaboja, a suchemi szczękami ciągle ruszał, jakby coś żuł, od czasu do czasu kaszlał sucho i stękał.

— Ilu tych Niemców jest? — spytał znowu.

— Jak liści w boru.

— I ty, parobku, idziesz z tą wieścią o Niemcach do grodu Krakowego?

— Tak, i prosiłbym was, ojcze — pokłonił się Zabój starcowi do kolan — byście mię prędko zwolnili i drogę wskazać kazali.

— Dobrze, zaraz odejdiesz. Dam ci przewodnika i posłanie do króla Kraka. Poczekaj.

Potem, powstając z trudnością, rzekł:

— Kmiecie i władcy, wieszczby zasięgniemy, co nam z Niemcami, którzy tu idą, czynić należy.

I obróciwszy się do swych towarzyszy kapłanów, dodał:

— Włócznie i żrebeca niech wywiodą!

IV.

Wieszczba.

Między obecnymi zrobił się ruch. Jak tylko arcykapłan podniósł się z wielkim trudem ze swego siedzenia, powstali zaraz i wszyscy i ruszono teraz tłumnie, bo i dotąd osobno stojąca młodzież złączyła się z wiecowymi mężami ku gontynie. Wszyscy odkryli głowy, gdy kapłan zdjął swój kołpak bobrowy przed posągiem Strzygi. Oddawszy temu kamiennemu bożkowi kilkakrotny pokłon, wszedł do gontyny, której drzwi zostawił otwarte.

Zaraz z pomiędzy zebranych poczęli występować niektórzy i składać pod drzwiami różne ofiary: ten kure, ów gołębia, tamten cielę, lub jagnię, inny podpłomyk, a jeszcze inny garść krup lub mąki. Koźlatko jakieś rzucone ze związanymi nogami pod gontynę głośno i żałośliwie beczowało.

Wkrótce w drzwiach gontyny ukazał się siwobrody arcykapłan, w swych białych szatach, ale przepasany nad biodrami czerwonym pasem suto nabijanym złotymi gwoździami. Na głowie w miejsce kołpaka miał szczerozłotą koronę,

a w ręce wielki nóż wyrobiony z krzemienia. Posuwał on się wolno ku świętemu dębowi, a za nim szli inni kapłani, śpiewając starą jakąś pieśń. Kiedy zbliżyli się przed bożka, stanęli i oddali mu trzykrotny pokłon, powtarzając ciągle nazwę owego bożka:

— Strzyga! Strzyga! Strzyga!

Zaraz też jeden z kapłanów przyniósł owo beczące koźle i położył je na wystającej nieco podstawie u nóg bożka, a arcykapłan, zbliżywszy się, kilkakrotnie pchnął swym ostrym krzemienym nożem biedne koźlątko w samo serce. Krew trysnęła strumieniem i spływała na trawę po kamiennej podstawie. W ten sposób przebijano wszystkie przyniesione stworzenia — a gdy ofiara ta się skończyła, młodzież wzięła zabite stworzenia i oprawiać je poczęła. Nad oprawcami tymi unosiły się gromadnie kruki i wrony, czekając na odpadki, chwytając one skwapliwie, walcząc o nie ze sobą.

Tymczasem kapłani na ścieżce, od gontyny do okopu wiodącej, ułożyli włącznie ostrzami do siebie w ten sposób, że tylko wąskie przejście pozostało między temi ostrzami. Gdy już to zrobiono, jeden z kapłanów wywiódł z gontyny na złocistej uzdeczce białego jak mleko źrebca, który szedł rżąc głośno, co między obecnymi wywołało radosne uniesienie, bo, jak mówili, dobrą to było wróżbą. Koń był prześliczny i tylko na czole miał gwiazdkę czarną, a był on poświęcony największemu z bożków, Jessemu, którego

posąg ukryty był w głębi gontyny. Na koniu tym żaden człowiek siedzieć nigdy nie mógł.

Prześlicznego tego źrebca, niespokojnie grzebiącego kopytami ziemię, przyprowadzono przed arcykapłana. Ten, mruczając swym smutnym i drżącym głosem jakieś słowa, wziął konia za uzdę i wprowadził go na ową wąską drożynę między ostrza włóczni. Wszyscy skwapliwie otoczyli konia i pilnie patrzyli, czy nie zawadzi kopytami o które z ostrzy, co miało znaczyć nieuniknioną wojnę i wielki krwi rozlew.

Jakoż niespokojny źrebiec nie uszedł i kilku kroków, gdy uderzył kopytem o jedno z ostrzy i odrzucił je daleko. Zaraz też podniósł się wielki krzyk i lament. Potrząsano groźnie włóczniami i maczugami i wołano:

— Na Niemce! Na Niemce!

Młodzież w uniesieniu radości poczęła naciągać łuki i strzelać z nich do wron i kruków, które unosiły się nad grodziskiem, czyhając na resztki z oprawionych zabitych zwierząt. Kilka z tych ptaków padło przeszytych strzałami, a reszta z krzykiem rozbiegła się dokoła. Konia kapłani odprowadzili do gontyny, a kmiecie i władcy otoczyli Zaboja, wypytując się go o Niemców, o ich siłę, o ich wojewodę, uzbrojenie i drogę, którą pójdą. Zabój odpowiadał jak umiał, i prosił by go rychło odpuszczono, by królowi Krakowi mógł wieść o tem zanieść. Ale nie śmiano tego zrobić bez wiedzy arcykapłana, który poszedł do gontyny, zresztą mówio-

no: — Zjesz z nami, co Bóg dał, a potem pójdziesz.

W rzeczy samej młodzież rozpałała wielkie ognisko i piec przy nich poczęła zabite zwierzęta, nie wyłączając wron i kruków poprzesywanych strzałami. Przyjemna woń piekącego się mięsiwa mile łechtala podniebienie zgłodzonego trochę Zaboja, który dziś prócz mleka i podpłomyka owsianego nic w ustach nie miał, a przecie zrobił już kawał drogi do gontyny. Nie był więc od tego, by poczekać na biesiadę, która zapowiadała się suto i obficie. Wszyscy też jakoś rozweselili się wobec nadziei pożywienia i wygrazali się Niemcom.

Przyniesiono z pobliskiego źródła wody w drewnianych kubłach, a kapłani z gontyny wytoczyli kilka beczek miodu i jabłecznika staroego. Każdy dobył z za kozucha wielki róg do picia i toczono sobie owe napoje i pito. Starsi pozrzucali mocno dogrzewające im kozuchy i pokładli się na trawie w cieniu, po większej części nadzy, opaleni od słońca i wichrów; każdy, poczynając pić, szedł z pełnym rogiem przed posąg Strzygi i oddawszy mu pokłon, wylewał trochę napoju na skrwawioną jego kamienną podstawę.

Nakoniec ukazał się arcykapłan w towarzystwie jakiegoś średnich lat mężczyzny, w kozuchu i tak zwanej wścieklicy na głowie, to jest czapce barankowej, wysokiej i rozdwojonej u góry. Kozuch miał przepasany czerwonym skó-

rzanym pasem, u którego wisiał długi oszczep w pochwie skórzanej; kołczan, łuk i maczuga suto nabijana ostremi krzemieniami uzupełniały jego uzbrojenie.

Ale jeżeli już uzbrojenie samo znamionowało w nim człowieka wyróżniającego się od innych, to jego twarz surowa, o małych czarnych i przenikliwych oczkach, jego broda czarna i chytry uśmiech na ustach zwracały nań uwagę. Szedł on obok arcykapłana, słuchając pilnie, co ten do niego mówił, i rzucając dokoła szybkie i bystre spojrzenia. Arcykapłan rzekł coś do jednego z młodzieży i ten zaraz zawołał:

— Zabój Chrobata, bywaj!

Zabój poskoczył do arcykapłana, który mu rzekł, wskazując męża, idącego obok niego:

— Oto jest Lisek, kmieć, który cię zawiedzie do grodu Krakowego. Był on tam nieraz i wie, którądy iść. Słuchaj go pilnie, parobku. A teraz spożyj z nami biesiadę i potem w drogę, bo czasu szkoda.

Jakoż wkrótce biesiada była gotowa. Upieczone owce, cielęta, kury i koguty ułożono półkolistym wianem na wielkich liściach łopuchu i wszyscy usiedli i jedli, rwąc mięso rękami, popijając miodem i jabłecznikiem. Rozwiązały się języki, gwarzono głośno, śmiano się i odgrażano Niemcom. Potem przyszedł starzec gęślarz i, grając na gęśli, śpiewał stare pieśni o wielkich ojcach i wielkich wojnach.

Towarzyszył tej uczcie poważny szmer puszczy, kukanie kukawki, krzyki żórawi. Słońce już było dobrze wysoko i dopiekało mocno. Lekki wietrzyk przynosił od moczarów woń wilgoci i gnijących roślin. Różnobarwne motyle unosiły się nad polaną, siadając na kwiatach. Czasem gdzieś z puszczy, z jakiejś barci leśnej przyleciała pszczoła i kręcąc się brzęczała donośnie. Wróble wciąż świergotały na świętym dębnie i zlatywały, by zbierać okruchy z rozłamywanych podpłomyków przy biesiadnikach. Młodzież podjadłszy sobie, poczęła zabawiać się na polanie strzelaniem z łuku i ciskaniem włóczni, lub wyrzucaniem kamieni z procy. Niektórzy mocowali się ze sobą, lub ścigali się na równej murawie. Starsi siedzieli lub pokładli się wygodnie i pili miód i jabłecznik.

Nakoniec arcykapłan, wezwawszy Liska i Zaboja, kazał im ruszyć w drogę.

— A pokłońcie się tam ode mnie królowi Krakowi — mówił.

Oni też pokłonili się wszystkim i ruszyli. Przeszedłszy okop grodziska i przebrnąwszy bagna, otaczające go dokoła, weszli w puszcze, gdzie ich ogarnął rozkoszny chłód. Lisek szedł, opierając się na swej maczudze, i milczał zrazu długo, chrząkając tylko od czasu do czasu. Ale gdy już uszli kawałek drogi ciężkiej, bo zarosłej mnóstwem krzewów, przez które przedzierać się musieli, i wydostali się do lasu pełnego samych starych buków, których korony ginęły

w górze i zasłaniały niebo, Lisek ozwał się głosem gardłowym i stłumionym:

— Toś ty Chrobata!

— Tak, a wy?

— Ja tutejszy, Ślązak. A byłeś ty kiedy w tej puszczy?

— Byłem, bom przecie jechał ku granicy niemieckiej, ale teraz pobłądziłem i nie wiem, którędy iść.

— No, już ty się o to nie bój. Ja cię wyprowadzę, bo znam tę puszcę dobrze i zbrodziłem ją nieraz, chodząc w różne strony.

— I duża to puszcza? — pytał Zabój zaciekawiony.

— Ho! ho! gdybyś nią przeszedł, ot tak w tę stronę — wskazał na północ — tobyś doszedł do ziem, na których mieszkają Polanie, Mazury i inne ludy. I nie szedłbyś wcale polami, jeno ciągle puszcza. A tu, kędy słońce zachodzi, to doszedłbyś do ziemi Czeskiej i jeszcze dalej, do ziemi Sorabskiej i Niemieckiej. Końca tu nie ma ta puszcza...

— A mówicie, że ją znacie, Lisku?

— Znam tę część jeno, która idzie od naszej ziemi do ziemi Chrobackiej, do grodu Krakowego. Byłem tam w tym grodzie nie raz jeden. A dawno ty opuścił on gród, Zaboju?

— O, dawno. Miesiąc już z pięć razy się obrócił...

— No, ty nie wiesz, co się tam dzieje, co ludzie gadają...

— A cóż gadają?

— Gadają, że pod oną górą, na której grodek Krakowy stoi, a którą zowią Wąwelem, jest jaskinia wielka...

— A jest, samem ją widział.

— Owóż, że w jaskini tej osiadł teraz straszny zwierz, co go smokiem ludzie nazywają.

— Smokiem! a bo to są smoki na świecie?

— Młodyś jeszcze parobek, Zaboju, i dużo rzeczy nie widział na świecie. Ja starszy od ciebie i wiem, że smoki są, bom własnemi oczyma patrzył na smoka.

— Smoka? widzieliście smoka? — pytał niezmiernie zaciekawiony Zabój.

— A juści, że smoka. Widzisz, smoków jest już bardzo niewiele i rzadko którego spotkać można. W tej puszczy raz widziałem smoka i jeszcze dotąd na mnie skóra cierpnie.

— I jakże on wyglądał?

— Jest to ni zwierz, ni ryba ni ptak. Bo to i po ziemi łązi, i w wodzie pływa i po powietrzu lata. Straszny zwierz! Jak roztworzy paszczę, to całego żubra połknie jak nic, a cóż dopiero człeka. Szyję ma jeno cienką i długą, a nóg cztery z pletwami, jak gęś albo kaczka. Ma też dwa skrzydła i kiedy leci, to szum taki słyhać w powietrzu...

Nie skończył Lisek tego opowiadania o smoku, gdyż nagle zatrzymał się, stanął i dając znak

ręką Zabojowi, by był cicho, pilnie nadśluchiwać
począł. Zabój stanął i, zrobiwszy wielkie oczy,
patrzył na Liska, nie rozumiejąc, o co idzie i nad-
śluchując także. Ale nic nie słyszał, jeno szum
w puszczy i kukanie kukułki. Dziękił tylko
gdzieś niedaleko pukał swym dziobem w dziupłę
drzewa, nic więcej.

V.

Zbóje.

Zdumienie Zaboja było większe, gdy Lisek, podnosząc nakoniec głowę, szepnął:

— Cicho, braciszku, cicho! tu niedaleko są jacyś ludzie. Ukryjmy się w tych oto krzakach.

To rzekłszy, z niezmierną ostrożnością, nie robiąc żadnego szelestu, jak wąż, przysunął się ku kępie krzaków i młodzieży, poczynającej w tem miejscu gęsto podszywać las. Za nim, zachowując także wielką ostrożność, bo mu Lisek ciągle znaki dawał, poszedł i Zabój, i wkrótce przycupnęli za krzakami, patrząc przed siebie i nadsłuchując bacznie. Zabój, choć był młody i uszy miał dobre, pomimo największych usiłowań nic dosłyszeć nie mógł, a Lisek, przyłożywszy rękę zwiniętą w kształcie trąbki do ucha, ciągle słuchał. Nakoniec podniósł się, wyprostował i rzekł szeptem:

— Ludzie tu byli jacyś niedaleko, ale już poszli.

-- I cóż dziwnego? — zaśmiał się Zabój — albo to ludzie po puszczy nie chodzą, czy co?

— Ot głupi! — mruknął Lisek — młody i pstro we Ibie. W puszczy chodzą ludzie, ale zawsze lepiej nie spotykać się z nimi, bo nie wiesz, na kogo natrafić możesz. W tej stronie, ku której idziemy, zbóje się włóczą, sami Morawcy i Czechy, a też jacyś tam Lutycy, co się wilkami przezywają. I gorsi są oni od wilków prawdziwych. Na kogo napadną zdradziecko, ten już więcej świętej ziemi nie obaczy. Oto dlaczego z ludźmi lepiej się nie spotykać w tej puszczy. Rozumiesz teraz, parobku?

— Rozumiem, ale coby nam oni wzięli? kożuchy i łuki...

— Coby wzięli, toby wzięli, a naprzód wzięliby ci życie, a to każdemu jest miłe. No — do dał, posłuchawszy chwilę — teraz możemy iść dalej. Tylko ty sobie pamiętaj: jak ci dam znak, tak język za zębami, sza! bo tu o życie idzie. W puszczy takiej, jak ta oto, wszystko na człeka czyha.

To mówiąc, swym posuwistym krokiem ruszył naprzód, mając już teraz głowę spuszczoną i pilnie wpatrzoną w ziemię. Nic nie mówił, a Zabój nie śmiał go zaczepić, choć radby był dowiedzieć się coś o onym smoku, co w grodzie Krakowym w jaskini Wąwelowej siedzi. Ale Lisek nie odzywał się wcale, tylko szedł żwawo przodem, opierając się na swej maczudze i rzucając od czasu do czasu bystre spojrzenia dokoła po puszczy. Niekiedy stawał i słuchał, ale nic, jeno szum drzew napełniał tu ciszę swym szme-

rem, czasem wybiegła naprzeciw nich sarna i popatrzywszy wielkimi oczami, znikła w podskokach w gęstwinie.

I szli tak jakiś czas, gdy nagle Lisek, idący wciąż przodem, zatrzymał się, jakby piorunem rażony, i przyklęknawszy, pilnie począł dokoła oglądać trawę.

— A co to? — szepnął — krew?

Jakoż w tem miejscu murawa była mocno stratowana i powdeptywana w ziemię, gałęzie na krzakach sasiednich połamane, jak gdyby tu ktoś upartą stoczył walkę. Na trawie znać było stopy ludzkie silnie wyciśnięte i świeciły jakieś duże, ciemne, mokre plamy. Pod jednym z krzaków leżały strzepy jakiegoś odzienia czerwonego i kilku strzał połamanych. Rozglądając się dalej, Zabój spostrzegł rzucony o kilka kroków pugińał, cały krwią pokryty, z rękojeścią prześlicznej roboty. Nic podobnego jak żyje nie widział, choć u Niemców kochali się w takiej broni. Podniósł i pokazał ten pugińał Liskowi. Ten obejrzał go starannie i wytrzeszczywszy oczy z wielkiego przerażenia, szepnął do Zaboja:

— Tu kogoś zamordowali zbóje. Te głosy, którem słyszał, to ich były głosy. Ale gdzie trupa podzieli?

I oglądał się dokoła. Obok śladów stóp ludzkich były ślady kopyt końskich; a dalej, Lisek poszukując znalazł trupa, całkiem prawie nagiego, ogromnego męża z brodą. Mąż ten miał roztrzaskaną głowę pałką i ciepły był jeszcze. Cia-

ło miał w kilku miejscach podziurawione strzałami. Leżał rzucony między krzaki, obficie dookoła zlane krwią, i w pięści ściśniętej silnie trzymał garść rudych kudłów, które widać wyrwał ze łba zbója. Wrony zlatywały się już do trupa i siadając po sąsiednich drzewach, krakały szkaradnie.

— A co? nie mówiłem? — szepnął Lisek, patrząc na przerażonego tym widokiem Zaboja. — Ale nie mamy tu co robić! chodźmy dalej.

Szedł z głową ciągle spuszczoną, wpatrując się w ziemię ze śladami stóp ludzkich i kopyt końskich, skrecając tam, gdzie one skręcały, zatrzymując się, gdzie się one zatrzymywały. Niekiedy, gdy ślady ginęły, przykładał na ziemi, zawracał, szukał, dopóki ich wkońcu nie znalazł.

— Dokądże my idziemy? — spytał nakoniec Zabój, zaniepokojony mocno tem ściganiem zbójów. — Czy nie lepiej iść w bok, bo tak możemy wpaść w łapy zbójcekie.

— Iść w bok, chyba poto, żeby pobłądzić. My musimy iść tędy, którą szli zbójce, bo tak nam droga wypada — odrzekł, nie odwracając głowy, Lisek. — Wiem ja co robię, nie pierwszyna mi po puszczy chodzić, i zawsze najlepiej iść za zbójami z tyłu, niż przed nimi lub bokiem. Nato jestem twój przewodnik, żebyś mię słuchał, a nie chcesz, to się zawróć!

— Nie sierdźcie się, Lisku — przeproszał Zabój — róbcie jak chcecie, byleście mię do Krakowa zawiedli. Nie boję ja się też tam znów tak

bardzo zbójów: nie z takimi obwiesiami się bitem i pobiłem ich nanic.

— No, no, nie gadaj tak, bo nie wiesz, co to są oni Lutyacy wilki. Nie tak ich łatwo zjeść, jak się tobie zdaje. Kupa ich też jest wielka, nie jeden albo dwóch tylko. Zeszłego roku całe opole mężów czterdziestu robiło na nich obławę. I cóż? wrócili z niczem, straciwszy pięciu swoich, a zabili jeno jednego Lutyka. To wilki i smoki przeraźliwe.

— Ale ale! powiedzcie mi też, Lisku, co jeszcze o tym smoku na Wąwelu — zagadnął po chwili Zabój.

— Teraz nie czas gadać — mruknął Lisek — i lepiej zrobisz, jak stulisz gębę. W puszczy trzeba być cicho, bo nie wiesz, czy za krzakami nie czyha na ciebie łuk i strzała.

Uznał w tych słowach Zabój słuszność i nie odzywał się nic, tylko postępował jak mógł najciszej i najostrożniej za Liskiem. Weszli teraz na jakiś grunt grząski i bagnisty, porosły kępkami bujnej i zielonej trawy, uzłocony kwiatami żółtymi kaczeńca. Gdzie niegdzie widać było kałuże rdzawej, brudnej wody, mieniającej się w różne barwy tęczy od słońca. Drzew tu było niewiele, same olchy i wierzby karłowate i pogięte dziwacznie. To też słońce dopiekało mocno. Na kępkach trawy, na powalonych pniach drzew siedziały wielkie ropuchy i brzydkimi oczami patrzyły na podróżnych. Czasem żmiję szkaradną dostrzegli, która sycząc uciekała

gdzieś pod krzewy olch. Ślady kilkunastu ludzi i kilku koni ciągle było widać, głęboko odznaczony w grząskim i błotnistym gruncie. Roje komarów i rozmaitych muszek unosiły się nad bagnami, a wdali w sitowiu, które zieleniało, odzywały się głosy kurek wodnych.

— Niedaleko jest jezioro — mruknął Lisek — zatrzymamy się tam, odpoczniemy i trzeba będzie ubić choć parę kurek, żeby mieć co jeść. W Krakowie nie będziemy wcześniej jak jutro nad odwieczerz.

W rzeczy samej niedługo przyszli nad jezioro, dokoła otoczone puszcza, gęsto po brzegach porośnięte trzcina, we środku tylko wolne i błyszczące pod słońce jak tafla roztopionego srebra. Gromady ptactwa wodnego unosiły się nad jeziorem, pływały po jego spokojnej, cichej wodzie, ruszały się w trzcinie. Od czasu do czasu jakaś ryba ogromna plusnęła się i zakłóciła spokój jeziora. Wielkie sokoły rybołowy kołysały się na swych skrzydłach nad wodą, upatrując zdobyczy. Brzegi aż niebieskie były od kwiatków, żabich oczek, a na wodzie pływały wielkie, ciemnozielone liście. Na liściach tych siadały bladoniebieskie lub zielone jętki, czasem motyle, niekiedy duże, czarne żuki wodne. Słońce oświecało wspaniale ten ruchliwy, pełen życia, wrzawy, a czasem spokoju i ciszy obraz. Szmer puszczy, rozhovor tajemniczy buków i olch starych dochodził aż tutaj. Na przeciwnym brzegu wznosiły się piaszczyste, stromo pościnane

wzgórza, a na nich rosły olbrzymie sosny i świerki, których aromat żywiczny wiatr przynosił aż tutaj i mieszał z wilgotnemi, ciężkiemi wyziewami bagien i jeziora.

Gdy podróżni nasi stanęli na brzegu, zaraz wyrwało im się z pod nóg parę kurek. Zabój zwinny i zręczny w jednej chwili naciągnął łuk i ze świstem wypuścił strzałę. Kurka, ugodzona, zrobiła kilka koziolków w powietrzu i spadła w trzcinę na jeziorze. Już Zabój zdejmował kożuch, ażeby się za nią rzucić do wody, gdy nagle uczuł na ramieniu ciężką rękę Liska. Odwrócił się żwawo i ujrzał Liska z natężoną uwagą nadśluchującego. Teraz i on usłyszał jakieś wrzaski dalekie, coraz bardziej zbliżające się, i wkrótce na przeciwnym brzegu ujrzeli gromadę ludzi pieszych i konnych, uzbrojonych i krzyczących czegoś głośno. Zdawało się, że spostrzegli naszych podróżnych, gdyż, potrząsając mieczami i włóczniami, rozdzielili się na dwie części i poczęli okręzać jezioro z dwóch stron.

— W wodę! — krzyknął Lisek i rzucił się między trzcinę z szybkością myśli. Za nim pobiegl Zabój. Przez jakiś czas Lisek biegł między gęstą trzciną, przedzierając się przez nią z trudnością, gdyż była stara i gruba, płosząc mnóstwo ptactwa, które z krzykiem zrywało się w górę. Zabój posuwał się za Liskiem, ale myślał sobie, że się ukryć nie zdołają, bo połamana trzcina i spłoszone ptactwo zdradzić ich musi. Lisek jednak nie zważał na to, tylko prze-

dzierał się ciągle dalej, aż wkońcu dostał się do brzegu trzciny, to jest do miejsca, gdzie zaczęła się już czysta i niezarośnięta woda. Tu zatrzymał się, obejrzał wokoło, dobył swego krótkiego miecza, starannie wybrał dwie grube trzciny, uciał je jak mógł najniżej, wierzchołek ułamał i dając jedną Zabojowi, rzekł:

— Wsadź tę trzcinę pod wodę, daj nurka i idź za mną.

Schylili się obadwaj i schowani pod wodą puścili się naprzód.

Dno było grzaskie i bagniste i wkrótce tak głębokie, że musieli płynąć, starając się jak najmniej i najlżej poruszać wodę. Spotykali ryby, wielkie szczupaki, olbrzymie stare karpie, które zdumione niewidzianymi gośćmi w popłochu przed nimi uciekały. Liny wyślizgały im się z pod nóg i błota. Mnóstwo płotek, okoni i karasków, błyszczących srebrną łuską pod słońce, rozbiegało się w różne strony. Wielkie pajaki wodne, unoszące się na powierzchni na swych długich nogach, z szybkością strzały uciekały. Wiele zaginionych już dziś gatunków ryb, w pancerzach twardych i o kolczastych grzbietach, z przerażeniem spoglądało na ludzi, przemycających się pod wodą.

W ten sposób dostali się Lisek i Zabój do przeciwległego brzegu trzciny i tu się zatrzymali. Zaszyszy się trochę w gąszcz sitowia, wystawili głowy na powierzchnię wody. Stąd mo-

gli widzieć, jak ścigający ich, obiegłszy dokoła jezioro, zatrzymali się na tem samym miejscu, z którego nasi podróżni przed chwilą rzucili się do wody. Zbóje oglądali się dokoła a wielu wskazywało rękami jezioro i połamaną trzcinę.

— Będą nas szukali na jeziorze — szepnął Lisek. — Gdyby za bardzo do nas się zbliżyli, wsadź trzcinę w usta i zanurz się. Bądź spokojny, nie udusisz się. Przez trzcinę będziesz mógł oddychać choćby do wieczora. Mnie to nie pierwszy raz się przytrafia. Ale sza! kilku zbójów rzuca się do wody. Pamiętaj, com ci powiedział. Gdyby który z nich dał nurka i spostrzegł nas, za łeb go i utopić.

VI.

Pod wodą.

Jeszcze nie było potrzeba zanurzać się. Dobrze ukryci w trzcinnie Lisek i Zabój czekali rezultatu poszukiwań, jakie właśnie zbóje rozpoczęli. Pięciu z nich rozebrało się do naga i z maczugami w rękach puścili się na jezioro tą samą drogą, którą nasi podróżni szli, co dowodziło, że ślad był bardzo widoczny. Wkrótce ukazali się oni na środku niezarośniętym jeziora i zatrzymali się, oglądając dokoła. Nic jednak nigdzie nie było widać, tylko kurki wodne, spłoszone, gromadą unosiły się nad jeziorem, krzycząc przeraźliwie. Zabój i Lisek, trzymając tylko głowę nad wodą, widzieli doskonale zbójów, pięciu olbrzymich, zarośniętych, dzikich i strasznych chłopów.

Zatrzymali się oni i poczęli naradzać, potem rozdzielili się w różne strony jeziora na poszukiwanie zbiegłych. Dwóch popłynęło w ich kierunku. — Teraz czas — szepnął Lisek — zanurz się i przycupnij na samem dnie.

Zrobili tak i Zabój zaraz przekonał się, że istotnie przy pomocy trzciny oddychać można,

choć było to trochę trudno i obchodzić się trzeba było małą ilością powietrza. Usiadł na miękkim, grząskim mule i patrzył przed siebie. Słońce oświecało jezioro i całe życie podwodne widać było jak na dłoni. Nic w tem oświetleniu przed okiem siedzącego na dnie ukryć się nie mogło. Widzieli prawie każdą rybę przepływającą, każdą odnogę zerwanych korzeni roślin wodnych. Przedewszystkiem atoli baczna zwracali uwagę na pływających środkiem jeziora zbójów. Ci kierowali się wprost ku nim. Widać było na dnie wielkie, jak swem ciałem rzucali, cienie. Cienie te ruchliwe poruszały się z ogromną szybkością ku nim. Widzieli, jak przepłynęli nad nimi, jak jeden nawet potracił sobą trzcinę trzymaną w ustach przez Liska. Zbój ruszyli się trochę w szuwary, a widząc je nietknięte, zawrócili i znów wypłynęli na środek jeziora. Zabój cieszył się już w myśli, że kierunek poszukiwań gdzie indziej będzie zwrócony, że to nakoniec pozwoli mu wystawić choć na chwilę głowę z wody i odetchnąć trochę lepiej. Oddychał on przez trzcinę, to prawda, ale ciężko i czuł, że długo tak nie wytrzyma.

Omylił się jednak, myśląc, że zbój w tej stronie nie zaniechają poszukiwań. Jeżeli Lisek znał sposób ukrywania się przez dłuższy czas pod wodą, znali go i zbój, gdyż był to środek praktykowany od wieków w całej Słowiańszczyźnie, niebardzo lubiącej wojować i ukrywają-

cej się chętnie w borach i wodach w razie napadu nieprzyjaciół. Jakoż zbóje, zawróciwszy na środek jeziora, zatrzymali się tam i cicho między sobą naradzać się poczęli. Rezultatem tej narady było to, że obaj zanurzyli się w wodę i stanęli na dnie, oglądając się dokoła. Nie mogli jednak spostrzec obu podróżnych, którzy siedzieli w cieniu, jaki rzucała cała trzcina gęsto rosnąca. Zresztą długo pod wodą w ten sposób wytrzymać nie było podobna. Jakoż wypłynęli zaraz nawierzch.

Ale teraz, naradziwszy się znowu ze sobą chwycili się innego, lepszego sposobu. Kilku szybkimi ruchami skierowali się ku trzcinie prawie w to miejsce, gdzie Zabój i Lisek byli ukryci. Widzieli oni, jak tuż nad nimi zatrzymały się dwa olbrzymie cienie, i z biciem serca oczekiwali, co z tego będzie. Zabój był prawie pewny, że zbóje ich dostrzegli, i gotował się już do obrony. Odpiął od pasa miecz swój długi i trzymał go w rękę, widząc, że Lisek puginał, znaleziony w lesie, dzierżył w garści z postawą gotową do odporu.

Tymczasem zbóje kręcili się tu i owdzie, próbując pojedynczych trzcin, widocznie w zamiarze zużytkowania ich w ten sam sposób, jak nasi znajomi. Na nieszczęście, trzcina trzymana w ustach przez Liska bardzo im się spodobała, i poczęli nią poruszać tak silnie, że Ślżak musiał oburącz ją przytrzymywać, by mu jej nie wydarli.

Nie na wiele to jednak się przydało, gdyż w tej chwili jeden ze zbójów dał nurka, trzymając nóż w rękę, widocznie chcąc trzcinę uciąć przy korzeniu, gdzie była grubsza, a zatem snadniejsza do oddychania. Nim Lisek mógł się spostrzec, ujrzał tuż przed sobą olbrzymią kudłatą głowę i dwoje strasznych oczu wlepionych w niego z wyrazem zdziwienia i przerażenia. Zbój zupełnie zgłupiał. Spuścił się na dno i stanął, jakby skamieniały, nie wiedząc, co robić.

Lisek jednak nie stracił przytomności. W oka mgnieniu, jak tygrys rzucił się na zbójcę, chwycił go jedną ręką za ów łeb kędzierzawy, a drugą wepchnął mu puginał po samą rękojęść w piersi. Zbój rozpaczliwie rzucił kilkakrotnie rękami i padł na błotniste dno jeziora, czerwieniąc wodę dokoła krwią, która mu buchała z piersi strumieniem.

Teraz i Zabój postanowił coś zrobić, zwłaszcza, że nieprzyzwyczajony i wzruszony widokiem strasznej walki, dusił się i czuł koniecznie potrzebę odetchnięcia powietrzem. Z przytomnością i zręcznością właściwą ludziom tych czasów, gdy wszystko polegało na osobistym męstwie i determinacji, widząc nad sobą pływającego ciągle drugiego zbója, pchnął się do góry. Zbój schwycony za nogę, wciągnięty został pod wodę i tu jednym pchnięciem wielkiego miecza zamordowany. Woda tak się krwią zaczerwieniła, że kiedy Zabój potem wypłynął na-

wierzch i z uczuciem niewypowiedzianej ulgi odetchnął głęboko, to wokół niego woda wszędzie była czerwona.

Wkrótce na powierzchni ukazała się i głowa Liska. Zaczepnawszy pełną piersią powietrza, uśmiechnął się szydersko i szepnął:

— No, tośmy ich sprzątnęli, cicho, sprawnie, aż miło. Ale teraz trzeba koniecznie trupy wepchnąć między trzcinę, żeby nie wypłynęły na wierzch i żeby tutaj wody posoką nie farbowały. Odпочęliśmy sobie trochę i dalej pod wodę.

To mówiąc, zanurzył się, a za nim Zabój. Trupy obu zbójów leżały nieruchome na dnie jeziora, a krew ciągle z nich płynęła i nim zniszczała się z wodą, tworzyła długie purpurowe pasy. W jednej chwili załatwili się z trupami. Wepchnęli je między trzcinę i szuwały tak mocno, że uwięzły tam na długo zapewne, poczem znowu wypłynęli nawierzch.

— Będą miały ryby co jeść — mruknął Lisek, oddychając i oglądając się dokoła.

Na brzegu byli wciąż zbójce, posiadali tylko z koni i pokładli się na trawie, gadając głośno i śmiejąc się jeszcze głośniej. Po jeziorze trzej pozostali robili jeszcze poszukiwania, starannie przeglądając trzcinę.

Lisek, widząc to, rzekł do Zaboja:

— Masz ty swoją trzcinę?

— Mam!

— Trzymaj ją dobrze, bo to jedyny nasz ratunek. Odpocznij sobie dobrze, bo niedługo znów trzeba będzie pójść pod wodę. Musimy tak doczekać do wieczora, jeśli nic nie zajdzie takiego, coby nas oswobodzić mogło.

— A pocóż my pójdziemy pod wodę? Przecie tu już szukać nie będą.

— W tej chwili szukać nie będą, to prawda, ale nie znalazłszy nas gdzie indziej i nie widząc powracających swych towarzyszy, przyplyną tu wszyscy, a dziesięciu nie damy łącznie rady, jak dwóm. Prawda?

— Ano, chyba prawda.

— A przytem widzisz, jak posoka się rozchodzi? Te obwiesie mają w sobie tyle krwi, jak wieprze nie przymierzając. Otóż ta posoka wypłynie zaraz na środek, bo wiatr tam fale pędzi. Spostrzegą to i domyślą się wszystkiego, a wtedy, jeśli tu zostaniemy, będzie z nami krucho.

Mówił to wszystko Lisek spokojnie, cicho, uśmiechając się zdradliwie i bystro swemi oczami patrząc dokoła. Ale Zabój przeraził się jego słowami. Chłopakowi nie chciało się umierać z ręki zbójcekiej i nie uśmiechała mu się wcale walka pod wodą, gdzie jedno pchnięcie, jedno zadraśnięcie jest już śmiercią.

— Cóż więc zrobimy, Lisku kochany — pytał mocno zaniepokojony.

— A cóż, damy nurka i trzymając trzciny w garści, jak pierwszym razem, popłyniemy pod

wodą do innego miejsca. Tam nas szukać tak odrazu nie będą, a też noc zapadnie, bo słońce już jest nisko, a w nocy łąco nam będzie się wymknąć.

Tymczasem zbóje, naszukawszy się po całym jezioru obu podróżnych, nanurzawszy się dosyta, wychodzili na brzeg jeden po drugim. Gdy już wszyscy się zeszli, oprócz oczywiście tych, którzy już nigdy na brzeg wyjść nie mogli, bo leżeli martwi, Lisek szepnął:

— No, Zaboju, czas już pod wodę. Ślepie dobrze wytrzeszczaj i czyni to, co ja będę czynił.

W tejże chwili na brzegu rozległy się krzyki. Zabój spojrzał i widzi, jak zbóje pokazują rękami na to miejsce, gdzie oni byli. Krew bowiem wypłynęła już na środek czystej wody jeziora wielką ciemnoczerwoną plamą. Widocznie spotrzegli ją z brzegu i domyślili się, jaki los spotkał ich towarzyszy. Teraz wśród przekleństw i krzyków straszliwych prawie wszyscy rzucili się do jeziora, zostawiwszy za ledwie paru przy koniach.

— Czas pod wodę, Zaboju — mruknął Lisek i lekko się zanurzył.

Zabój to samo uczynił i popłynął pod wodę za przewodniczącym mu Liskiem. Ten posunął się znaczną przestrzeń brzegiem trzciny i uszedłszy trochę między nią, zatrzymał się i pchnął się nawierzch. Obaj wytknęli głowy nad wodę, zakryci szuwarami, i spojrzeli dokoła. W tem

miejscu trzcina tworzyła zaokrąglenie i doskonale było widać stąd, co się dzieje tam, gdzie dwaj zbójce życiem przypłacili swe poszukiwanie.

Siedmiu coś zbójów przyplęnęło tam i wszyscy prawie zanurzyli się pod wodę, wydostając się co chwila na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, i znowu spuszczać się na dół. Wkrótce znaleźli widać trupy, bo z krzykiem i strasznymi przekleństwami ukazali się na powierzchni jeziora. Jakoż tak było. Unosząc dwa krwawiące się jeszcze trupy swych towarzyszy, trzech popłynęło do brzegu, reszta zaś prowadziła dalej poszukiwania obu podróżnych. Nacięli oni trzciny i z temi trzcinami w ustach pozanurzali się w wodę. Widać ich było, jak chodzili między szuwarami, bo ponad wodą ruszały się owe trzciny jakby były żywe. Szczęściem, że zrazu poszukiwania swoje ograniczyli na niewielkiej przestrzeni, ale powoli poczęli coraz bardziej się rozchodzić.

Zabój widział to wszystko i z niepokojem patrzył na Liska, który nic nie widział, jeno co chwila spoglądał na niebo. Słońce zachodziło powoli i promienie jego ukośnie już tylko padały ponad drzewami okalającej jezioro puszczy. Wkrótce schowało się za drzewo, i mrok zapadać począł, a przytem z jeziora podnosić się poczęła mgła biała, która tak szybko gęstniała, że wkrótce na trzy kroki nic widać przed sobą nie było. Jakoż zbójców Lisek oraz Zabój do-

strzec już nie mogli, jeno od czasu do czasu słyszeli ich krzyki i pluskanie się w wodzie. Jeżeli nawierzchu nic dojrzeć nie można było, to tem bardziej pod wodą, gdzie zalegała czarna, nieprzenikniona ciemność. To też zbójcy dali wiadać pokój poszukiwaniu, bo wkrótce słyhać było ich głosy zdaleka, jakby z brzegu.

— Jesteśmy ocaleni — mruknął Lisek — teraz na brzeg, jeno ostrożnie i cicho.

Zaraz się puścił przez szuwary, lekko odsuwając je, lub tnąc puginałem. Trzask łamanej trzciny zagłuszał rzechot żab i krzyk zwołujących się na noc żórawi. W lesie też słyhać było ryk dzikiego zwierza i żubrów, które zbiegały się do jeziora, by napić się wodą. Dzięki temu Zabój i Lisek przedostali się szczęśliwie na brzeg jeziora.

VII.

Napad na pasiekę.

Czas już był wielki, bo Zabój, przebywszy parę godzin w wodzie, nieprzyzwyczajony do tego, zmęczony ogromnie, dygotał z zimna i dzwonił zębami głośno. Kozuch mu zupełnie przemókł i przy chłodzie wieczornym, przy mgłach niezdrowych, wznoszących się z jeziora, było mu bardzo zimno.

— To nic — mówił Lisek — rozgrzejesz się, jak będziemy szli. Mamy przed sobą kawał jeszcze drogi.

— A dokądże my będziemy szli? Nie lepiejże to tu gdzie zaszyć się w krzaki i odpocząć choć trochę? Ja ledwie idę.

— Gdybyś ty, Zaboju, rozumiał niebezpieczeństwo, jakie nam grozi, tobyś tak nie gadał. Musimy iść i jak najdalej odsunąć się od jeziora. Tu w puszczy, ot tam ku wschodowi słońca, mieszka pasiecznik Sławko, mój stryjec i człek dobry. Gdy do jego pasieki dojdziemy, będziemy mogli spać i odpoczywać bezpiecznie. A teraz w drogę!

Nic na to Zabój nie odrzekł, bo cóż miał odrzec, i mrużąc powłókł się za swym towarzyszem, kuląc się w mokrym kożuchu i dzwoniąc zębami. Z jeziora wyszli na brzeg przeciwny temu, na który przybyli, okrążyli piaszczyste wzgórze i znaleźli się w puszczy. Lisek przez chwilę, stanawszy na wzgórzu, nadśluchiwał, czy jakie głosy do niego nie dojdą, ale nic — otaczała ich poważna cisza. Mgły, wydobywające się z jeziora, powoli poczęły się rozwłóczyć po puszczy i wieszać między drzewami, jak płachty szare. Fale jeziora z lekkim pluskiem uderzały o brzeg.

Lisek mruknął pod nosem:

— Nie podoba mi się to milczenie zbójów. Knują coś zdradliwego, to widoczne.

To rzekłszy, zawrócił i starannie pozacierał ślady nóg swoich i Zaboja, widniejące na piasku, a na wzgórzu sam wrócił tyłem. Uczyniwszy to, jeszcze przez chwilę słuchał, potem położył się i przyłożywszy ucho do ziemi, bacznie słuchał, ale widać, że i ten sposób nic mu nie powiedział, bo wstał i rzekł:

— Dalej w drogę!

I nie zważając wcale na Zaboja, ruszył zważym krokiem naprzód. Szedł ze spuszczoną głową, opierając się na maczudze, którą potrafił zachować, nie oglądając się i nic nie mówiąc. Od czasu do czasu tylko stawał i obmacywał rękami drzewa, widocznie dla przekonania się,

kędy jest północ. W lesie było bardzo ciemno, a wysokie korony drzew zasłoniły niebo, pokryte zresztą chmurami. Lisek nie był zrażony ani ciemnościami panującymi w puszczy, ani brakiem wszelkiej drogi, jeno szedł swym posuwistym pewnym krokiem. Zwinność tych ruchów rozgrzała Zaboja, który żeby się nie zgubić i nie stracić Liska z oczu, musiał tuż za nim postępować i deptać mu prawie po piętach. W puszczy wreszcie było cieplej, niż nad jeziorem. Drzewa były rozgrzane całodziennem słońcem, powietrze, nieporuszane przez najmniejszy wietrzyk, było parne nawet.

Po puszczy, w jej czarnych głębiach, nierozjaśnionych żadnem światłem, rozlegały się ryki dzikiego zwierza i hukanie puszczyka. Zabój mniej obeznany z życiem puszczy, gdyż zawsze służył w zbrojnej drużynie Kraka, niekiedy drżał ze strachu, gdy usłyszał gdzieś wpobliżu ponury ryk niedźwiedzia lub żubra, wycie wilka lub rysia. Lisek jednak nie zważał na to, tylko szedł ciągle. Jeżeli natrafili na gąszcz drobnych krzaków, to puszczał Zaboja przodem, a sam wtyle każdą zdeptaną lub złamaną gałąź podnosił i prostował.

— Dlaczego to czynicie, Lisku? — pytał Zabój.

— Bo jestem pewny, że o świcie zbóje puszczą się za nami w pogoń i jeśli ślad znajdą, łatwo nas dogonią. Oni mają konie, a my na piechotę idziemy. Byle jeno dostać się do Sławka!

— Albo to u Sławka wziąć nas nie mogą?

— Nie bój się, nie wezmą. Chata Sławkowa to ogródek nie gorszy od Krakowego na Wawelu, zbudowany z kłoców drzew, częstokołem obwieziony. A przytem Sławko ma pięciu parobków, on szósty, nas dwóch — nie damy się wziąć dziesięciu zbójom.

Jakoż nad samem świtaniem, zmęczeni ogromnie, usłyszeli naszczekiwanie psów.

— Gródek Sławka już niedaleki — odetchnął Lisek.

Zabój radośnie przyjął tę wiadomość, bo le-dwie już nogi włókł, tak był zmęczony. Nad świtem zerwał się chłodny wiatr i szumiał po puszczy. Wiatr ten zdawał się przynosić Liskowi jakies głosy, bo zatrzymał się, przyłożył ucho do ziemi i wstając, coś niespokojnie kiwał głową. Ale dzień się już robił. Słabe, białe, niepewne brzaski, od wschodu, przedzierały się przez stare lipy, buki i modrzew, gęsto tu rosnący. Szczekanie psów słyhać było coraz bliżej i coraz głośnie-j, nakoniec z poza zasłony krzaków. podróżni nasi ujrzeli na usypisku gęstą ścianę z częstokołów i strzechy kilku chat za nią. Zewnątrz częstokołu stało mnóstwo uli, otoczonych olbrzymiemi lipami. Na jednej ze strzech bocian usłał sobie gniazdo i słyhać było jego klekot. Psy ujadły zaciekle.

Kiedy Zabój i Lisek zbliżyli się do częstokołu, wyrzała z za niego rozczochrana jakaś głowa,

pełna słomy we włosach, i głos gruby odezwał się:

— A kto tam?

— Swój. O gościnę prosim — odrzekł Lisek.

Przez jakiś czas rozczochrany ów chłop przypatrywał się pilnie podróżnym, a potem pokazując się zupełnie z za częstokołu z oszczepem w garści, huknął:

— A wy skąd idzieta?

— Mój bracie — odrzekł na to Lisek — ty się o to nie pytaj, jeno idź do Sławka i powiedz mu o nas. Jam jest Lisek, stryjec Sławka.

— A! to wy Lisek, czemuż nie gadata? Nie poznaliście to mnie czy co? Jam jest Miłosz.

— Witaj, Miłoszu — zawołał Lisek — ale otwórz bramę i puść nas, bo nam pilno.

— Tego uczynić nie mogę bez Sławka. Pójdę do nich i zapytam. A jakże się zowie ten parobek, co z wami przyszedł, Lisku?

— Zabój.

— Idę do Sławka, — i mrużąc coś Miłosz, chłop ogromnego wzrostu, zlaźł powoli z częstokołu i poszedł, krzyżąc:

— A precz Burek, leżeć, kundel!

Czekając na jego powrót, Lisek położył się na murawie tuż przy bramie i prawił:

— Głodnym jak pies i oczy mi się kleją. U Sławka najemy się i wyśpiemy bezpiecznie dosyta.

Właśnie nadszedł sam Sławek, mąż wielkiego wzrostu, ale zgarbiony od starości, z dużą siwą brodą, w płóciennej koszuli, rzemieniem przepasanej, i obaczywszy Liska, kazał go zaraz puścić do środka wraz z Zabojem. Było to duże obejście, otoczone dokoła częstokołem. Były tam trzy chaty słomą kryte, z belek zbudowane i mchem przetykane. Pod szopą był bróg z sianem świeżo widocznie skoszonym, a koło brogu stały cztery krowy i owiec kilka. Dwa wielkie psy wiązał właśnie Miłosz, a one warczały i ujadły na przybyłych. Kiedy tych wprowadzono do środka, zaraz bramę zamknięto i zasunięto na wielkie zasuwę z belek.

— A co tu u was słyhać, kmieciu Sławku? — rzekł Lisek, oglądając się. — Jak czasu wojny?

— A tak. Zbójca Szydło włóczy się po puszczy i wczoraj, słyszę, za jeziorkiem ubił jakiegoś kupca, co z towarami jechał. A choć ja go się to nie boję, ale ostrożność nie zawadzi.

— Dobrze mówicie, kmieciu — odrzekł na to Lisek — bo my oto z tym parobkiem ledwieśmy im się wymknęli. Ja wam to opowiem.

— Chodźmy do świetlicy. Jeść wam się zapewne chce, co? Czem chata bogata, tem rada. Jest placek, mleko, ser, jaja, miód.

— O! żeśmy głodni, to głodni! Od wczoraj niceśmy w gębie nie mieli. I spać nam się chce.

— Podjadłszy sobie, pójdziecie spać oto na bróg. Świeże siano aż miło jak pachnie. A potem, Lisku, opowiedz mi o tych łotrzykach, co po puszczy się włóczą i spokoju ludziom nie dają.

Zaprowadził ich do chaty, kędy na polepie, na środku gorzał ogień i parę niewiast się koło niego kręciło. Jedna w dzieży ciasto mięsiła, a druga mleko grzała przy ogniu. Dym przez otwór w strzesze i przez drzwi leniwo wyląził na zewnątrz. Zaraz przed gośćmi zastawiono, co było w chacie, i kiedy ci sobie dobrze podjedli, Sławek powiódł ich na bróg. Słońce już wzeszło i ciepło było na dworze. Z puszczy wiatr przyniósł świeże powietrze i woń żywicy, śpiew ptasząt. Bocian, stojąc na gnieździe na jednej nodze, klekotał ciągle. Parobcy Sławka kręcili się i oprząkali obejścia, a koguty po płotach, trzepocąc lśniącymi skrzydłami, piałły radośnie. Zabój i Lisek wdrapali się na bróg i w słodkim uczuciu bezpieczeństwa ułożyli się na sianie.

— No wyśpij się dobrze, Zaboju, bo potem w drogę trzeba iść. Nikt nam tu nie przeszkodzi i spać możemy lepiej i pewniej, niż w Krakowym grodzie.

Niebardzo się z tem zgadzał Zabój, bo choć grodek Sławka był mocny, ale przecież daleko mu było do Krakowego na Wawelu. Ale nie chciało mu się gadać. Oczy mu się kleiły i sen go morzył. Jakoż wkrótce na miękkim i wonnym sianie usnął snem kamiennym.

Jak długo spał, nie wiedział. Obudził go jakiś hałas i wrzawa. Otworzył oczy, ale olśniony promieniami słońca, które już wysoko się wzbilo i padało nań prosto, przymknął je znowu. Do uszu dochodziły mu jakieś urywane słowa i krzyki. Nie rozumiał ich jednak dobrze, napół jeszcze spał. Muchy siadały mu na spoconej twarzy i cięży nielitościwie. Chciał się przewrócić na drugi bok i ukryć się w cieniu, jaki rzucała belka brogu, gdy wzmagająca się wrzawa i krzyki zmusiły go do powtórnego otworzenia oczu. Podniósł nieco głowę i widzi, że Lisek leży na sianie a w ręku łuk dzierży i napina go mocno.

— Co to, Lisku? — spytał.

— Cicho! schowaj głowę, bo ci ją przestrze-
lą — odrzekł Lisek, trzymając wciąż rękę na
ciężkiwie.

Tedy Zabój spojrzał dokoła. Ze szczytu brogu doskonale widać było cały gródek Sławkowy i otaczającą go dokoła puszcę. Przed częstoko-
łem tedy stało kilkunastu zbrojnych ludzi i wszy-
scy na koniach, w wielkich czapkach bobrowych,
do których poprzipinane mieli ogony końskie al-
bo pióra czaple. Wszystko to było brodate
i okrutne z wejrzenia, a dzierżyło w rękach łuki,
maczugi, topory i miecze żelazne.

Za częstokołem zaś otoczony swą czeladzią
stał Sławek, także zbrojny i rozmawiał z onymi
jeźdźcami.

— Więc nie wydasz, Sławku tych dwóch obwiesiów? — pytał jeden z jeźdźców ubrany w czerwony żupan i widać wojewoda innych.

— Nie, nie wydam!

— Bodaj ciebie pioruny ubiły, stary wilku! — zawołał wojewoda zbójcecki i w tejże chwili ze zręcznością i zwinnością wielką naciągnął łuk i wystrzelił. Szczęściem, że koń jego trochę rzucił łbem i strzała utkwiała tylko w kołpaku Sławka.

W odpowiedź na to Lisek puścił cięciwę i strzała ze świstem przeleciała dziedziniec, częstokół i zagłębiła się w oku wojewody. Rzucił on rozpaczliwie rękami, koń jego spał się na obie zadnie nogi i jeździec z jękiem runął na ziemię.

VIII.

Walka.

Zbójcy, ujrawszy swego wodza ugodzonego śmiertelnie i spadającego z konia, zaryczeli, jak stado dzikich zwierząt. Wśród strasznych przekleństw, w jednej chwili zeskoczyli z koni i z maczugami lub toporami w rękach rzucili się ku bramie. Nim się Sławek ze swymi ludźmi mógł opatrzyć, już dudniły po bramie ciężkie uderzenia, podobne do huków gromu, rozlegając się po puszczy, powtarzane po rannej rosie tysięcznym echem po puszczy. Kto żył rzucił się ku częstokołowi na obronę i Lisek, chwyciwszy w jedną rękę swój krótki oszczep, w drugą puginał znaleziony w lesie, zsunął się z brogu i potrzęsając bronią, z okrzykiem biegł ku bramie.

Zabój nie rozumiał tego wszystkiego, co to znaczy. Jeszcze się zupełnie z mocnego snu nie ocknął i zdawało mu się, że śni. Przetarł oczy kulakiem raz, przetarł drugi raz i przekonał się nakoniec, że to, na co patrzy, nie jest wcale snem, ale ciężką i krwawą rzeczywistością. — Jeżeli zbójce wywałą bramę — pomyślał — zginęliśmy. I chciał już za przykładem Liska zsu-

nać się z brogu i pobiec na pomoc Sławkowi i jego ludziom, gdy rozpatrując się bacznie w położeniu, powziął przekonanie, że na tem miejscu może być pożyteczniejszym, niż gdzie indziej. Bróg znajdował się w samym rogu obejścia Sławkowego, tuż przy częstokole, który w tem miejscu odpowiednio do kształtów usypiska zgiął się, tak że Zabój doskonale widział zbójców z boku. Obrońcy niewiele mogli szkodzić napastnikom, ukrytym pod deskami bramy, i z wielką trudnością mogli ich razić. Tu zaś, gdzie znajdował się Zabój, rabusie byli jak na dłoni, niczem nie zasłonięci.

Postanowił więc nie opuszczać brogu, chyba w ostateczności. Ułożył się wygodnie na sianie, ukryty za jednym ze słupów, podtrzymujących dach brogu, wziął swój wyborny łuk i z ręką na cięciwie począł między napastnikami szukać swej ofiary. Spostrzegł, że jeden z nich miał w ręku olbrzymi żelazny, niemiecki topór, i ten, oczywiście, był najniebezpieczniejszy. Był to przytem chłop ogromnego wzrostu i olbrzymiej zapewne siły. Pod jego uderzeniami brama jęczała, jak żywa, i drzazgi z niej leciały. Gdyby ten zbój dłużej w ten sposób rąbał bramę, taby wkrótce z pewnością uległa.

Zabój więc, niewiele myśląc, naciągnął łuk, wymierzył dobrze i puścił strzałę. Ze zgrzytem i świstem przeszła ona powietrze i... utkwiała po same pióra w boku owego zbrojonego w żelazny topór. Zachwiał się, potoczył i chwy-

tając się za bok, oparł się plecami o częstokół. Topór wypadł mu z ręki i on stał tak, oddychając ciężko. Kilku zbójów przyskoczyło do niego, pytając go się o coś; byli widocznie głęboko przerażeni i oglądali się na bróg, z którego strzała wypadła. Ale stamtąd już druga strzała świsnęła i uderzyła innego zbója w szyję, tak że mu ją na wylot przeszła. Ten padł odrazu, wyrzucając ustami potok spiekłej, czarnej krwi. Kiedy nakoniec trzeci legł od strzał Zaboja, kiedy z częstokołu i z daszku bramy obrońcy poczęli lać gorącą wodę, z krzykiem i przekleństwami i odgrażaniem się pięściami, uciekli z pod gródka i zatrzymali się dopiero w takiej odległości, gdzie ich strzały dosięgnąć nie mogły. Stracili w pierwszym tym napadzie czterech towarzyszy, dwóch mieli rannych, wszyscy prawie byli poparzeni. Skupili się na skraju puszczy i poczęli się widocznie naradzać, co dalej czynić, bo wymachiwali rękami, krzyczeli, potrzęsali pięściami w bezsilnej wściekłości w kierunku gródka.

Obrońcy wieszowali sobie zwycięstwa. Rannego i ciągle opartego o częstokół zbója wciągnęli do wnętrza, ale zbój ten już ledwie dyszał i wkrótce umarł, gdy mu strzałę wyrwano. Młodzi parobcy pobiegli do Zaboja, wciąż leżącego na brogu i pilnie przypatrującego się zbójom, i krzyczeli, że wart być wojewodą, bo on właściwie ocalił gródek. Zabój zaś mówił, żeby do niego jeszcze który przyszedł, to we dwóch łatwiej im będzie szpikować zbójów strzałami, gdyby

im się zachciało jeszcze raz uderzyć na gródek. Wszyscy byli przekonani zresztą, że rabusie, dostawszy dobrą nauczkę, więcej nie będą próbowali brania gródka mocą, jeden tylko Sławek nic nie mówił, ale stanąwszy za częstokołem, pilnie patrzył na ruchy zbójów.

— Cóż się, Sławku, niepokoiacie? — pytał Lisek. — Choćby nawet raz jeszcze uderzyli, toć ich tylko sześciu, a nas ośmiu i jesteśmy w gródku. Niebezpieczeństwa niema. Ale oni nie tacy głupi, żeby nas chcieli mocą brać.

— Hm! hm! hm! — mruknął Sławek, a miał zwyczaj krzakać tak, jak był czem bardzo zajęty — hm! hm! hm! ja się też o to, Lisku, nie boję, żeby oni mnie mieli mocą brać, i tegobym tylko pragnął. Ale oni mocą nie będą mię brali, jeno zdradą jaką, i tem się gryzę, bo nie wiem, co im do łba przyjdzie. A przytem, wiedz o tem, boć ja znam Szydła, któregoś tak gracko ubił, i wiem ilu on ma ludzi. Do niedawna miał ich dwudziestu, a może zebrać drugie tyle, boć po puszczy mnóstwo włóczy się próżniaków, nie szukając dalej, choćby ten Dobromir, co na wodzie mieszka, o dzień drogi za gontyną...

— To i on się wacha ze zbójami? — spytał Lisek zdziwiony.

— A tak. Gościniec, którym kupcy jada z Niemiec do Kijowa i do Carogrodu i dalej jeszcze na koniec świata, tamtędy, koło jego nadwodniska idzie. Napada na nich i rabuje. Otóż wi-

dzisz, nic łatwiejszego, jak żeby sobie sprowadzili trzy razy tylu łotrzyków, ilu jest teraz. Mają konie, wyślą jednego i na noc sprowadzą taką kupę, że się nie obronimy. W dzień napadu się nie boję...

I krzyknął niespokojnie i patrzył na zbójów, którzy ciągle stali w kupie na skraju lasu i naradzali się pilnie. Potem rozłożyli wielkie ognisko i zdawali się osiedlać tu na długo. Sławek myślał, że wysłali jednego po posiłki, ale obliczwszy ich, spostrzegł, że są wszyscy. Tedy nie wiedział, co to znaczy i gryzł się tem bardzo. Wkrótce jednak dowiedział się na swą wielką szkodę o zamiarach zbójów.

Kiedy się bowiem rozpałiło dobrze ognisko, zbójcy wiazali koło strzał pęki suchej trawy, zapalali ją i rozrzucając się przed częstokołem, strzały owe ogniste puszczać poczęli na częstokół i strzechy słomiane. Strzechy przez upały, trwające od niejakiego czasu, były mocno wysuszone i choć ta i owa strzała zgasła, inna padła, nie zrządziwszy żadnej szkody, przecież dwie czy trzy utkwily w strzesze i odrazu ją zapaliły. Wrzawa się ogromna zrobiła między ludźmi i kobietami Sławkowemi. Poczęto gasić ogień, ale nie na wiele się to przydało, gdyż ogniste strzały coraz gęściej szły, i przyduszony w jednym miejscu pożar, w drugim zaraz wybuchał. Zabój wprowadzie z drugim parobkiem pilnie upatrywali zbójów i byle się który pokazał, lub nie-

ostrożnie odsłonił, temu zaraz posłali strzałę, tak, że dwóch jeszcze ubili, co zrobiwszy, zeszli ze stogu i pobiegli do Sławka, rwącego włosy z rozpaczy, by gaszenie ognia zostawił kobietom i dwom ludziom, a żeby z resztą parobków wypadł i wstępnym bojem pomordował zbójów, których jest już tylko czterech. Sławko nie chciał tego zrazu słuchać, tak mu szło o ratunek swej chudoby, ale za radą Liska zgodził się na to. Został więc sam, jeszcze z jednym parobkiem w grodku przy ogniu, a Lisek, sprawiwszy pięciu pozostałych, otworzył bramę i wypadł w pole. Wszyscy rzucili łuki i kołczany, tylko uzbrojeni byli w lekkie tarcze drewniane skórą powleczone, w maczugi i oszczepy, topory kamienne i miecze.

Otworzywszy bramę, wypadli z krzykiem i puścili się zaraz pędem, potrząsając swoją bronią. Zbójcy, nie spodziewając się tej nagłej wybieżki, leżeli ukryci za krzakami i drzewami, bawiąc się ciągle puszczeniem swych ognistych strzał. Spostrzegłszy atoli pięciu zbrojnych ludzi, pędzących jak wichry na nich, zerwali się na równe nogi i przerażeni do najwyższego stopnia, poczeli uciekać do koni, które pasły się na skraju puszczy. Ale już paru parobków i Zabój jako młodszy i zwinniejszy, siedzieli im na karkach. Zabój, dzierżąc oburącz swój wielki miecz niemiecki, dogał jednego ze zbójów i strasznym cięciem rozplątał mu łeb na dwoje. Drugi zbój potknął się o krzak i runął jak długi. Zaraz też

parobek Sławkowy maczugą rozbił mu głowę, aż mózg wyprysł. Dwaj pozostali zbóje uciekali co sił mieli, ale ich dognano tuż prawie przy koniach. Obskoczeni dokoła, choć się zacięcie bronili, a nawet Miłosza zranili oszczepem, przecież pomordowani zostali okrutnie. Tak więc wytepieno wszystkich co do nogi, u stóp gorejącego wciąż gródka Sławkowego.

Zwycięzcy, zdobywszy siedm koni, bo trzy przestraszone uciekły w puszcę, obdarłszy z sukien kosztowniejszych i zbroi zabitych, powrócili w triumfie do gródka i poczęli ratować dwie chaty ogarnięte przez ogień. Ale ratunek był już prawie niemożliwy. Jedna chata, w której była świetlica Sławkowa, zgorzała ze szczętem, a druga stała w płomieniach. Szczęściem, że nie było wiatru a wody było poddostatkiem. Ocalono trzecią chatę, brogi, ule, ale dwie spaliły się i leżały z nich na ziemi tylko czarne, zwęglone belki. Zdobycz jednak była tak znaczna, że Sławko niewiele się martwił spaleniem chat, które przecież, mając drzewa dosytu, łatwo będzie można odbudować. Siedm koni, piękne szaty, mnóstwo broni żelaznej więcej było warte, niż dwie chałupy.

Było już koło południa i wszyscy byli mocno pomęczeni bitwą i ratunkiem od ognia. Słońce przytem dopiekało mocno i żar był nieznośny. Pokładzono się w cieniu pod brogiem i pod lipami, a kobiety przyniosły miodu w plastrach, podpłomyków, sera i jaj gotowanych, które pochło-

nięto odrazu. Postawiwszy jednego na straży i nakazawszy kobietom, żeby także pilnowały, zwycięzcy uznojeni bojem, porozciągali się na miękkiej murawie i zasnęli.

Dobrze już było po południu, gdy Lisek pierwszy otworzył oczy. W obejściu gródka było cicho, jeno paru chłopaków małych, z białymi jak konopie włosami, nagich, jakby dopiero na świat przyszli, opalonych od słońca, brudnych i czarnych, przewracało się swawolnie po murawie. Ze spalonych chat dymiło się, i bocian, któremu gniazdo zgorzało, latał kołując nad pogorzelskiem. Z poza częstokołu dochodziło krakanie wron i kruków, które zbiegły się do trupów zbójceckich i szarpały je, czyniąc przytem wrzawę nieznośną. Zresztą było cicho.

Lisek obudził Zaboja, mówiąc, że czas w drogę, że niezadługo chłód wieczorny nastanie, że wypoczęli sobie dobrze i mogą dziś jeszcze kawał drogi zrobić. Obudził też Sławka i pożegnał go już, gdy kmieć, przecierając oczy kułakiem, rzekł:

— Czekajno, Lisku... cóż ci się tak śpieszy! Hm! hm! hm! — krząknął — dopomogliście mi do opędzenia się zbójom, muszę was przecie czemś wynagrodzić...

— Ba! — odrzekł Lisek, śmiejąc się swym szyderskim śmiechem — dopomogliśmy, to prawda, ale najprzód nie mielibyście, Sławku, zbójów na karku, gdyby nie my, a potem, broniąc was, broniliśmy własnej skóry. Nie macie więc za co

nas wynagradzać. A wiecie, co ja wam powiem, kmiaciu Sławku a mój stryjcę kochany?

— No, gadaj.

— Dawajcie nam oto dwa konie z tych, cośmy je na zbójach zdobyli. Zawszeć to lepiej na koniu jechać, niż piechotą przedzierać się przez puszcze.

— Hm! hm! hm! — krząknął Sławko — ja właśnie to samo myślałem, żeby wam dać, tobie i Zabajowi, po jednym koniu. Idźcie tedy i wybierzcie sobie.

Wybrali więc sobie dwa ładne myszate koniki, okiełznali, i pożegnawszy się z gościnnym kmiaciem, zaopatrzeni w dwa serki i dwa placki, dobrze uzbrojeni, wypoczęci i spokojniejsi, opuścili zagrodę Sławkową.

Kiedy zjeżdżali z nasypiska, słońce chyliło się już ku zachodowi i wiatr się jakiś mocny zrywał i wył po puszczy. Lisek, spoglądając do góry, wprzód nim jeszcze w las wjechali, widział jakieś mętne, szare chmury na skraju widnokregu. Ale niewiele go to tam teraz obchodziło. Był zadowolony z konia i pośpiewując sobie, puścił się wesoło w drogę z Zabajem.

IX.

Burza.

Podróźni nasi żwawo się posuwali. Konie zbójeckie były dobre i umiały chodzić po puszczy. Zresztą gadał Lisek, że skoro przez całą noc będą jechali, jeżeli im nic nie przeszkodzi, to jutro koło południa powinni być w grodzie Kraka.

— Puszcza już niedługo się skończy — mówił dalej Lisek — a zaczną się góry, których tu pełno.

Podróż była bardzo przyjemna. Słońce już skryło się za drzewa i chmury, które coraz bardziej rosły, coraz więcej pokrywały niebo. Wiatr wzmagął się także, a choć nie mógł przedostać się do środka lasu, szumiał jednak po szczytach drzew i miotał niemi, jak słabą trzcina. Teraz dopiero Lisek zwrócił na to baczniejszą uwagę.

— Będzie burza — mówił — byle tylko nie wielka, bo to w puszczy nie jest bardzo bezpieczna.

— A cóż nam tu zrobić może? — pytał Zabój. — Deszcz nas tylko zmoczy, a toż przecie nie jest nic straszego.

— Nie wiesz, co gadasz, braciszku — odrzekł Lisek — jak przyjdzie dobra burza, to zmiata drzewa, jak kłosa zboża. Niech nas Bóg od tego broni.

— A to pierwsze o tem słyszę — mówił Zabój.

— Boś młody, Zaboju, toś ty dużo jeszcze nie słyszał i nie widział. Tu w tej puszczy jest jedno miejsce, w którym przeszłego roku burza szalała. Do dziś dnia nic tam nie widać, jeno wielkie kupy zwalonych drzew, a niektóre dęby to burza tak pogięła, jakby to były powrósla, a nie drzewa.

Tymczasem, kiedy tak gadali, wicher ciągle się wzmagał, choć na dole było jeszcze cicho, jeno na górze, u szczytu drzew, szalało coś potężnego. Szum był ogromny i przepelniał sobą puszcę. Czasem odłamana gałąź, lub masa strąconych liści spadała pod stopy podróżnych. Niekiedy znowu wicher wpadał w środek puszczy, między drzewa, i kręcił się jak szalony, porywając liście, gałęzie i niosąc je w górę. Wył wtedy tak, jak stado zgłodniałych wilków. Z nieba, z czarnych chmur, które zasłoniły już sobą wszystko, dochodziły już ponure ryki zbliżającej się burzy. Zwierzęta pochowały się gdzieś i nie słyhać było wcale wesołego kukania kukulki, ani krzyków żórawi, ani świergotu innego ptactwa. Tylko wicher szumiał i jęczał przeraźliwie. Wkrótce w boru zrobiło się tak ciemno, że na trzy kroki nic nie było widać i podróżni musieli

zwolnić biegu koniom, żeby gdzie nie rozbić się o jakie drzewo. Nakoniec Lisek stanął i rzekł smutnym głosem:

— Nie możemy jechać dalej. Jest tak ciemno, że łącno moglibyśmy pobłądzić, a to byłoby gorsze od wszystkiego. Nie wiem nawet, czyśmy już nie zbłądzili. Szkoda, wielka szkoda, żeśmy nie przenocowali w gródku Sławka, a jutro świtaniem nie ruszyli. Ale stało się i niema o czem gadać. Wyszukajmy sobie jakiego schronienia i może nam się uda rozpalić ognisko.

Zleźli z koni i prowadząc je za cugle, poczęli szukać owego schroniska przed wichrem, który coraz częściej dostawał się między drzewa i coraz częściej wyprawiał swe harce. Ale jakież może być schronisko w puszczy? Stanęli za jakimś wielkiem, starem drzewem, osłaniającem ich trochę od wiatru.

— Tu będzie najlepiej — rzekł głośno Lisek — bo wichur tak wyl, że trzeba było głośno krzyżeć, by jeden drugiego mógł dosłyszeć. — Weź mego konia a ja skrzeseż ognia.

Zabój wziął trzymać konia Liskowego, a ten przycupnął pod drzewem, nazbierał suchego mchu i liści, dobył krzemień i o tylec oszczepu począł krzesać ogień. Wkrótce kilka iskier padło na suchy mech i zatliło go. Lisek począł silnie dmuchać i płomień buchnął. Zaraz też ułożył stos wielki z gałęzi i wielkie ognisko rozjaśniło ponure, czarne, wietrzne wnętrze puszczy.

Gdy ogień już był gotowy, Zabój spytał:

-- Cóż będziemy teraz robili?

-- A cóż, będziemy siedzieli, cóż innego robić? Mamy ogień i raźniej zaraz jakoś na duszy, byle go nam ulewa, której jeno patrzeć, nie zagasiła. Ale dąb jest wielki i konary jego, to niby dach nad nami. Siedzmy i czekajmy świtu.

Usiedli tedy w milczeniu i wpatrywali się w płomyki czerwone i złote ognie, smutni, przerażeni trochę wzmagającą się siłą wiatru. Wył on teraz, świstał, jęczał po puszczy. Co chwila rozlegał się przeraźliwy trzask złamanej gałęzi. Burza się coraz bardziej zbliżała i po niebie słychać było ponury turkot, jakby setki wozów po kamieniach jechało. Grzmoty te rozlegały się po puszczy i powtarzane przez tysięczne echa nabierały dzikiej i strasznej jakiejś mocy. Wiatr, dostając się pod dąb, pod którym ukryli się Lisek i Zabój, czasem tak porywał płomieniem, że naginał go aż do ziemi, a dym i popiół ciskał w twarz siedzących. Biedny dąb jęczał nad nimi wszystkimi swemi gałęziami i konarami, a prawdziwy deszcz z liści leciał. Puszcza była straszna z temi swemi nieprzejrzanemi ciemnościami, z tem wyciem wichru, jękiem drzew i ponurym grzmotem zbliżającej się szybko burzy.

Lisek siedział oparty plecami o dąb i patrzył smutnie na ogień. Zabój niespokojnie się oglądał dokoła. Przerażała go czarność wnętrza puszczy, w której kto wie co się może ukrywać, jaka zdrada czyhać może.

— Ja bobym tu ognia nie palił — rzekł nakoniec — każdy nas może łącno obaczyć, a my nawet wiedzieć o tem nie będziemy.

— A któż nas może obaczyć? — spytał Lisek.

— Czy ja tam wiem? choćby zbójcy...

— Najprzód, zbójców już niema, bośmy ich do nogi wymordowali dzisiaj. Skądżeby się brali? A potem, ty, Zaboju, nie wiesz, boś młody jeszcze, że w takim czasie, jak teraz, kiedy Bóg strasznie się gniewa i kiedy jeno patrzeć jak pocznie piorunami mówić a huraganem łamać wszystko przed sobą, że w takiej chwili, nie człowiek jest straszny, jeno wiatr!... Ale ty tego nie rozumiesz...

— Czemuż nie mam rozumieć? gadajcie, Lisku!

— Nie rozumiesz, boś młody. Trzeba mieć tyle lat, co ja mam i zbrodzić oną puszcę olbrzymią, być za siódmą rzeką i za siódmą górą, żeby to wszystko rozumieć. Jak w tej puszczy burza pocznie grzmieć, to wszystko będzie drżało, i zwierz i człowiek i drzewo. Ja się boję tej burzy.

— A może jej nie będzie, może wiatr rozpędzi wszystko — pocieszał Zabój, dokładając do ogniska drew.

— O nie, wiatr jej nie rozpędzi, bo on jest jej posłem. A oto Bóg się gniewa!

W teŝe chwili grzmieć straszliwie zaczęło tuż nad głowami podróżnych i puścił się gęsty deszcz. Wielkie gęste krople spadały i szumiały po liściach, a grzmoty wciąż grały, rozlegając się i rycząc po puszczy. Wkrótce deszcz ten zamienił się w ulewę. Zrazu korona starego dębu zasłaniała dostatecznie naszych podróżnych, ale wkrótce i przez nią przeciekać woda zaczęła. Deszcz lał potokami i zagasił ognisko, które syczało, czasem jeszcze błysło konającymi płomnikami, nakoniec całkiem zagasło. Ciemność ogarnęła naszych podróżnych, którzy, przytuliwszy się do dębu i do koni, drżących ze strachu, stali tak, wsłuchując się w straszne granie burzy. Nie była to jednak zupełna ciemność. Rozjaśniały ją ciągle błyski oślepiające piorunów, które oświecały bladym blaskiem na chwilę drzewa puszczy i twarze Liska i Zaboja. W tych krótkich chwilach światła widzieli oni drzewa, stare sosny i buki, gnące się pod naciskiem wichru, jak trzciny. Piorun za piorunem spadał z łoskotem okropnym, wstrząsając wszystkim. W puszczy szumiało, wrzało, jęczało coś ciągle. Nasi podróżni przemokli już byli od deszczu, który spadał, jak rzeka, i pod nogami czuli wodę. Pioruny padały tuż koło nich, rozdzierając drzewa, zapalając je niekiedy, a deszcz ogień ten zaraz gasił. Byli oślepieni i ogłuszeni. Zabój odwrócił się twarzą do dębu i nie chciał patrzeć na ten groźny obraz szamocącej się natury. Konie musiano

trzymać silnie, bo przestraszone zrywały się i stawały dęba.

Ale był to dopiero początek. Wśród nieustannego grzmotu piorunów, szumu, deszczu, świstu, wichru, rozlegało się nagle jakieś przeciągłe wycie, jakiś jęk niby z tysiąca piersi ludzkich wydobyty! Słyszać było jakby tam, w głębi puszczy, w tych nieprzejrzanych ciemnościach coś szamotało się, coś toczyło straszną walkę. A potem nagle, jak z bicza trzasł, rozległ się okropny trzask i skrzypienie walących się drzew. To szedł huragan. Szedł on ku podróżnym, którzy prawie każdy krok jego rozróżniali wzmagającym się łoskotem druzgotanych drzew. Walily się one jak snopy. Przy blaskach piorunów widzieli sosny zwałające się na sosny, buki łamiące się przez pól i zieloną koronę swych liści zwieszające ku ziemi. Wicher był tak silny, że dobrze musieli się trzymać, żeby ich nie przewracał. Deszcz miotany wiatrem siekał teraz z ukosa, dostawał się pod koronę dębu, oblewał ich potokami wody. Huragan ciskał im w twarz liście, gałęzie, kępy trawy, zabite ptactwo. Widzieli przy blasku błyskawic, jak tuż, o kilka kroków od nich, wielką sosnę zwinął tak i pokręcił nią całą, jakby kto wyżywał płótno, a potem wyrwał z korzeniem i rzucił na koronę dębu, pod którym stali. Stary dąb zatrzeszczał, zadrżał, ale wytrzymał i ocalał. Huragan przeszedł nad nim i zginął gdzieś w głębiach puszczy.

czy. Z jego przejściem uciszyło się trochę, wiatr prawie ustał i pioruny mniej licznie padały. Wielkie tylko błyskawice oświecały jeszcze las i deszcz ciągle lał jak z cebra.

— Jesteśmy ocaleni! — odetchnął ciężko Lisek i znużony padł raczej, niż siadł na kałużę wody, która deszcz utworzył pod dębem.

Burza istotnie oddalała się. Grzmoty i pioruny były coraz rzadsze i coraz cichsze, a wkońcu słychać było tylko daleki huk, mrużenia jakiegoś głuche, a powoli i to ucichło. Ulewny deszcz zmienił się w drobny kapuśniaczek, choć z liści drzew spadały jeszcze ciągle duże i gęste krople. Wiatr prawie całkiem ustał i zrobiła się wielka cisza w zdruzgotanym lesie.

— Trzebaby ognisko rozpalić — mówił Zabój.

— A czemże go ty rozpalisz? skąd weźmiesz suchego drzewa? Tu wszystko przemokło i niema nawet o czem myśleć. Zresztą świtać będzie niedługo.

Zgarnął trochę gałęzi macając, usiadł na nich, oparł się plecami o dąb i nie zważając, że mu na twarz kapała woda z liści, drzemał trochę. Zabój, przywiązawszy konie do drzewa, obszedł dąb nakoło, rozumując, że ponieważ fala szła od tej strony, od której oni stali, tedy z drugiej musi być suchsze trochę miejsce. Było ono istotnie suchsze, ale niewiele. Położył się jednak tutaj

i zasnął, otulając się od zimna przemokłym kożuchem.

Obudził go Lisek, gdy już świtało. Deszcz zupełnie ustał i powietrze było chłodne, ale świeże. Niebo czyste, bezchmurne, zapowiadało dzień słoneczny i ciepły. Ale obraz zniszczenia, jaki panował w puszczy, przeraził do głębi Zaboja, który nigdy jeszcze nic podobnego nie widział. Znać było wyraźnie drogę, którą szedł huragan. Na drodze tej wszystkie prawie drzewa leżały połamane, pogięte, powyrywane z korzeniami. Że dąb, pod którym się nasi podróżni schronili, ocalał, to był cud prawie. Na jego koronie leżała zwalona i powykręcana stara sosna, i ona to może, zasłaniając sobą dąb, ocaliła go od losu innych drzew. Mnóstwo zabitego ptactwa, wiewiórek, nawet rysia i żubra przygniecionego drzewem spotkali nasi podróżni, gdy zaraz o świtaniu puścili się w dalszą drogę.

X.

Gród Kraka.

Lisek pozbierał kilkanaście zabitych wróbli, jednego głuszca, parę drozdów, a z żubra wyciął cały comber.

— Zaraz dostaniemy się w góry — mówił — tam jest suszej. Rozpalimy ogień i upieczemy naszą zdobycz; jeść mi się chce jak psu ostatniemu, a w Krakowie nie będziemy wcześniej, jak na odwieczarz. Trzeba się też przy ogniu osuszyć, bo drzę z zimna, a nim słońce grzać zacznie, dużo jeszcze wody upłynie.

W puszczy było bardzo mokro. Z drzew kapł ciągle wczorajszy deszcz i niezdrowe pary podnosiły się dokoła. Ale zaczęły się już góry i wkrótce ujrzeli dużą skałę, prawie naga, porośłą jeno tu i owdzie jałowcem i mchem. Pod skałą rozkładała się łąka, bujną zarosła trawą i strumyk z wodą czystą jak łąza, trochę wezbrany przez wczorajszą burzę, przerzynał łączkę i ginał gdzieś dalej między skałami. Bo już teraz, jak okiem było zasięgnąć, piętrzyły się góry i wzgórze, zarosłe lasem lub łyse całkiem. Zabój wyszukał suche miejsce, ogrzane już trochę

przez słońce, i tu postanowił zapalić ognisko. Konie spędali i puścili na trawę na łąkę, a sami zajęli się zbieraniem mchu jak najsuchszego. Z wielkim trudem, tak wszystko było przez burzę zmoczone, udało im się rozpalić ognisko. Lisek zdjął z siebie kożuch i położył się spać, mówiąc, że całą noc czuwał; Zabój zaś zajął się przygotowaniem pożywienia. Oskubał ptaki i ponadziewał je na patyki, by się piekły; to samo zrobił z combrem żubra i pilnował, żeby się pieczeń nie przypaliła. Gdy już wszystko było gotowe, obudził Liska i z wielkim apetytem spożywać poczęli przygotowane im przez burzę pożywienie. Ale zjeść wszystkiego nie mogli. Pół combra zostało, które Lisek, owinawszy w liście, ułożył w uplecioną kobiałkę z łyka, jaką miał na sobie. Napili się wody ze strumienia, okiełznali konie i wypoczęci, najedzeni, wśród ślicznego dnia letniego puścili się w drogę.

Jechali teraz wyciągniętym stępem wśród gór i malowniczych widoków. Słońce już było wysoko i piekło mocno. Puszcza powoli rzedniała i miejscami napotykali całe pola zasiane żytem i chaty wiosek. Tu i owdzie spotykali się z ludźmi, jadącymi w pole, i witali się z nimi. Przebyli już wszystkie niebezpieczeństwa i byli spokojni i weseli. Wkrótce dostali się na szeroki, piaszczysty gościniec, idący tuż nad Wisłą i prowadzący prosto do Krakowa. Koło południa, gdy gorąco nie było do zniesienia, zatrzymali się

w jakiejś wiosce, tuż nad Wisłą leżącej, żeby przeczekać upał i wieczorem po chłodzie dostać się do grodu, który był już niedaleko.

Kmieć, człek jeszcze młody, Władybój zwany, przyjął ich gościnnie i poczęstował mlekiem i chlebem. Lisek dobył z kobiałki comber żubra i nawzajem zaprosił Władyboja. Jedli tedy i galdali.

— To wy do grodu jedziecie? — pytał Władybój.

— Tak, do grodu i pilno nam bardzo. A cóż tam w grodzie słyhać? — pytał Lisek.

— Nieszczęście i koniec, cóż ma być innego słyhać? Nikt tam z nas nie chodzi, chyba żeby kneziowi zanieść daninę, bo strach wielki i o śmierć łatwo.

— No, cóż to takiego?

— Albo ci nic nie wiecie, czy co?

— Nie wiemy nic, jako żywo. Nie byliśmy tu dawno i jedziemy zdaleka.

— Ano... on smok, słyszeliście o nim? — pytał Władybój.

— Coś tam słyszeliśmy. I cóż ten smok?

— A cóż, siedzi w jaskini pod Wawelem i kiedy głodny, pożera wszystko, co spotka. Szczyściem, że nie lata, bo mu kneź Leszek, starszy syn Kraka, przestrzelił oba skrzydła z łuku, wypuściwszy na to cały kołczan strzał. Ale to niewiele pomaga. Smok łązi i pływa po wodzie i jak mu owcy albo cielęcia codzien nie dadzą, to pożera ludzi, niewiasty i dzieci. Strach

więc jest wielki i nikt nie chodzi do grodu. Sam kneź siedzi zamknięty na Wawelu, jak czasu wojny.

— Ale skądże się ten smok wziął? — pytał Zabój, — przecie dawniej go nie było. Jak kneź zakładał gródek na Wawelu, to jaskinia była pusta, jeno trochę kości tam leżało.

— Czy ja wiem, skąd się ten smok wziął. Przyleciał skądś od gór i koniec. Kara Boża i nic więcej, bo to teraz takich smoków już niema na świecie i najstarsi ludzie nie pamiętają, by tu smoki były. W puszczy tej ono, co na zachód słońca leży, to podobno żyły dawniej smoki.

— A tak, ja sam widziałem jednego — odrzekł Lisek.

— Widzieliście? — odrzekł z ogromnem zaciekawieniem Władybój — i jakże on wyglądał?

Tedy Lisek począł opowiadać, jak on smok wyglądał, a Władybój ciągle głową kiwał i gadał:

— To tak samo jak ten na Wawelu. Ja go tu co prawda nie widziałem, ale mi ludzie o nim opowiadali.

Tak pogadawszy z Władybojem i przespawszy się trochę na sianie, gdy już słońce miało się ku zachodowi, Lisek i Zabój puścili się w drogę. Władybój, żegnając się z nimi, ostrzegał ich, by się mieli na baczości, bo smok zwykle wieczorem wyłazi z jaskini i biada tym, co ich spotka na drodze. Radził tedy, żeby przeszli gdzie

Wisłę i żeby z tamtej strony dostali się do grodu, bo z tej, gdy pod samym Wawelem będą chcieli przepłynąć, napotkają z pewnością smoka. Łódki tam teraz niema, bo się ludzie boją. Za wsią zaraz jest bród i niech tu przejdą Wisłę.

Dał im wyrostka, by ich do brodu doprowadził. Jakoż przeszli Wisłę wplaw, jakkolwiek wskutek nocnej burzy woda trochę przybrała i już drugim brzegiem jechali. Puszcza tu była przerzedzona i tylko na górach jeszcze widać było lasy. Niedaleko od grodu na wysokiej górze, tuż nad samą Wisłą, stała gontyna ukryta w lesie brzozowym i dębowym, kędy był posąg bożka Jessego, sławny na całą Chrobacką ziemię. Kiedy się wdrapali na tę górę, bo tędy szła droga, słońce już zachodziło i gród Kraka widać stąd było doskonale. Widać tedy było sam zamek na Wawelu oświecony jasno złotemi promieniami zachodzącego słońca. Był on drewniany, zbudowany z wielkich bali dębowych, dranicami kryty i zaopatrzony w wieżę, także z bali dębowych wzniesioną. Cały zamek otaczał częstokół. Gród to był wielce obronny, bo stał na górze stromej i sam był silnie zbudowany i obszerny. Pod Wawelem, ale nie od strony Wisły, widać było rozrzucone chaty, słomą po większej części kryte. Z drugiej strony za Wisłą, na wyssepce, na jeziorzku, unosiła się wysoka gontyna.

— Tę gontynę król Krak zbudował — mówił Zabój — dla bogini Dziedzilli i kapłani tam siedzą bardzo mądrzy.

Cały ten widok daleki jeszcze i u dołu ginący w mgłę wydobywającej się z Wisły i w ciemnościach, u szczytów oświetlony purpurowo zachodzącym słońcem, był prześliczny. Dolina, w której leżał gród, wśród puszczy okolicznych, wśród skał i gór, była jakimś ciepłem, zaciszniem schroniskiem. W dali widać było błękitne pasy lasów i oślepiające pod słońce wierzchołki gór, śniegiem pokrytych. Wisła wśród pól zielonych wiła się jak srebrna wstęga otoczona puchem mgły szarej i mętnej.

— Trzeba tu teraz ostrożnie jechać — mówił Lisek — żeby się ze smokiem nie spotkać. Ty, Zaboju, lepiej znasz ten kraj, prowadźże mię.

Opuścili brzeg Wisły jako niebezpieczny i puścili się przez pola, kołując i mając się na wielkiej baczności. Żywej duszy nie spotykali, tylko przepiórki i wróble płoszyli, ukryte po zbożach. Bo wielkie łany zboża kłoszącego się już leżały dokoła grodu. Skowronki wzbijały się w górę pod czyste niebo i zawisłszy jak czarne punkciki, śpiewały.

Słońce już zaszło i powoli zmrok zapadać począł, kiedy dostali się w ulicę między chaty, leżące u stóp Wawelu. Na ulicy nikogo nie było, a wszystkie chaty pozamykane były szczelnie; tylko dymy, wydobywające się przez kominy, zdradzały, że w chatach tych ludzie żyją. Psy zawzięcie ujadły lub wyły przeraźliwie, pochowane gdzieś po kątach. Widocznie, że przerażeni byli wszyscy sąsiedztwem smoka.

Zabój i Lisek pędem co koń wyskoczy przelecieli przez ulicę i już wdrapywali się na górę, na Wawel, gdy nagle rozległ się straszliwy ryk, jakby z pod ziemi idący. Konie tak się przerażyły, że spięły się i gwałtem chciały nawracać. Ledwie jeźdźcy zmusili je, że poszły dalej. Biedne stworzenia drżały na całym ciele i potem się okryły.

Ryk wciąż się rozlegał. Było w nim coś straszniejszego. Wśród ciszy wieczornej, którą przerywało rechotanie żab od strony wody, naszczekiwanie psów, cirkanie przepiórek i tysiące wreszcie szmerów, towarzyszących końcowi dnia letniego, ryk ten był jakby zwiastunem nieszczęścia, obrazem grozy, wiszącej nad tą piękną okolicą. Jeźdźcy nasi, przestraszeni nim do najwyższego stopnia, popędzali konie, które i tak biegły jak szalone i wkońcu dopadli bramy w gródku.

Z ponad bramy, z okienka umieszczonego pod daszkiem, wychyliła się głowa w lisiej czapce i nie mogąc dojrzeć z powodu szybko zapadającego zmroku naszych jeźdźców, słysząc tylko tętent, a potem głośnie sapanie koni, zapytała się:

— A kto tam?

— Swój. Z poselstwem do króla Kraka jedziemy.

— Z poselstwem?... A któż wy?

— Zmiłuj się, braciszku -- rzekł Lisek -- puszczaj nas do środka, bo nas smok pożre.

--- Ale kto wy tacy?

— Jam jest Zabój. Puśćcie nas...

— Dobrze, otworzę wam bramę, ale zostanieie w niej nie ruszając się pod strażą, dopóki starosta Zbiszek nie dowie się o was.

— Idź i powiedz tylko staroście, że Zabój od granicy niemieckiej przyjechał.

— Dobrze.

I mrucząc zlął ów strażnik z daszku i powoli odsuwać począł ciężkie wrzeciędzie w bramie. Czas już był wielki, bo ryk coraz donośniej, coraz bliżej się rozlegał i widocznie smok się zbliżał, czując może ludzi blisko. Konie dygotały od wielkiego strachu.

Ledwie weszli do środka, strażnik gwałtownie zamknął bramę i oddychając ciężko, zawołał:

— Bodaj was bies porwał! O małym smoka do grodu nie wpuścił. Uf! — sapnął potężnie, bo był tłusty i gruby, i przytykając oko do okienka w bramie, mruknął:

— Czego ta poczwara chce? Dostał przecież dzisiaj dwa barany. Czy mu nie dosyć?

Smok, którego chód był ciężki, podobny do zgrzytu, słyhać było, ryczał coraz bliżej i coraz donośniej, prawie tuż pod częstokołem. Psy w całym gródku wyły z okropnego widać strachu. Tymczasem strażnik, który miał tylko oszczep w rękę, obejrzał się na naszych podróżnych i spytał:

— Macie łuki?

-- Mamy.

— To chodźmy do świetlicy nad bramę i poślizcie temu czartowi kilka strzał, żeby go odpedzić od grodu.

Mówiąc to, kazał im konie zostawić w sieni bramy, a sam po drabinie poprowadził ich do świetlicy. Tu ostrożnie odsunął okienko i rzekł do Zaboja:

— No, weź go dobrze na cel, a mierz w ślepie, które mu się świecą jak ogień.

Zabój spojrział, ale z powodu ciemności nic dojrzeć nie mógł, tylko poruszającą się leniwie jakąś czarną masę, w której świeciły dwa jasne punkciki. Mimo to rozciągnął łuk z wielką siłą i strzała ze świstem wypadła. Zaraz rozległ się straszliwy ryk, słyhać było jakiś trzask, jakieś potężne sapanie i czarna owa masa szybko znikła.

— No, poleciał! — rzekł strażnik — dobrześ go poczęstował. A teraz chodźcie do starosty Zbiszka.

XI.

Król Krak.

Starosta Zbiszek, człek stary, pomarszczony na twarzy i przygarbiony nieco, ale krzepki jeszcze, kazał natychmiast, gdy się dowiedział o przybyciu Zaboja, stawić go przed sobą.

— Czy to ty byłeś przez knezia wysłany na granicę niemiecką?

— Ja, i właśnie wracam stamtąd.

— Co? czy Niemcy co knują?...

— Wojnę knują, idą na nas z wielką siłą — odrzekł Zabój.

— Patrzajcie! Ot, dola nasza. W domu smok, z którym nikt sobie rady dać nie może, a za domem gorszy od smoka Niemiec — gadał Zbiszek, kręcąc się i nadziejąc na siebie kubrak modrej barwy.

Gdy się już ubrał i miecz przepasał, rzekł do Zaboja:

— Czekać tu, ja dam kneziowi znać o tobie. Stary jest i może się wywczasuje już, ale trzeba go obudzić, bo to ważna nowina.

Powlókł się, kaszląc ciężko i utykając na jedną nogę. Wkrótce wrócił i rzekł:

— Kneź czeka, — pójdź do niego.

Przeprowadził go przez kilka izb, gdzie przy kominach z gliny i kamieni ulepionych, a na których paliły się wielkie kłody drzewa, siedzieli na drewnianych ławach pachołcy, w płóciennych kubrakach i uzbrojeni w miecze. Niektórych Zabój znał i chciał się witać z nimi, ale Zbisek nie dał mu się zabawiać niczem, gadając:

— Kneź czeka, a wiesz, że jest niecierpliwy i srogi, gdy w gniew wpadnie.

Doszli wkońcu do izby Kraka, przed której drzwiami stał na straży z włócznią w ręku w rysim kołpaku pachołek. Weszli do środka dużej świetlicy, której ściany okryte były cennymi makatami ze Wschodu, a na makatach tych wisały łuki prześliczne, miecze, tarcze z żelaznej blachy, oszczepy i włócznie. Dalej zaś na ławie leżała rzecz nader rzadka i kosztowna w tych czasach, całkowita zbroja żelazna, z hełmem ozdobionym rysim łbem i ogonem końskim, z koszulką drucianą, naramiennikami i nagolennikami. W kącie stał wielki komin, zbudowany z wypolerowanych kamieni, które się świeciły jak złoto. Na kominie gorzał duży ogień, jasno oświetlający izbę, a przy ogniu stało młode chłopię i poprawiało on ogień, podsycając go ciągle drobno porąbanymi drewnienkami. Blaski tego ognia włóczyły się po całej świetlicy i przegłądały w tarczach i mieczach na ścianie, w zbroi na ławie. W kącie, na berle drzemał ulubiony sokół Kraka, z kapturem na łbie.

Sam Krak leżał wsparty na wezglowiu łoża, pokryty takimże drogim kobiercem jak ściany i pilnie patrzył we drzwi. Ubrany był w biały płócienny kubrak, a nogi miał w trzewikach z czerwonej skóry. Przy nim u wezglowia stał nagi oszczep i tarcza żelazna polerowana mocno, tak że w niej cały komin i ogień na nim i pacholę odbijało się, jak w zwierciadle. Na owej tarczy wymalowany był misternie czarny kruk. Tarczę tę dostał Krak w podarunku od cesarza carogrodzkiego i lubił ją bardzo, tak że zawdy u jego wezglowia stała.

Sam Krak był to mąż olbrzymiego wzrostu i olbrzymiej siły. Barczyste plecy jego, gdyby podparły dąb, toby go wywróciły. Na tych barkach, na krótkim i grubym jak u tura karku, spoczywała wielka głowa, porośnięta bujnym, czarnym, skędzierzawionym włosiem, tu i owdzie dobrze przyprószonym siwizną. Włosy te spadały mu na czoło i nad oczami przyszczyżone były równo, żeby nie zasłaniały wzroku. Czoło spalone słońcem, bronzowe prawie, poorane zmarszczkami, kończyło się dwoma krzaczastymi brwiami, czarnymi jak pióra krucze i groźnie ściągniętymi. Z pod tych brwi patrzyło dwoje oczu także czarnych, szeroko rozwartych, pełnych ognia, przenikliwości i srogości. Wogóle cała twarz ciemna, obrośnięta bujną brodą, siwiejącą więcej niż włosy, miała wyraz srogości i nieustraszonego niczem męstwa. Gdy Zbyszek i Zabój weszli do świetlicy, Krak zerwał się ze swego łoża,

siadł na niem i wpił swe dzikie oczy w Zaboja. Ten podszedł ku Krakowi, pokłonił się ręką nisko i ujął go za kolana, poczem odszedł skromnie do drzwi.

— Tyś Zabój? — spytał Krak głosem grubym, jak u żubra.

— Tak, kneziu.

— Wracasz od granicy niemieckiej?

— Tak, kneziu.

— Z czem wracasz? gadaj!...

— Niemcy idą, kneziu, na ciebie i na gród twój. Wiedzie ich sławny wojewoda Rytygierz i kiedym ruszył z tą wieścią do ciebie, będzie temu ze dwadzieścia dni, to już był w ziemi czeskiej i mieczem a ogniem sobie poczynął.

— Skąd wiesz, że on idzie na mnie?

— Schwytaliśmy jednego Niemca i przypieklszy mu podeszew, dowiedzieliśmy się o tem. Gadał on Niemiec, co był jakimś znacznym między swymi, że wojewoda Rytygierz zasłyszał o waszej córce, kneziu, Wandzie i chce ją pojąć za żonę...

Na te słowa Krak zerwał się z siedzenia i chwycił w uniesieniu straszego gniewu za oszczep. Oczy mu się świeciły jak dwa ognie i iskry z nich się sypały. Był taki straszny, że chłopie, pilnujące ognia, przycupnęło w kącie i kwilić poczęło.

— Moją córkę Wandę chce pojąć ten czart niemiecki za żonę? Bodaj go pioruny spaliły, tego psa przekłętogo! Dam ja mu żonę!...

Chodził po świetlicy wielkimi krokami i z taką siłą, że aż się trzęsła cała, sapiąc potężnie. Ale uspokoił się zaraz, cisnął oszczep w ką, i założywszy ręce w tył, stanął przed drżącym Zabojem, który chociaż był parobek smagły, musiał jednak dobrze głowy zadzierać, by spojrzeć w oczy Krakowi, takiego był ten kneź olbrzymiego wzrostu.

— Widziałeś Niemców? dużo ich jest?

— Jak liści w lesie. Rozlecieli się niby szarańcza po całej Czechji i do Morawy już sięgali. Tu i owdzie Czechy ich biją, i ja sam z władyską Bolkiem w zasadce potłukliśmy trochę Niemców i wzięli ich wodza do niewoli, który wyśpiewał wszystko. Gotholf on Niemiec się zwał i Czesi spalili go na stosie przed gontyną.

— I mówił wyraźnie, że na mój gród idą, że wojewoda ich chce Wandę wziąć za żonę?

— Tak, kneziu, gadał to wyraźnie i dodawał że Rytygierz, gdybyście mu, kneziu, córki nie dali, mieczem wszystko wytnie a ogniem spali.

Krak znów przeszedł swym ciężkim krokiem dwa razy świetlicę, poczem spytał:

— Jak prędko tu Niemcy być mogą?

— Jeśli im nic nie stanie na przeszkodzie, to prędzej, nim miesiąc obróci.

— Dobrze! odejdz. — Zbiszek, zostań.

Zabój pokłonił się do kolan Krakowi i wyszedł. Przez chwilę król chodził wielkimi, ciężkimi krokami po świetlicy, zamyślony głęboko,

oddychając głośno i trąc czoło. Była taka cisza, że słychać było miarowy krok straży koło częstokołu i trzask ognia w kominie. Nakoniec Krak zatrzymując się przed Zbiszkim, z rękami wtył założonemi, jak to miał zwyczaj czynić, zapytał:

— A to piękne rzeczy! Nieprzyjaciel w domu i nieprzyjaciel za domem. Bodaj to siarczysty bies porwał! Ten Rytygierz, ja go znam, on tu już raz wałęsał się niedaleko nas, po Panonji, wielkiej krainie, co leży za górami. A ten smok? Nie jestże to straszne nieszczęście? Do wszystkich piorunów, trzeba z nim raz skończyć! Jeżeli nikt się nie znajdzie, to ja sam, wziąwszy oszczep i tę oto tarczę, pójdę na niego wstępnym bojem.

— Ze smokiem to tam kneź Leszek da sobie radę. Tak przynajmniej mówi. Z jakimś kupcem greckim, co tu przyjechał z towarami, coś tam od dwóch dni pitraszą i smażą, żeby onego smoka zgładzić ze świata i mówią, że zgładzą.

— Cóż to za kupiec grecki? — nic o nim nie słyszałem.

— Raz go jeno widziałem, bo się nikomu nie pokazuje, tylko siedzi w świetlicy knezia Leszka. Stary już jest, siwy. Ludzie opowiadają, że kiedy przyjechał na rynek Krakowa i dowiedział się o smoku, to dziwił się wielce, że go dotąd nie ubito, że onby to zrobić potrafił. Kneź Leszek, który chodził wtedy po rynku i zbierał daninę, usłyszał te słowa kupca i zaraz go wziął do siebie i teraz coś tam warzą a pieką.

— I dawno to było?

— Dwa dni temu.

— I czemu mnie o tem nie powiedziano?

— A o czemże tu gadać, kneziu! Mało to już było takich junaków, którzy głośno krzyczeli, że zabiją smoka a on ciągle żyje? Mnie się widzi, że z tym kupcem tak będzie.

— Prawda i to, Zbyszku, ale Greci to mądry naród, a grody u nich takie wielkie, jak nasze opola całe z niwą i lasami. Ha! muszę ja z tym kupcem i Leszkiem pogadać, bo tego smoka zabić trzeba koniecznie wprzód, nim na Niemców wyruszymy. Cóż, Zbyszku, myślisz o Niemcach?

— Co myślę, kneziu? Myślę, że trzeba im stawić czoło, zwołać wszystkich mężów i wyruszyć na Rytygierza. W puszczy tej należy poczynić zasieki i zasadzki.

Krak nic na to nie odpowiedział, tylko chodził po świetlicy, trac czoło, szarpiąc brodę i wąsy, a potem rzekł do Zbiszka:

— Idź-no, Zbyszku, obacz, czy Leszek i on kupiec nie śpią jeszcze, a jeżeli nie śpią, niech tu do mnie przyjdą.

Zbisek skłonił się i miał już wyjść, gdy rozległ się znowu okropny ryk smoka, napełniający ciszę nocy letniej niesłychaną wrzawą. Ryk był tak silny, że wszystko się trzęsło prawie. Chłopię, poprawiając ogień na kominie, aż przysiadło ze strachu i wytrzeszczyło swe wielkie, przerażone oczy. Krak aż skoczył z gniewu i krzyknął:

— Bodaj cię czart pochłonał, bodaj cię wila zdusiła, boginka porwała, mora zameczyła, przeklęty smoku! Czego on tak ryczy! Czy mu nie dano jeść dzisiaj? Ej, do biesa, oszczepem przebiję tego, kto mych nakazów nie wykonywa!

Zbiszek zatrzymał się na te słowa i swym suchym, kaszlącym, spokojnym głosem odrzekł:

— Nie sierdźcie się, kneziu, bo wasze rozkazy zawsze są wykonane należycie. Smokowi rzucono dziś barana i cielaka, a któż to wie, czego on chce. Łazi po nocy i kiedy Zabój przybył, to ledwie go nie porwał. Zabój mu strzałę posłał i tem odpędził od częstokołu.

— Dobrze, dobrze, — idź zawołaj mi Leszka.

Zbiszek wyszedł, a Krak wciąż przechadzał się po świetlicy, wsłuchując się w ryki straszne-go potwora, ryki, ciągle się powtarzające.

Smok zdawał się oddalać i znowu zbliżać, jakby błądził koło grodu. Krak ostrożnie odsunął drewnianą zasuwę od maleńkiego okienka i spoj-rzał. Ale noc była ciemna, bezksiężycowa i nic widać nie było, krom bielejącej się Wisły. Od wody podnosiły się mgły białe, niezdrowe i zasłaniały wszystko. Widać tylko było tuż pod okienkiem tulącego się do częstokołu i wpatrzoniego przed siebie strażnika, w lisiej czapce z czap-lem piórem, jak wsparty na włóczni stał i zda-wał się słuchać przerażających ryków smoka, którego Krak pomimo pilnych poszukiwań nigdzie dostrzec nie mógł. Nagle coś plusnęło w wodzie, jankby wpadł w nią wielki kamień lub kloc drze-

wa, i na białej powierzchni Wisły coś zaczerniało i ruszać się poczęło. Krak w jednej chwili porwał za łuk, odsunął okienko zupełnie, naciągnął cięciwę i strzała ze świstem wypadła. Skutku tego strzału dojrzeć nie można było, ale gwałtowne pluśnięcie i bolesne zaryczenie znamionowało, że smok ugodzony został i dobrze, kiedy aż ryczał z bólu. Potem słyhać było jeszcze pluskanie szybkie, smok znikł gdzieś we mgle i zaległa zwykła cisza nocy letniej.

W tej chwili właśnie drzwi się otworzyły i do świetlicy wszedł młodzian i z pokorą objawszy Kraka rękami za nogi, ucałował je obiedwie. Był to Leszek, pierworodny syn knezia na Krakowie.

XII.

Leszek Krakowicz.

Lech, zwany zdrobniale Leszkiem, starszy syn Kraka, który miał ich dwóch, był wysokim jak ojciec młodzianem, o jasnych, konopiastych włosach, przyciętych nad czołem równo. Ubrany w zwyczajny biały, płócienny kitel, krótki, bo do kolan zaledwie sięgający, przepasany rzemieniem suto nabijanym różnemi świedźlami, pokłoniwszy się, stanął w pokornej postawie przy drzwiach i czekał na rozkazy ojca. Krak swym grubym, surowym głosem, wpatrując się bystro w syna, zapytał:

— Co to za kupiec grecki u ciebie siedzi?

— Siedzi on u mnie, bo powiedział, że zabije smoka. Od dwóch dni smaży i gotuje coś, co jak się wsadzi w barana i rzuci tego barana smokowi, tak on zaraz pęknie i rozleci się na drobne kawałki. Tak mówi on kupiec.

— Skądże on jest?

— Z Carogrodu, ojcze. Uczony to mąż i ma ze sobą jakieś wałki, po których popisane są różne znaki i on na to patrzy i szepcze coś do

siebie. Powiada, że u nich w Carogrodzie wszyscy znają się na takich znakach.

— I powiada, że smoka zabije?

— Tak powiada. Ja mu za to obiecałem, że żadnej daniny składać mi z targu nie będzie przez dziesięć lat, jeżeli smoka zabije.

— Jakże on się zowie?

— Trudno wymówić jego nazwisko, takie dziwaczne, a przytem zapomniałem .

— Czemu tu nie przyszedł?

— Bo już śpi. Stary jest i słaby.

— I kiedyż on tego smoka zabije?

— Jutro. Dziś nie kazał mu nic dać jeść, żeby był głodny. To też barana i cielę, które Zbyszek wysłał dla smoka, zatrzymałem. Głodny jest i łązi i ryczy aż strach teraz.

— Hm! — mruknał Krak — idź spać a jutro rano przyprowadź mi tego Greka, chcę go obaczyć.

To mówiąc, kiwnął głową synowi, chłopięciu, pilnującemu ognia, kazał precz pójść i zrzuciwszy trzewiki z nóg i czerwony żupan z grzbietu, owinął się w skórę niedźwiedzią i legł na wezglowiu. Wkrótce słyhać było tylko głośnie i ciężkie chrapanie króla Kraka w świetlicy.

Nazajutrz o świcie, gdy się tylko na gródku ruszać poczęto, zaraz rozeszła się wieść, że Leszek przy pomocy brata i kupca greckiego postanowił zgładzić smoka. Potwór ten całą noc ryczał z głodu i teraz, przy wschodzie słońca, ludzie ukryci za częstokołem, lub za okienkami

dworca widzieli straszne zwierzę, leżące nad brzegiem Wisły i bijące z wściekłości wielkim ogonem o ziemię. Każde uderzenie rozlegało się dokoła jak huk jakiś straszny, a ryki potwora przerażały wszystkich. Nikt z mieszkańców grodu nie śmiał wyjść za częstokół, ani też w mieście na dole nie było widać żadnego ruchu. Wszyscy siedzieli w swych chatach, pozamykani starannie. Opowiadano, że w nocy jakiś rybak płynący Wisłą, cudem tylko uszedł przed smokiem, wsadziwszy mu w paszczę wiosło. Zwierz ciskał błyskawice ze swych ślepi, z których jedno zranione wczoraj strzałą Zaboja sączyło brudną czarną posoką.

Zabój z Liskiem wyszli także pod częstokół, by się przypatrzeć poczwarze. Nic podobnego w życiu nie widzieli i prawie zdrętwieli z przerażenia, spojrzawszy na straszego smoka, leżącego nad Wisłą, na piasku i ryczącego donośnie.

Na szyi olbrzymiej długości, szyi cienkiej, podobnej do łabędziej, mieścił się wielki łeb z ptasim dziobem. Łeb ten był grubszy od szyi, a równy jej co do długości. Opatrzony on był w dwa ślepie, z których jedno, jak się wyżej rzekło, sączyło krwawą, brudną posoką i miało jeszcze odłamek strzały w sobie, oraz w paszczkę, nakształt dziobu ptasiego. Paszczę tę smok rycząc otwierał i wówczas widać było długi cienki język i dwa szeregi strasznych zębów. U cielska, grubego i podługowatego, były dwie przednie nogi uzbrojone w pazury wielkości rąk

ludzkich, a między palcami była błona, jak u ptaków wodnych. Nogi przednie z tylnymi złączone były skrzydłami z czarnej błony, jak u nietoperza, a wielki, płaski ogon, taki sam jak u bobra, leżał na piasku i bił w niego z niezwykłą siłą. Całe ciało nakoniec, okrom skrzydeł i brzucha, pokryte było twardą łuską, od której strzały i pociski się odbijały, jak od żelaza lub kamienia. Chcąc zranić potwora, trzeba było mierzyć w ślepie lub brzuch lub skrzydła. To też miał on skrzydła tak poranione i ponabijane strzałami, że latać wcale nie mógł. Było to dzieło Leszka, starszego syna Kraka, młodzieńca walecznego i mężnego, który nieraz całymi dniami czyhał ukryty na smoka, by mu skrzydła poprzestrzelać i tym sposobem mniej szkodliwym go uczynić. Jakoż smok latać już teraz nie mógł, a choć na wodzie pływał z dawną, niezmierną szybkością, na ładzie jednak na koniu już można było przed nim uciec, co dawniej było wprost niemożliwym, z powodu że smok, goniąc jakąś ofiarę, zrywał się do lotu, a lot ten miał szybszy od jaskółki.

Teraz atoli głodny i wściekły leżał na piasku, rycząc i bijąc ogonem, wyciągając swą długą szyję dokoła i patrząc krwawymi ślepiami. Z poza częstokołu, z okien dworca obsypywano go strzałami, na które nie zważał, a które odbijały się od jego twardej łuski, jak od najlepszej zbroi. Czasem tylko, gdy strzała uwięzła w poranionych i zlanych czarną posoką skrzydłach, ryczał boleśnie, potrząsając zranionem skrzydłem, jak-

by chciał ulecieć. Zabój kilkakrotnie naciągał łuk, mierząc w ślepie, ale i tutaj natrafiał na łuskowatą powiekę, którą zwierz szybko zasłaniał oko i to, że wczoraj zdołał zranić smoka w jedno oko, uważano za rzecz nadzwyczajną. Wkońcu zwierz podniósł się, wyciągnął swą długą szyję, popatrzał dokoła i schronił się do swej jaskini pod Wawelem. Stamtąd dochodziło tylko potężne jego sapanie, podobne do szumu olbrzymiego wodospadu, lub do wichru, wstrząsającego drzewami w lesie.

Gdy tak witano na dziedzińcu dworca smoka i rozpowiadano, że dziś Leszek z kupcem carogrodzkim ma na niego wyprawę zrobić, w świetlicy Kraka, który już wstał ze snu, zebrali się obaj jego synowie, kupiec carogrodzki i Zbiszek. Drugi syn Kraka, także Krak nazwiskiem, ale młodszy od Leszka, stanął sobie przy kominie, na którym gorzało, jak zwykle, ognisko i jak codzień pacholę pilnowało tego ognia. Młodszy ten Krak był całkiem podobny do ojca, miał jego bujne, kędzierzawe czarne włosy, czarne ponure, dzikie oczy. Stanął w kitlu białym z rzemiennym pasem, u którego miecz wisiał, założył ręce na piersi i milczał, patrząc zpoдеłba na wszystkich.

— Witajcie mi — mówił Krak stary, przypasując miecz do boku, a zwracając się do kupca carogrodzkiego dodał z lekkim ukłonem głowy: — Witaj nam, gościu, w naszej dziedzinie.

Kupiec ów, siwowłosy starzec, z wielką białą jak mleko brodą, ubrany w długą białą szatę

oszyty purpurowemi paskami, skłonił się Krakowi pokornie i składając ręce na piersi, rzekł łamanym trochę wschodnich Słowian językiem:

— Sługa sług twoich jestem, królu potężny i mocny — i co rozkażesz, to spełnię, choćbym życiem to miał przyplacić.

— Mówiono mi, kupcze — odrzekł na to pokorne powitanie Krak — że macie jakiś sposób tajemniczy, nieznanany nikomu, zabicia smoka, który strasznym jest nieprzyjacielem moim i ludu mojego, gorszym od Obrów i od Niemców. Maszże taki skutek, kupcze?

— Wszystko jest w ręku Boga, potężny królu — rzekł na to kłaniając się kupiec — ale oto w piśmie jednym ojca mego znalazłem wiadomość, jak należy robić tak zwany ogień grecki, który niszczy, pali się nawet na wodzie, rozrywa na szczątki tych, którzy go się dotkną. Taki ogień zrobiłem i chcę nim smoka zgładzić, jako żywo.

Słowa te wszystkich zadziwiły niezmiernie, oprócz Leszka, który już wiedział, o co idzie.

— Czarownik jesteś wielki, kupcze — rzekł Krak, poglądając na Greka z trwogą i nieufnością — ale dam ci wszystko, co będziesz chciał, byleś onego smoka zgładził.

— O jedno tylko chcę prosić, by moi ludzie mogli przyjeżdżać tutaj z towarami wschodnimi, nie płacąc żadnej i nikomu daniny.

— Dobrze — odrzekł Krak — zaprzysięgniemy na garść włosów naszych i na trawę, że nie będą

wasi ludzie i niewolnicy wasi płacili żadnej daniny.

— A teraz — rzekł kupiec — nauczyłem już walecznego syna waszego, o królu mocny i potężny, jak ma sobie postępować, by smoka zabić. Ja już stary jestem i nogi mi nie służą, bym miał chodzić do walki ze smokiem.

Leszek wystąpił naprzód i obejmując nogi ojca, rzekł:

— Pozwólcie mi, ojcze pójść na smoka.

— Jakże to! sam chcesz iść?

— Sam.

— Nie, tak być nie może. Pójdziecie razem z Krakiem. Wychowałem was, synowie moi, w poszanowaniu cnót moich, obu wam przystoi uzbroić się i nieodzownie stanąć do walki z potworem, albowiem jesteście połową mojego żywota, do której należy następstwo w tej ziemi.

Krak, dotąd milczący, ruszył się od komina i kłaniając się ojcu do kolan, rzekł:

— Nie wierzę ja, ojcze, ani w ten ogień grecki, ani w tego kupca. Jeżeli mi każecie, pójdę z oszczepem jeno w garści i z tarczą na smoka, ale pocóż próżne ofiary? Obaj tam zginiemy i nie będzie kto miał królować w Chrobacji po twej śmierci. Gdybyście, ojcze, chcieli mię posłuchać, to najlepiejby było rzucić ten nieszczęśliwy gródek i przenieść się gdzie indziej. Ale jak każecie pójść, pójdziemy. Żal mi tylko Leszka.

— Nie lękaj się, braciszku — zawołał Leszek — smoka zabijemy.

— Idźcie więc — rzekł Krak.

Obaj bracia jeszcze raz pokłonili się ojcu i wyszli. Gdy przechodzili przez sąsiednią izbę, otworzyły się drzwi boczne, i ukazała się w nich postać niewieścia. Ubrana cała biało, z wieńcem z kwiatów na głowie, z rozpuszczonemi, długimi i jak złoto jasnymi włosami, stała ona we drzwiach, cała oświecona wdzierającemi się przez zasunięte okna blaskami dnia. Była ona podobna do boginki, taka była piękna. Była to Wanda, jedyna córka Kraka.

— Braciszku Leszku i braciszku Kraku! — szepnęła.

Podeszli ku niej w milczeniu, Krak surowy i dziki, Leszek uśmiechnięty.

— Co chcesz, siostrzyczko?

— Idziecie na smoka. O! weźcie ode mnie ten talizman, co mi go kupiec jeden przywiózł z ziemi Italskiej, z Rzymu.

I włożyła na Leszka wiszący na złotym łańcuszku krzyżyk, a potem rzuciła mu się w ramiona i załkała głośno. Ucałowała obydwoch i mówiąc:

— Gdybyście nie wrócili, jabym się utopiła — znikła za drzwiami.

Leszek, ocierając łzy, ruszył, a za nim Krak jak zawsze ponury i milczący.

XIII.

Walka ze smokiem.

Obaj bracia uzbroili się, jak na wojnę, na tę straszną, niebezpieczniejszą niż wojna, wyprawę. Na głowy włożyli żelazne hełmy, ozdobione rysiemi łbami, na piersi wdziali koszulki druciane, przypasali krótkie miecze do boku, zarzucili na lewe ramiona tarcze żelazne, na których podobnie jak na ojcowskiej misternie namalowany był kruk czarny, i tak wyruszyli na dziedziniec dworca. Tu czekały już na nich dwa niewielkie zwinne i wytrwałe, myszate koniki. Otoczeni przez wszystkich, którzy byli na dworcu, żegnając się z nimi, dosiedli koni. Wielu płakało, ścisnąc synów królewskich; zwłaszcza z Leszkiem, który miał dokonać głównego dzieła i którego wszyscy kochali, żegnano się serdecznie. Nie było nikogo prawie we dworcu, ktoby nie przyszedł uścisnąć młodzieńca. Siedział on na swym koniu i uśmiechał się dobrotliwie, podczas gdy Krak wzrokiem dzikim i okrutnym spoglądał dokoła. Jego czarne oczy z pod hełmu rzucały błyskawice i obejmowały niekiedy brata wzrokiem pełnym nienawiści.

Nakoniec zjawił się kupiec carogrodzki, a za nim dwóch jego niewolników niosło żywe jagnię. Zbliżył się on do królewicza Leszka i szepnął mu do ucha:

— Wiesz, królewiczu, jak się masz zachować, ale ja ci to jeszcze raz powtórzę. Gdy się zbliżysz do smoka, zapal oto to łuczywo w gębie jagnięcia umieszczone, ciśnij jagnię przed smoka i uciekaj co koń wyskoczy. Dla zapalenia łuczywa masz tu woskową świecę zapaloną i jedź w imię Boga Wszechmocnego, Boga chrześcijan!

Leszek przyrzekł, że wszystko uczyni tak, jak mu Grek powiedział, wziął jagnię przed siebie, pochodnię w prawą rękę i wyruszył. Krak dobył oszczepu i wyruszał za bratem. Gdy już otwierano im bramę, wśród ogólnych życzeń i płaczu rozległ się z okienka dworca śliczny, srebrny głos królowej Wandy:

— Żegnajcie mi, braciszkuwie!

Obrócili się obaj i ujrzeli królownę w otwartym oknie, przesyłając im białymi rączkami pożegnanie. Wkrótce wyjechali za bramę i słyhać było odgłos kopyt końskich, uderzających o skalisty grunt góry Wawelu.

W tejsze chwili do bramy, gdzie stał Zbyszek, dopadł na swym koniu Zabój, uzbrojony w łuk i swój długi miecz niemiecki.

— Zbiszku, puśćcie mnie... i ja pojedę na smoka za królewiczami. Nie zostawię ich przecie samych.

— Dobrze, jedź!

To mówiąc, Zbyszek rozwarł bramę i wypuścił Zaboja. Właśnie w tej chwili smok, który miał słuch wyborny a węch jeszcze lepszy, zaryczał donośnie i leniwie wywlókł się ze swej jaskini. Zabój usłyszał ten ryk, który tak przeraził jego konia, że spał się na zadnie nogi i gwałtem zawrócił ku bramie. Chłopak musiał całej siły użyć, żeby zmusić konia do dalszej drogi. Pędem zbiegł z góry zamkowej, dzierżąc nagi miecz w swej ręce, gotów obces rzucić się na smoka, taka go jakaś wściekłość ogarnęła. Ale właśnie spostrzegł obu braci, okrążających górę i jadących spokojnie stępą. Zatrzymał się, bo bał się rozgniewać królewiczów, bez których wiedzy i woli wyjechał. Posuwał się więc za nimi wolno, zdaleka, nie spuszczać ich z oczu ani na chwilę, gotów nieść im pomoc w razie potrzeby. Jechali oni ciągle noga za nogą, tuż obok siebie, Leszek z zapaloną świecą w ręku, Krak z gołym oszczepem. Dzień był gorący i w ciszy, jaka panowała dokoła, słyhać było niemal skwarzenie się powietrza w warze słonecznym. Ćwierkanie przepiórek ze zbóż dochodziło aż tutaj. Kilka lip, stojących koło drogi, szumiało cicho, a roje pszczół z sąsiednich uli z brzękiem obsiadło poczynające już kwitnąć drzewa. Ryk przeraźliwy smoka, urywany teraz, drżący wściekłością, powtarzał się co chwila, wstrząsając dokoła powietrze i płosząc ptactwo, które z krzykiem i piskiem wznosiło się w górę.

Nagle Zabój widzi, że obaj bracia zatrzymali się i Leszek, trzymając w jednej ręce łeb jagnięcia z owem łuczywem, drugą pochylił świecę gotowy do zapalenia łuczywa każdej chwili. Krak, dzierżąc oszczep i zasłaniając głowę tarczą, pochylił się na koniu tak, jakby chciał się naprzód rzucić na niewidzialnego wroga. W tem miejscu skała tworzyła takie wklęsnięcie, że ani Zaboja, ani obu królewiczów z dworca dojrzeć nie można było. Zabój zatrzymał także konia, zdjął szybko łuk i z ręką na cięciwie czekał na pokazanie się smoka, gdyż zapewne bracia dlatego się zatrzymali, że usłyszeli jego oddech ciężki i syczący, jaki wydawał, idąc. Postanowił Zabój dobrze wymierzyć i nim królewicze co zrobią, wpakować smokowi strzałę w ślepie. Ale koń drżał tak pod nim i tak się rzucał, że o dobrem wymierzeniu nie było nawet co myśleć. Wobec tego Zabój zdecydował się szybko. Zeskoczył z konia, którego zaraz puścił, a który rżąc w szalonym pędzie pognał nazad, sam zaś przykląkł na jedno kolano i ze strzałą na cięciwie czekał.

Niedługo czekał. Z poza skały ukazała się najprzód olbrzymia, rozwarta, najeżona zębami paszcza smoka, z językiem wysuniętym, sycząc i wydając krótkie, urywane ryki. Ogromne, szeroko rozwarte, krwawe oczy wpatrzyły się w braci, którzy nie ruszyli się z miejsca, ale walecznie dotrzymali placu, choć konie im się spięły i rzucały jak szalone. Zabój ze spokojem, z pew-

nością ręki, naciągnął silnie łuk i strzała ze świstem wyleciała. Rozległ się straszliwy, długi, przeciągły ryk, a zaraz potem potężne uderzenie ogonem. Zabój cisnął łuk i porwał za miecz, stając na nogach i poglądając przed siebie. Smok już cały rzucił się ku braciom, zlany posoką, bo strzała Zaboja uwięzła mu w drugim, zdrowym ślepiu z taką siłą, że widać było tylko jej koniec oblepiony piórami. Smok ryczał z bólu i z wściekłości bił ogonem w ziemię tak, że pryskało w górę. W tejże chwili Leszek zdołał zapalić luczywo umieszczone w mordce jagnięcia i samo jagnię cisnąć przed smoka. Zrobiwszy to, zawrócił konia i już sunął się w pędzie kilka kroków, gdy nagle buchnął płomień, rozległ się huk jakby piorunu i dym zakrył wszystko przed oczami Zaboja. Widział on jednak przez jedno okamgnienie Leszka, jak szamotał się ze wspinającym się koniem, widział, jak nad głową jego błysnął, niby wąż, oszczep Kraka, jak Leszek rzucił parę razy w powietrzu rękami i... potem wszystko przed oczami zakrył mu dym, kurz, szczątki kamieni, rozlatujących się z siłą na wszystkie strony.

— Coś złego z Leszkiem się stało! — krzyknął Zabój i pędził co miał sił naprzód.

Wśród smrodliwego i duszącego dymu ujrzał najprzód konia Leszka, pędzącego gwałtownie naprzód, a potem samego królewicza, leżącego na ziemi, z gołą głową, bez hełmu i zlanego krwią. Obok Leszka stał Krak pieszo, ocierając o trawę skrwawiony swój oszczep. Mnóstwo

szczątków rozerwanej skały, ziemi, murawy, drgających jeszcze kawałków smoka leżało dookoła.

— Co się stało? — zawołał Zabój do Kraka odwróconego doń tyłem i ciągle zajętego ocieraniem swego oszczepu.

Zadrżał Krak i odwrócił się gwałtownie na słowa Zaboja. Był strasznie, trupio blady. Oczy mu świeciły dziko, a usta drgały jak w febrze. Obrzucił wzrokiem stojącego przed nim Zaboja i przez chwilę miał takie wejście, jakby się chciał rzucić na niego z oszczepem. Ale widząc w ręku Zaboja wielki miecz niemiecki, którym chłopak w uniesieniu groźnie potrząsał, wstrzymał się i stał milczący, patrząc ciągle na niespodziewanie pojawiającego się Zaboja, jak na niezemskie jakieś zjawisko.

— Kto zabił Leszka? — krzyknął Zabój.

Krak znowu zrobił ruch groźny, ale jeszcze raz się powstrzymał, zwłaszcza, że słyhać było głosy ludzkie, tętent biegnących koni, wrzawę śpieszącej pomocy.

— Kto zabił? — mruknął — alboś głupi, alboś oszalał, Zaboju, że takie pytanie zadajesz. Smok dosięgnął go pazurem i rozplątał głowę biednego mego brata.

To rzekłszy, siadł na trawie, zakrył rękami twarz i głośno płakać począł. Trząsał się cały w tym płaczu, jakby nim dreszcze miały, a potem rzucił się na murawę i tarzał się w pyle, jęcząc donośnie.

Biedny Leszek leżał tymczasem na ziemi, ob-sypany pyłem, twarzą do góry, po której ciekła krew jeszcze. Piasek dokoła był zlany krwią. Wielkie niebieskie oczy królewicza były szeroko rozwarte z wyrazem przerażenia i niewysłowio-nej grozy, usta napół uchylone zdawały się py-tać o coś. W rękę trzymał jeszcze zgaszoną świecę woskową, którą mu dał był kupiec caro-grodzki. Zabój, nie zważając na jęki i płacz Kraka, podniósł leżący opodal hełm Leszka i oglądał go starannie. Znać na nim było ryse i zagłębienie, jak gdyby od silnego cięcia miecza.

— Smok nie miał miecza — mruknął Zabój — i niech mi nikt nie gada, że Leszek zginął od pa-zurów smoka. Widziałem ja wśród dymu błysk oszczepu nad głową Leszka.

Mówiąc to, zdjęty wielkim żalem, zbliżył się do leżącego i ciepłego jeszcze Leszka i począł badać jego ranę. Była to wielka, głęboka ryna przez głowę. Cięcie, czy uderzenie, było tak sil-
ne, że mózg wyprysnął. Leszek musiał umrzeć w jednej chwili. Od mnóstwa wylanej krwi jasne włosy królewicza pozlepiały się i pomieszane z mokrym od krwi piaskiem leżały jak jakieś brudne ciemnoczerwone pręgi.

Leszek nie żył, i Zabój, czekając na przyby-
cie ludzi, których słyszał nadchodzących, obró-
cił się do smoka. Działanie tajemniczego „ognia greckiego“, jak go nazwał kupiec carogrodzki, było tak silne, że smok został rozerwany na szczątki i tworzył teraz jakąś miękką, grzaska,

krwawą masę bez kształtu i życia. Tu i owdzie leżały pojedyncze kawały jego cielska. Owdzie część pancerza, tam kawał szczęki, tu łapa jedna, tam skrzydło. Potwór już nie mógł nikomu szkodzić, został zabity. Zabój podniósł kilka łusek oderwanych od cielska i dziwił się ich twardości.

Jeszcze przypatrywał się smokowi, gdy na czele kilkudziesięciu ludzi nadbiegł Zbiszek, a za nim powoli, kto jeno żył, przychodził, bo wieść się rozeszła, że smok zabity. Wszystkie kobiety, wszystkie dzieci z Krakowa krążyły teraz koło potwornego bezkształtnego cielska, które walało się w piasku. Radość stąd powstała mroczył tylko smutek z powodu, że zwycięstwo nad smokiem tak drogo zostało okupione śmiercią królewicza Leszka.

Przyniesiono zaraz ze dworu nosze, położono na nie trupa Leszkowego wśród ogólnego płaczu i poniesiono do dworca. Krak szedł tuż za trupem, zalewając się łzami i ciskając od czasu do czasu ukośne, okropne wejrzenie. Gdy przyniesiono ciało na dziedziniec dworca, wyszedł stary król Krak, wybiegła królowna Wanda i zawodząc głośno, obsypywać poczęła krwawą głowę Leszka pocałunkami. Jęk, płacz był tak wielki, że serce pękało.

Złożono ciało w świetlicy. Przyszły płaczki, omyły ze krwi i piasku biedną głowę królewicza i zawodziły cały dzień nad nim. Nad Wisłą, na piasku układano już wielki stos, na którym zwłoki królewicza nazajutrz miały być spalone.



Rozległ się huk jakby piorunu... i dym zakrył wszystko...

(Król Krak i kr. Wanda.)

BIBLIOTEK
BN
NARODNA

Wieczorem tegoż dnia zagadnął Lisek Zaboja:

— Powiedz mi, Zaboju, nie widziałeś, jak ten smok rozplatał głowę królewiczowi?

— Smok, Lisku? To nie żaden smok, jeno brat rodzony. Wśród dymu widziałem podniesiony oszczep jego, widziałem jak Leszek rzucił rękami i jak padł. Powiadam wam, że gotowem przysiąc, że to Krak zabił Leszka.

Lisek, usłyszawszy to, uśmiechnął się swym szyderskim uśmiechem i kładąc palec na ustach, szepnął:

— Tsstt! o tem nikomu nie gadaj, jeżeli ci życie miłe. Tak ci radzi, Zaboju, człek, który dawno żyje, dużo widział i wie, że taką tajemnicę źle jest posiadać. Radzę ci, Zaboju, milcz, jak ryba...

XIV.

Pogrzeb Leszka.

Nazajutrz olbrzymi stos, ułożony z suchych i smolnych drzew, wznosił się zupełnie ukończony nad brzegiem Wisły, w pobliżu smoczey jamy, teraz pustej zupełnie. Dzieci i kobiety tłumnie tę jamę oglądały, gdzie zresztą nic prócz kości nie było. Chociaż smutek z powodu śmierci Leszka był wielki, przecież wszyscy oddychali jakoś swobodniej, weselej i raźniej. Tłumy ludu zeszyły się z okolicy, z najdalszych nawet stron, i wszystko to rozłożyło się obozem nad Wisłą, w pobliżu stosu i smoczey jamy, do której zagładano. Zbierano starannie rozrzuconą dokoła łuskę smoka i chowano ją skrzętnie, jako lekarstwo na wiele chorób i przypadłości. Wielu, przybywszy wieczorem, nocowało nad rzeką, paląc ogniska, gotując sobie jeść. Ruch był wielki, życia jeszcze więcej.

O świcie, ledwie słońce wschód zarumieniło, wśród tego zbiegowiska zaroilo się, jak w ulu. Rozpalono znowu ogień, kobiety krzętały się koło nich, dzieci krzęcały, wielu męzczyzn kapało się w Wisłę. Pomiedzy tem rojowiskiem

ludzkiem kręcili się kupcy ze Wschodu, przybyli właśnie na wielki jarmark, jaki w święto Kupały odbywał się w Krakowie, i sprzedawali paciorki, świecidła, materje wschodnie, miecze, łuki, hełmy, złote i srebrne przedmioty. Coraz inni ludzie napływali ciągle nad Wisłę. Wielu płynęło na łodziach z tamtej strony rzeki, byli tacy, co ją wplaw przebywali. Zbiegowisko to głównie dlatego się robiło, że starym obyczajem król miał wyprawić wielką stypę dla ludzi. Jakoż na górze dworcowej rzezano woły i owce, świnie i gęsi, kozy i rozliczne ptactwo. Na rynku uprzątano i wytaczano ogromne beczki miodu, jabłeczniku i piwa. Kilka wołów piekło się już na ogromnych ogniskach pod górą, a niewolnicy królewscy znosili na głowach kosze pełne chleba żytniego i placków owsianych. Stypa zapowiadała się bardzo obficie i coraz też tłumniej na nią ściągano ze wszystkich stron. Wieść o zabiciu smoka rozeszła się daleko piorunem, i wielu przybiegało do grodu dla dowiedzenia się, czy to prawda, a zobaczywszy przygotowania do pogrzebu i stypy, zatrzymywało się, czekając na ciekawe widowisko i sytną ucztę. Mężczyźni po większej części napół nadzy, uzbrojeni byli w łuki i strzały, w maczugi, włócznie lub krótkie oszczepy. Wielu pomimo gorąca miało kozuchy na sobie lub niedźwiedzie w świtkach białych i wilcze i rysie skóry włosom do góry obrócone. Kobiety były w chustkach na głowie. Dziewczęta tylko

były bez chustek, z kosami zaplecionymi i na plecy spadającymi.

Słońce było już wysoko, kiedy z gontyny za Wisłą, na jeziorku, przybył arcykapłan i kilku kapłanów i wylądowawszy, wprost ruszyli do dworca. Kłaniano im się po drodze, a kobiety całowały białe ich szaty i ścisnęły ich za kolana. Wkrótce potem z jękiem i płaczem wielkim wyniesiono ciało Leszka. Arcykapłan i kapłani szli koło zwłok i głosem smutnym, grobowym, wołali co chwila:

— Halele, Lele, pocoś ty umarł?

A w odpowiedzi na to rozlegał się jęk płaczek i płaczków, którzy w rozpacz targali się za włosy, ranili sobie twarz i zawodzili tak żałośnie, że wkrótce wszyscy płakali i ze wszystkich piersi rozlegał się jeden wielki jęk. Zwłoki Leszka, ubrane w świtkę z purpury, leżały okryte i widać było jego bladą twarz i bujne złote włosy, nakryte hełmem i łbem rysim. Nogi miał obute odwiecznym obyczajem, w postoły lipowe, nowiutko zrobione i przytwierdzone rzemieniami do kostek. Za nim niesiono jego oszczep, łuk i kołczan pełny strzał i prowadzono myszatego konia, na którym stoczył ostatnią walkę ze smokiem. Gdy zobaczono tego bladego trupa ulubionego przez wszystkich młodzieńca, płacz jeszcze bardziej się wzmógł, a niewiasty aż tarzały się po ziemi z wielkiej boleści. Kilka dziewczeczek rzucało kwiaty na zwłoki. A kapłani wciąż swym grobowym, ponurym głosem wołali:

— Halele, Lele, pocoś ty umarł? Nie miałeś co jeść i co pić i pocóżeś ty umarł?

Za zwłokami, za koniem Leszka postępował król Krak, z twarzą bladą i strasznie zmienioną. Co chwila podnosił rękę i ocierał łzy, kapiące mu z oczu jak groch. Wielki jego bobrowy kołpak z piórem czaplem drżał mu na głowie. Szedł potykając się, jak człowiek, który nic nie widzi i wspierał się na ramieniu drugiego, a teraz jedynego swego syna, królewicza Kraka. Ten był blady i płakał także. Wielki hełm przykrywał mu czoło i rzucał mu cień na oczy, dziko patrzące dokoła. Obok króla, z drugiej strony, postępowała królowna Wanda w wieńcu na głowie gołej i okrytej tylko bujnemi zwojami złotych włosów. Była ona blada niezmiernie i żałośliwie płakała, łamiąc białe rączki. Za nią posuwało się kilka kobiet i dziewczek jej służebnych i płacz był tak wielki, że kamienieby poruszył. Orszak kończył stary, zgarbiony Zbiszek, Zabój, Lisek i tłum ludu. Zbiszek niósł wielką urnę glinianą, w którą miały być zebrane popioły Leszka. Kilku starych gęślarzy i kobziarzy wydobywało ze swych narzędzi żalosne tony, podnosząc jeszcze bardziej boleść ogólną.

Cały ten orszak powoli i z wielką uroczystością posuwał się ku stosowi, ułożonemu nad brzegiem Wisły, gdzie już stali pachołcy z zapalonymi łuczywami, od których dym smolny przy ciszy letniego poranku rozchodził się daleko. Słońce padało wprost na bladą twarz trupa

i oświecało ponure, sine jej rysy. Wietrzyk leciutki chwiał złotemi włosami zmarłego. Psy w mieście, poruszone jękiem ogólnym, wyły żałośnie, powłaziwszy na strzechy.

Nakoniec zbliżono się do stosu, który tłum otoczył dokoła. Zwłoki wniesiono na szczyt, ułożono nawznak, na najsmolniejszych drwach. Potem związano mocno konia łańcuchami żelaznemi i także umieszczono na stosie obok zwłok królewicza. Łuk i strzały Leszka rzucono między drwa. Płaczki wciąż zawodziły żałośnie, a kapłani rzucali swe ponure pytania, które chórem powtarzali wszyscy mężczyźni. Gęśle wciąż żałośliwie brzmiały.

Na skinienie arcykapłana pachołcy, dzierżący smolne łuczywa, podpalili niemi stos, który złożony z drzew suchych i żywicznych, starannie w tym celu wybranych, w krótkim czasie buchnął wielkim płomieniem. Wszyscy zaraz odsunęli się na znaczną przestrzeń, tylko kilkunastu ludzi, zaopatrzonych w długie tyki, otoczyło stos, żeby nie dać uciec koniowi, który palony ogniem rzucał się jak szalony i rżał żałośliwie, ale łańcuchów, krępujących go, zerwać nie mógł. Płomienie ogarnęły wkrótce wszystko i cuchnący dym palącego się ciała rozchodził się dokoła. Koń tak się rzucał, że stos pod nim zawalił się i biedne zwierzę wpadło do środka, gdzie je nakoniec dym zadusił. Ludzie, otaczający stos, tykami podgarnęli rozlatujące się drwa, i olbrzymi płomień

wzbił się w górę, pochłaniając zwłoki nieszczęśliwego królewicza Leszka.

Stos gorzał bardzo długo i musiano dREW dokładać kilkakrotnie, żeby spopielić zupełnie zwłoki królewicza i konia. Król Krak, jego rodzina, znaczniejsi mężowie i kapłani nie czekali na to, ale wrócili do dworca. Lud zaś ucztował na rynku miasta, a gęślarze, grając na gęślach, wychwalali w śpiewie bohaterskie czyny Leszka. Do późnej nocy w ten sposób uczutowano, a zebranie popiołów miało nastąpić dopiero nazajutrz.

Stos tlił się przez całą prawie noc i nad ranem dopiero przygasł. Zaraz też o świcie z równą jak dnia poprzedniego uroczystością, w obecności kapłanów, królewicza Kraka i królowy Wandy, oraz starszyny i niezliczonego tłumu ludu przystąpiono do schowania popiołów spalonych zwłok Leszka. Stary król Krak nie był już na tej uroczystości. Zachorował bowiem mocno i leżał w swej świetlicy, jęcząc i płacząc.

Wyszukano bardzo starannie niespalone jeszcze zupełnie kości biednego Leszka, włożono w urnę i urnę tę procesjonalnie poniesiono daleko za miasto, na górę porośłą lasem, gdzie na jej szczycie zakopano w ziemię.

Tak się zakończyły uroczystości pogrzebowe, trwając blisko trzy dni. Lud począł się rozchodzić, i Kraków, tak przez chwilę ożywiony, przybrał zwykłą swą postać. Owszem, zachowywano się z pewnym smutkiem, bo obiegały wieści.

że stary król Krak niebezpiecznie jest chory. Smutek ten był tem większy, że wieść o zamordowania Leszka przez brata poczęła wszędzie obiegać, wszyscy o niej mówili i domagali się pomsty. Mówiono, że hełm miał na sobie ryse, jak od cięcia mieczem, że gdyby smok zawadził był pazurem o głowę Leszka, to byłby mu skórę z włosami zdarł, ale nie zrobiłby takiej strasznej, głębokiej rany.

Wieści te mówili wszyscy, powtarzano je sobie w dworcu królewskim, ale do uszu starego Kraka jeszcze nie doszły. Oszczędzono mu tej ostatniej boleści, zwłaszcza, że powszechnie mówiono, że król długo nie pożyje. Śmierć ulubionego syna zwała go z nóg. Sprowadzono różnych wróżbitów, czarodziejów i czarownice do króla, ale to niewiele pomagało. Aż ktoś, Lisek podobno, poradził, żeby sprowadzono sławną czarownicę babę Jagnę, mieszkającą w puszczy pod Łysą-Górá, o dwa dni drogi od Krakowa. Słyszał Lisek o niej wiele, gdy w tamtych był stronach.

— Gadali tam — opowiadał Zbischkowi — że baba Jagna potrafi zmarłych wskrzeszać, starych odmładzać, po powietrzu latać, przemieniać się w ptaka, rybę, kota, w co się jej podoba. Wielka to ma być czarownica.

Zbisek dziwił się temu wszystkiemu i opowiadał:

— Bywa to, bywa tak na świecie.

Ale sam nie chciał się rozporządzać i poszedł do królewicza Kraka, zapytać się czy posłać po ową czarownicę. Królewicz Krak, który teraz po całych dniach, uzbrojony jak na wojnę, łaził po górach i lasach okolicznych ponury i dziki, albo siedział przy chorym ojcu, gdy mu Zbiszek powiedział o wielkiej czarownicy, spojrział zpodobna na mówiącego, mruknął coś niezrozumiałe i odwracając się tyłem do Zbiszka, bo nikomu teraz w oczy nie patrzył, rzekł:

— Poślijcie, kiedy chcecie.

Królowna Wanda, do której Zbiszek także poszedł po radę, aż klasnęła w białe rączki i zawołała:

— Natychmiast, Zbiszku, posłać. Wszyscy parobcy dworscy niech jada. Konie rozstawić i sprowadzić ową czarownicę rozstawnymi końmi.

Jakoż Zbiszek tak zrobił. Kazał Liskowi zaraz ruszyć i dał mu dziesięć parobków i kilkanaście koni, żeby je rozstawiono po drodze, żeby ona babę czarownicę „Wielkiego Ożoga“, jak ją zwano, sprowadzić jak można najprędzej. Z Liskiem pojechał także Zabój. Powrotu ich oczekiwano z niecierpliwością, gdyż stary król codzień był słabszy. Codzień rano kazał zwoływać starszych do siebie i gadał z nimi o wojnie z Niemcami, o Rytygierze, który miał przyjść niedługo pod Kraków, i nalegał, by zgromadzono wojowników, by smolne pozapalano beczki na górach, by rozesłano gorejące wieści po wszej krainie.

— I ja teraz choruję — narzekał — kiedy wroga jeno patrzeć. — Starsi potakiwali mu, ale o wojnie nie myśleli, bo nic o Niemcach i o Rytgierze słychać nie było. Do puszczy wysłano tylko na przespiegi kilkudziesięciu ludzi. Sławka pasiecznika ostrzeżono, by się miał na baczności, do gontyny Jessego w puszczy posłano o tem wiadomość i na tem poprzestano. Wszyscy byli więcej zajęci chorym królem, pogłoską o zabiciu Leszka przez młodszego Kraka, niż wojną, którą uważano za majączenie chorego. Zbiszek wprawdzie dobrze wiedział, co o tem trzymać, ale stary od śmierci ulubieńca swego Leszka i wobec choroby króla stracił głowę i laził po dworcu jak nieprzytomny.

XV.

Czarownica Jagna.

Lisek i Zabój drugiego dnia podróży nad wieczorem dobili się nakoniec do chaty baby Jagny. Chata owa stała w głębi czarnej, bukowej puszczy, w strasznym wyrwisku między skałami, tuż u podnóża Łysej-Góry, na której szczycie stała sławna gontyna bożka Lelum-Polelum. Chałupka to była niewielka, z belek gubych zbudowana, mchem i gliną utkana, ukryta w owym wąwozie między gąszczem leszczyny, jałowcu i głogu. Prawie pod samą chatę przepływał potok górski, z czystą jak łza wodą, szumiąc i pieniać się po skalistym, pełnym zagieć i spadków gruncie, stanowiącym jego dno. Lisek całe popołudnie błądził po puszczy, nim nareszcie przed samym zachodem słońca zdołał odszukać chatę Jagny. On i towarzysze jego, których było pięciu, bo reszcie trzeba było ustawić przy rozstawionych na drodze koniach, byli niesłychanie zmęczeni tą podróżą prawie wśród ciągłych puszczy i lasów, rzek i strumieni, gór i skał rozmaitych.

Prawie ciemno było, gdy stanęli pod chatą. Głucha cisza, kołysana szmerem odwiecznych

buków i szumem potoku, otaczała chatę. Ze strzechy otworem, u szczytu umieszczonym, wydobywał się dym i tłumiony szerokimi konarami drzew rozlaził się leniwie dokoła.

Lisek zeszedł z konia i kazał to samo uczynić Zaboju, reszcie zaś towarzyszy otoczyć dokoła chatę baby Jagny i uważać, gdy on krzyknie, żeby zaraz trzech wpadło do izby jemu na pomoc. Postanowił bowiem, gdyby czarownica jechać nie chciała, wziąć ją mocą, choć z drugiej strony wolałby łagodnie rzecz całą załatwić, gdyż w gruncie rzeczy bał się trochę baby.

A nuż urok na niego rzuci, przemieni go w kota, psa albo kamień? I postanowił tylko w ostateczności uciec się do gwałtu.

Zabój z wielkim strachem zeszedł z konia i stanął z Liskiem przy drzwiach chaty. Wszystko tu bowiem było straszne. Dzika okolica, posępna pustka, wyrwy skaliste, zakrywające widnokrąg, olbrzymie, odwieczne drzewa, szum potoku i na koniec nadobitkę ujrzał Zabój rozpiętego na drzwiach chaty wielkiego puhacza. Skrzydła i ogon miał on przybite kołkami do drzwi i patrzył szklistem, martwemi okrągłemi oczami przed siebie. Aż się wstrząsł Zabój na ten widok, ale patrząc, że Lisek nie zważa na to, tylko śmiało kołacze do drzwi, nabrał jakoś odwagi.

Przez długi czas nikt nie otwierał drzwi zbitych z mocnych desek dębowych, tylko słycać

było jakieś ponure mruczenie. Nakoniec usłyszeli dobijający się trzask otwieranych, drugich jakichś drzwi, ciężkie jakieś stapanie, sapanie i głos gruby, prawie męski a jednak kobiecy, chrapliwy i drżący od starości, odezwał się:

— A kto tam i czego potrzebuje?

— Otwórzcie, babciu — rzekł Lisek — otwórzcie! Sprawa bardzo pilna.

— Pilna? A ja nie mam nic pilnego na świecie. Więc idźcie sobie, skądście przyszli i nie depczcie mi tam z tyłu chałupy kwiatków, trawek i ziółek...

Zakaszła się przytem okropnie i spluwając a sapiąc człapała się od drzwi w głąb chaty. Żadnego zresztą światła nie było widać, a noc coraz ciemniejsza w puszczy zapadała. Ten głos ponury baby czarownicy, to, że wie, iż otoczono jej chatę, wywarło zabobonne wrażenie na obecnych; nawet Lisek uczuł jakieś dreszcze, choć nie pokazywał tego po sobie. Zabój całkiem stchórzył i ukrył się za plecami Liska.

Ten przez chwilę milczał, nakoniec, zdobywając się na odwagę, począł znowu stukać coraz silniej do drzwi. Ale wewnątrz już nic się nie ruszało i nie dawało znaku życia. Cisza niczem niezamacona panowała wewnątrz a zewnątrz tylko wiatr szumiał między drzewami, konie parskwały i w głębi puszczy porykiwał dziki zwierz. Lisek dobijał się ciągle, a gdy to nie pomogło, zatrzymał się i rzekł napół do siebie, napół do Zaboja:

— Co tu robić? Niech bies porwie czarownicy!

— Czyby, Lisku, nie było lepiej poczekać do rana? — wtrącił nieśmiało Zabój, któryby dużo za to dał, żeby mógł być stąd o sto mil.

— Zaczekać do rana? Śmierć, braciszku, nie czeka i każda chwila dla starego króla jest droga. Zresztą czart wie, czy babę rano jeszcze znajdziemy w norze. Może wyfrunąć.

— A którądyżby wyfrunęła? Przecież pilnujemy dobrze całej chałupy.

— Pilnujemy! pilnujemy! — mruknął z niechęcią Lisek. — Nie wiesz to czy co, że czarownicy mogą się zamieniać w co chcą i choćby dymnikiem wylecą na świat na ożogu na Łysą Górę, na wesele czarownic. Bodajże ją...

I znowu się począł dobijać coraz silniej, już teraz w gniewie, zapominając o strachu i o wszystkim. Miał ochotę kazać podłożyć ogień pod chałupę i spalić babę Jagnę, jeśli nie wyjdzie. Ale nie trzeba było uciekać się do tej ostateczności, gdyż znowu rozległ się suchy kaszel, człapanie nogami i drżący gruby głos się odezwał:

— Czego ty, Lisku, chcesz ode mnie? Idź, mówię ci!

Lisek, usłyszawszy swe imię wymówione przez babę, zdrętwiał. Oczy wytrzeszczył, usta szeroko rozwarł i stał tak niemy, nie wiedząc co robić i mówić. Gdyby był przytomniejszy i gdyby go był zabobon nie zaślepiął, byłby się do-

myślił, że baba podsłuchiwała jego rozmowę z Zabojem. Ale w tej chwili był tem przerażony.

— Skąd wiesz moje nazwisko, babo Jagno?
— spytał drżącym głosem.

— Ja wszystko wiem. Wiem, pociście tu przyjechali.

— No, poco?

— Stary król jest chory, umierający i chcecie, bym go leczyła. Ale i ja jestem stara i po nocach tłuc się nie będę...

Głos jej, choć drżący i przerywany częstym kaszlem, był jednak tak donośny, że prawie wszyscy słyszeli dobrze jej słowa. Zdumienie i przerażenie było ogólne. Wszyscy lękali się tajemniczych potęg, jakimi władała stara baba Jagna. Ten i ów oglądał się nawet i pytał, czyby nie lepiej było drapnąć z tego zaczarowanego miejsca, dopóki się ma całą głowę na karku. Ale Lisek był uparty i zwykle, co raz sobie postanowił, tego zawsze dokonał. Ochłonawszy więc trochę ze zdziwienia, rzekł:

— Otwórzcie, babciu Jagno, otwórzcie, pogadamy ze sobą. Nie trzymajcie nas na dworze, w lesie, przez noc. Zimno jest i wietrzno.

— Dobrze, otworzę wam.

To rzekłszy, kaszłąc ciągle okropnie i stękając, poczęła odsuwać ciężkie drewniane zasuwę, a potem z trzaskiem rozwarła drzwi naościę. Przed Liskiem i kryjącym się ciągle za nim Zabojem ukazała się sionka ciemna i czarna, słabo oświetlona blaskiem, dostającym się przez uchy-

lone drzwi z izby. W tej ciemności, na tem tle niepewnych i bladych blasków majaczyła jakaś postać wysoka, czarna, z ogromną głową.

— Chodźcie do izby! — rzekła i człapiąc zniszczonem widać obuwiem z łyka, szła ku izbie, do której rozwarła drzwi zupełnie i do sionki wpadło więcej światła. Będący w pobliżu Liska i Zaboja parobcy ciekawie zaglądali do tej sionki. Lisek zaś, zawahawszy się przez chwilę, wszedł do niej, pociągając za sobą Zaboja.

W sieni teraz jako tako oświetlonej nie było nic więcej krom drabiny, prowadzącej na strychn, wielkiej łopaty drewnianej i opalonej od ognia miejscami, dużej miotły z różg lipowych i kilku statków z klepek bukowych zbitych. Silna woń suszonych ziół, rumianku, lipowego kwiatu i innych, rozchodziła się dokoła.

Baba zatrzymała się przez chwilę w oświetlonych drzwiach od izby i zwróciwszy się do swych gości, kaszląc i stękając ciągle, rzekła:

— Chodźcie do izby, — i sama pierwsza weszła.

Z wyraźnym niepokojem stanęli obadwaj we drzwiach i bystrym wzrokiem obrzucili całą izbę. Przedewszystkiem więc przypatrzyli się samej babie Jagnie. Usiadła sobie ona na ławie przy wielkim kominie, zbudowanym z gliny i kamieni, z okapem nad nim, przez który dym się wydobywał. Na kominie gorzało wielkie ognisko i stały przy nim garnki i rynki, i w nich coś głośno warzyło się i skwierczało, wydając mocną, kwa-

szą woń. Sama baba kaszłała okropnie. Ubrana w długą skórę z wilka, włosom do góry, miała na głowie, na siwych ogromnych włosach czerwona, kraciasta chustkę, zawiązaną w kształcie turbana. Twarz jej była nadzwyczajnie stara, zgrzybiała, pomarszczona i nos haczykowaty, usta wąskie i zwiędłe. Jedyne, ale zato silne życie gorzało w czarnych, przenikliwych o ostrym i surowym wyrazie oczach. Na brodzie rosło jej kilka długich siwych włosów, szpecąc jeszcze bardziej już i tak szpetną twarz. Od ogniska, bużującego na kominie, padały na tę twarz starą, brzydką i pomarszczoną migotliwe blaski, włóczyły się po kątach tej dużej izby i oświecały mnóstwo przedmiotów, których widok zwiększył jeszcze bardziej zabobonny strach w Lisku i Zaboju.

Tuż przy czarownicy siedział na tylnych łapach jasno oświecony od ognia czarny kot i mruczał, patrząc niespokojnie błyszczącymi ślepiami na gości. Po izbie, po glinianej polepie skakał kruk i sroka, szukając żeru i dziobiąc to i owo. W kącie, przy drewnianych statkach i garnkach, stała łopata i ożóg, nakrzyż złożone. U pułapu wisiały pęki ziół rozmaitych, olbrzymie jakieś kości, głowa z wielkimi rogami nieznanego zwierza, zasuszone żaby, węże i jaszczurki. Przy ścianie nawprost drzwi, na deskach, leżała trupia główka i pełno białych kości. Tuż przy deskach, na podwyższeniu z gliny, leżał grubo mech i siano, na tem kozuch i spódniczyna z sa-

modziału, brudna i podarta. To wszystko, co było w tej izbie, ale i tego było dosyć, by zdwoić strach w przybyłych.

Baba milczała, rzucając tylko ukośne i ciekawe spojrzenie na przybyłych, jakby ich chciała przeniknąć do gruntu. We wzroku jej jednak wiadać było pewne niedowierzenie i pewną, starannie zresztą ukrywaną obawę.

Pierwszy Lisek, który najprędzej przychodził do siebie, przerwał milczenie.

— No, babciu Jagno, pojedziecie z nami do króla — rzekł, kłaniając jej się lekko.

Nic nie odpowiedziała, tylko wstała i zajrzała do skwierczącej zbyt głośno rynki i warzachwią coś tam poprawiła, a potem siadając i zakładając ręce na brzuchu, mruknęła opryskliwie:

— Lisku, daj mi, mówię, spokój. Będę ci tam taki kawał drogi, za dziesiąty bór, za siódmą górę i za trzecią rzekę, tłukła moje stare kości. A co mi, że twój król chory? Niech sobie będzie chory. Wielka mi rzecz król! Nie takich ja widziałam. Jeszcze ty, Lisku, piersi matki ssał, kiedym ja patrzyła na króla Obrów, straszego narodu. To był król, a nie tam jakiś twój, Lisku, królik. To prawdziwy mysikrólik. Niech sobie tam zamrze ten twój królik, kiedy na niego czas przyszedł śmierci. Wszyscy pomrzemy, jak czas przyjdzie.

— Ale kiedy na króla Kraka nie przyszedł jeszcze czas, jeno ze zmartwienia zachorzał — wtrącił nieśmiało Zabój.

Stara podniosła oczy, jakby go dopiero pierwszy raz zobaczyła, i rzekła:

— A ten co mi tam gada! Młokosy milczą przy starszych. Niby to ja nie wiem, że Krak zachorował ze zmartwienia. Ale on i tak umrze. Wszyscy musimy umrzeć.

To rzekłszy, znowu się zerwała, bo z rynki jakiś brudny płyn kipieć począł. Tymczasem Lisek rzekł:

— No, jedźcież, babciu, z nami. Król Krak i królewna Wanda udarują was sowicie. Dadzą wam piękne szaty czerwone.

— Co mi tam ich szaty, drwię ja sobie z ich szat. Mam ja swą wilczurę, a to mi starczy na dłużej, niż wszystkie czerwone szaty królewskie.

Zakaszła mocno i dołała:

— Dobrze, pojedę z wami jutro świtaniem. A teraz idźcie w sieni i na strychu spać. Idźcie!

Wypchnęła ich lekko z izby i zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

XVI.

Podróż z czarownicą.

Chociaż Lisek i Zabój zaproszeni zostali przez czarownicę do spędzenia nocy w sieni lub na strychu, jednakże nie korzystali z tego, ale wynieśli się do lasu, do swych towarzyszy. Sąsiedztwo z babą Jagną pod jednym dachem nie uśmiechało im się wcale. Woleli mieć nad sobą sklepienie niebios, niż pełną tajemniczych niebezpieczeństw strzechę starej wiedźmy. Nic więc nie mówiąc, zadowoleni, że nakoniec uzyskali jej zgodzenie się na wyjazd jutro o świtaniu i że po uciążliwej i pośpiesznej podróży będą mogli sobie odpocząć trochę, zwołali swych towarzyszy, kazali konie popętać i puścić do lasu i rozpalić wielkie ognisko. Co kto miał przy sobie w koźbale, to zjadł i ułożywszy się, że kolejno jeden czuwać będzie, poowijali się w kożuchy i legli spać. Do snu kołysał ich poważny szum starych buków, ryczenie zwierza dzikiego w puszczy, krzyk orła na skałach i hukanie puhaczy, których tu liczne było mnóstwo. Nietoperze koło ogniska latały tłumnie, budząc w czuwających zabobonny jakiś strach, tak, że wkońcu dla odwagi po

dwóch czuwało kolejno. W chacie czarownicy było cicho i ciemno.

Noc krótka, bo czerwcową, minęła szybko na wielką radość czuwających. Różany świt wyrzał z poza skał i gór i oblał blaskiem puszcę, wyrwy kamienne, chatę czarownicy i szemrzący potok. Przy świetle dziennem cała ta miejscowość wydała się jeszcze dzikszą i straszniejszą, niż w nocy. Skały na różowym tle nieba rysowały się wyraziście, poszarpane, połamane, ostre i nieprzystępne. Na jednym ze szczytów widać było gniazdo orła i kołyszącego się wśród błękitów na wielkich swych skrzydłach tego króla ptaków. Ognisko w lesie, zapalone przez podróżnych, dogasało i jego żółte i czerwone płomienie napróżno usiłowały toczyć walkę ze światłem dziennem. Obfita rosa spadła i mgły włóczyły się po puszczy. Zimno było przenikliwe. Wszyscy pozrywali się ze snu i tuląc się w kożuchy, usiłowali się rozgrzać.

Chata czarownicy ciągle była zamknięta, i widać było tylko rozpiętego puhacza na jej drzwiach. Z dymnika długą wstęgą wydostawał się dym, co dowodziło, że baba Jagna jest we środku i że czuwa. Ale prócz tego najmniejszego innego znaku życia nie dawała.

Tymczasem słońce leniwie podnosiło się ku górze, a z jego pojawieniem się puszcza za-brzmiała świergotem ptactwa rozlicznego. Zięby i wilgi skakały po krzakach nad potokiem, gdzieś z poza skały dochodził klekot bociana,

krzyki żórawi i kukanie kukułki. Kwiaty, dzikie róże, głóg i kaczeniec nad potokiem roztwierały swe kielichy przepełnione rosą, i pszczoły, jak w jakiejś barci leśnej, brzęczały dokoła. Wielki bąk czarny z czerwoną na tyle przepaską huczał, szukając żeru. Po puszczy szedł jakiś świeży, gorzki oddech, orzeźwiający, przesycony aromatem żywicy i wonią bujnej roślinności.

W chacie czarownicy wciąż panowało milczenie. Przerwała je dopiero czarna kura, która gładząc wypadła z dymnika i z krzykiem sfrunęła na ziemię. Dwóch parobków, którzy stali bliżej chałupy, zobaczywszy tę czarną kurę, uciekli przestraszeni do ogniska, do Liska i Zaboja. Kura strzepnęła skrzydłami i najspokojniej, nie zważając na przypatrujących jej się podróżnych, grzebać i dziobać poczęła piasek koło chaty. Zabój był przekonany, że w tej czarnej kurze siedzi sam bies i z ogromną nieufnością poglądał na nią i dziwił się, że ona, tak jak wszystkie kury na świecie, rozgrzebuje ziemię nogami, a potem dziobie.

Nakoniec rozwarły się drzwi i ukazała się w nich baba Jagna. Ubrana była w swą wilczurę włosem do góry, w czerwoną chustkę na siwej głowie i w postoly lipowe. W jednej ręce trzymała ożóg, opalony na końcach, który wczoraj Lisek i Zabój widzieli w chacie, w drugiej słomianą kobiałkę starannie łykiem owiazaną. Przy dniu wydawała się jeszcze brzydszą i starszą, niż wczoraj. Była tak wysoka, że schylić się mu-

siała we drzwiach. Trzęsa się cała i kaszłała mocno, spluwając co chwila. Obejrzała się dookoła i zamknęła za sobą drzwi, założyła je na kołek i stękając głośno, powlokła się ku stojącym w milczeniu koło ogniska podróżnym. Szła, kaszłąc i opierając się na swym wielkim ożogu, jak na kiju. Zbliżywszy się do ogniska, zatrzymała się i rzekła swym donośnym, ale drżącym głosem:

— Kiedyż jedziemy? Jest-li dla mnie koń? Boć przecie piechotą do waszego królika chorego nie pójdę.

— Konie są, babciu Jagno — odrzekł Lisek — czekaliśmy na was i zaraz pojedziemy. Ale myśleliśmy, że nam dacie co jeść, bo wszystko, coś my mieli, wczoraj na wieczerzę spożyliśmy.

— Sługi królewskie! — zaśmiała się szydersko — od króla przybywają i jeść co nie mają. Dobrze wam tak! Macie króla, niechże ten król, kiedy taki jest mocny, że tylu mężów za łeb dzierży, da wam teraz jeść!

Śmiała się ciągle swym szyderskim śmiechem, pokazując szereg czarnych, szkaradnych zębów.

— Ja nie poluję, nie sieję, ani orzę, nie jestem też królową, bym wam jeść dała. Kosteczki mam trupie, główkę dziecka onegdaj zmarłego, żaby zasuszone, węże uwędzone, jaszczurki solą posypane, juszkę z psa wściekłego, mózg kobiety zmarłej nagle, wątrobę wisielca, gardziel topiel-

ca, kiszki przez zmorę uduszonego, serce przez zbójców zamordowanego... Oto co ja mam. Chcecie, to wam dam...

Śmiała się cicho, ukazując swe zęby i trzęsąc się, jakby dreszcze miała, oglądając dokoła na obecnych, przerażonych do najwyższego stopnia.

— A mam też tu jeszcze w kobiałce kiełbasę zrobioną z trupa niedopalonego na stosie. Na stypie go moje kumy jadły, ale nie dojadły. Więc sobie kiełbasę na drogę zrobiła i jestem gotowa. Chcecie, to wam urwę kawałek i dam... Kiełbasa przednia, jak mię widzicie...

Oblizywała się szkaradnie i śmiała się ciągle.

— Nie chcecie? Ano to wam nie dam nic i mrzyjcie z głodu, jak psy ostatnie, wy, pieski królewskie... No, dajcież tego konia, bo nie, to siądę na ożóg i pojedę na Łysą-Górę na wiec czarodziejski a nie do waszego królika, któremu się już niedużo należy.

Wszyscy pragnęli jak najprędzej stąd odjechać, z tych miejsc ponurych i dzikich, bo zdało im się, że czarownica nie będzie miała gdzie indziej takiej mocy, jak tu koło tej chaty. Spędzono więc konie i dano jednego wiedźmie. Żwawo na niego siadła, po męsku, i jeno widać było z pod wilczury jej suche, czarne, kościste nogi.

— Komu w drogę, to i czas! — rzekła, machając swym ożogiem dokoła.

Ruszono też żwawo zaraz. Zabój i Lisek z babą Jagną jechali na przodzie, za nimi inni.

Czarownica, jak była z początku rozmowna, tak teraz umilkła, kaszłała ciągle i stękała. Nie mieli też i inni ochoty do rozmowy przy tej szkaradnej babie, żywiącej się mózgiem trupim i kiełbasami z ciała ludzkiego. Wierzyli w to wszyscy mocno. Zresztą głodni byli, a jak wiadomo, u przodków naszych zawsze było tak, że byli źli i nierozmowni na głodno. Jechano więc w ponurem milczeniu wśród dzikiej i skalistej puszczy.

Szczęściem natrafiono w puszczy na ul z pszczołami, mieszczący się w dziupli uschniętego dębu. Wybrano trochę plastrów miodu i ten się pożywiono. Potem spotkano stado sarn i jedną ubito, a choć miano przed sobą długą jeszcze drogę, jednak zatrzymano się, by sarnę upiec i zjeść, tak byli wszyscy głodni. Kiedy się nasycono, zaraz byli wszyscy weselsi i rozmowniejsi.

Podróż zresztą aż do samego Krakowa odbyła się szczęśliwie bez żadnego wypadku. Raz tylko, gdy się przeprawiano przez dużą i bystrą rzekę, Lisek, który ostatni jechał, o mało nie utonął. Koń jego bowiem czy osłabł, czy mu się coś stało, dość, że szedł na dno. Ale Lisek zeskoczył i wyciągnął z wody konia i szczęśliwie do brzegu dopłynął z nim. Baba Jagna, patrząc na to z brzegu, krzyczała swym ochryplym głosem:

— Nie bój się, Lisku, nie utopisz się, nic ci nie będzie. Co ma wisieć, nie utonie. — A potem dodała: — A choćbyś utonął, to i niewielka

szkoda, bo i tak niedługo cię obwieszą na szubienicy.

Lisek śmiał się niby z tego, ale strasznie mu się przykro zrobiło i teraz naprawdę bał się starej czarownicy. Ona przez całą drogę była bardzo rozmowna. Ze zręcznością wytrawnej oszustki to od Liska, to od Zaboja lub parobków, powoli dowiedziała się wszystkiego: gdzie Krak mieszka, że mu syn starszy zginął niedawno w walce ze smokiem, ale prawdopodobnie był zabity przez młodszego brata Kraka, że król rozchorował się ze zgryzoty, że Zabój przyniósł wieść, jakoby Niemcy szli na Kraka, że wojewoda ich chce się żenić z Wandą, a w razie przeciwnym grozi ogniem i mieczem, słowem, o wszystkim nieznacznie się dowiedziała. Ota czający ją byli zdumieni i przerażeni, gdy od czasu do czasu powiedziała im coś takiego, o czym zdawało im się, że ona wiedzieć nie powinna, a o czym oni sami ją zawiadomili, nie domyślając się nawet tego.

Tak z niezwykłą na owe czasy szybkością, przy pomocy rozstawionych koni dostano się szczęśliwie do Krakowa i do gródka na Wawelu.

Tu nasi podróżni dowiedzieli się, że król ma się źle. Królowna Wanda, gdy jej doniesiono, że Lisek przyjechał z czarownicą Jagną, chciała, by ta natychmiast szła do króla. Ale baba uparła się:

— Nie pójdę dzisiaj, nie pójdę i koniec. Zabijcie mnie, a ja nie pójdę. Ja sobie odpocząć

muszę, stara jestem i dychawiczna jak koń. Ja muszę czary zrobić, moich kum wiem się poradzić. Nie pójdę dzisiaj, jeno jutro. Nie bójcie się, Krakowi nic nie będzie do jutra. Wytrzymał dotąd, wytrzyma i dłużej. Dajcie mi gdzie spać, na mchu i sianie, bo na słomie ja nie śpię. Biesby mię porwał. Na październu jeno psy śpią. O północy wstanę i na ożogu pojedę.

Gadała tak, śmiejąc się i ukazując swe czarne zęby, do Zbiszka, który bał jej się okropnie i wszystko spełniał, co kazała. Ponieważ we dworcu nie było mchu, posłał więc po niego umyślnie dwóch pachołków na koniach, by go przynieśli. Dano jej osobną izbę.

Baba była rozumna i dlatego tylko nie chciała iść zaraz do chorego Kraka, żeby zapoznać się wprzód dokładnie z miejscem i ludźmi i o tem, o owem się dowiedzieć. Przyjechała rano i dopiero nazajutrz miała pójść. Było więc dość czasu na wszystko. Pół dnia siedziała w swej izbie zamknięta i spała zapewne na miękkim mchu i sianie, a pół dnia i część nocy włóczyła się po całym dworcu. Zapoznała się z kilku starami niewiastami, które jeść gotowały we dworcu i świtki szyły i wyciągając je na rozmowę, dowiedziała się mnóstwa drobnych, ale dla niej ważnych rzeczy. Dowiedziała się więc, że starsi mężowie, których było dwunastu przy królu, nabyli prawie pewności, że to młodszy Krak zabił Leszka. Znalazło się bowiem jakieś chłopię, które przypadkiem znalazło wtedy za ra-

kami w krzaki nad Wisłą i ukryte tam, widziało wszystko, — że zatem starsi postanowili wypędzić młodego Kraka z ojczyzny, ale nie chcą martwić umierającego ojca, czekając z tem aż do jego śmierci — że królowanie mają potem oddać królownie Wandzie; o wojnie z Niemcami mówiono we dworcu, że od kilku opoli w puszczy przybyli posłowie donieść o pojawieniu się Niemców, prosząc o pomoc. Starsi więc nakazali, by jutro zwołano wiec w całym kraju i by się zbrojni zgromadzili, gdyż sądząc po wszystkim, Niemcy w ciągu kilku dni najdalej staną pod grodem.

O tem wszystkim wywieździała się baba Jagna, i tak przygotowana, nazajutrz o świtaniu została wprowadzona do świetlicy chorego króla Kraka.

XVII.

Śmierć króla Kraka.

Z wielką uroczystością wprowadzono babę Jagnę do komory królewskiej. Szła w swej wilczurze, włosem do góry wywróconej, w swej chuście czerwonej na siwej głowie, ponura i dzika, rzucając dokoła wejrzenia pełne przenikliwości. Niosła swój ożóg i dziezę dużą. Za nią postępował królewicz Krak, Zbiszek, Zabój, Lisek, kto jeno mógł się wcisnąć do świetlicy królewskiej.

Krak blady, zmieniony, wyschły jakiś przez te kilka dni, leżał na swem pośłaniu, przykryty niedźwiedzią skórą, opierając się na rękę i spoglądając dziko na otaczających. Gdy weszła Jagna, podniósł się nieco i na jego surowej twarzy odmalowała się pewna obawa połączona ze zdziwieniem i ciekawością. Pacholę, siedzące przy kominie i pilnujące ognia, wytrzeszczyło swe duże, błękitne oczy, ze strachu wcisnęło się w kąt i usiłowało jak najmniej sobą zajmować miejsca.

Baba Jagna, wszedłszy, jednym spojrzeniem ogarnęła wszystko. W milczeniu, kaszląc tylko

szkaradnie, postawiła dzieżę na środku komory i obracając się do towarzyszących jej, rzekła rozkazującym, suchym głosem:

— Wody!

Przyniesiono wody, którą wlano w dzieżę. Czarownica zakasała rękawy swej wilczury po same łokcie i ukazała czarne, chude, jak szczapy suche ręce, pełne zmarszczek i żył wystających i naprężonych, jak struny. Miała teraz jakieś nagłe, gwałtowne ruchy. Wilczura jej się otworzyła na piersi nagiej, porosłej włosom, chustka na głowie wtył zsunęła i siwe kosmyki spadały jej na czoło i twarz. Wzięła ożóg do ręki i machając nim naokoło, mruzczała coś pod nosem, często powtarzając imię bożków, których gontyna była na Łysej-Górze:

— Lelum Polelum! Lelum Polelum!

Potem wyprężyła się, wyprostowała i przy-
mykając oczy, gwałtownie chwyciła powietrze. Krokiem wolnym, posuwistym zbliżała się do komina, wzięła w suche ręce duży, żarzący się węgiel i rzuciła go do dzieży z wodą. Węgiel zasyczał i zgasł. Długo patrzyła na niego, potem nagle prostując się, krzyknęła strasznym głosem:

— Czuję krew, czuję krew! Tu jest morderca! morderca! morderca!

Wszyscy zdrętwieli, a młody Krak pobladł tak straszliwie i cofać się począł tyłem ku ścianie, wyciągając przed siebie ręce, jakby kogo odpychał. Oparł się wkońcu plecami o ścianę,

obtarł rękawem świtki czoło zlane obfitym potem i stał tak ze spuszczoną na piersi głową, smutny i ponury.

Tymczasem baba Jagna milczała przez chwilę wpatrzona ciągle w węgiel, pływający po wodzie w dzieży, potem naraz zakaszła straszliwie i idąc wprost do chorego króla Kraka, położyła mu suchą swą rękę na ramieniu i rzekła:

— Czy wiesz, Krak, kto zabił twego kochanego syna Leszka?

— Wiem! — odrzekł król — zabił go smok.

— Nie, nie smok go zabił, Krak, ale brat rodzony, królewicz Krak młodszy.

I odwracając się nagle, wyciągnęła swą nagą, suchą dłoń w kierunku stojącego pod ścianą królewicza i rzekła:

— Widzisz mordercę, bratobójcę? Oto stoi tam!...

Stary król, usłyszawszy te słowa, porwał się z pościeli i stanął bosemi nogami na ziemi. Futro mu spadło z pleców i widać było jego suche brązowe od wichrów i słońca ramiona. Stał tak przez chwilę wpatrzony straszonym wzrokiem w swego bladego syna pod ścianą — i nagle zasłonił oczy rękami, jęknął straszliwie i runął jak długi na ziemię. Przyskoczyli do niego obecni, podnieśli z ziemi i ułożyli na posłanie, leli wodę, wszystko napróżno.

Król Krak już nie żył.

Przerażenie było ogólne, z czego skorzystała baba Jagna i wymknęła się z komory królew-

skiej a potem z grodu. W powszechnem zamieszaniu nie zwracano na to uwagi, i dzięki temu nie ujrzano więcej czarownicy. Król wicz Krak zapłakał gorzko i szarpiąc sobie włosy na głowie, wypadł ze świetlicy i nie widziano go przez cały dzień. Dano znać królowie Wandzie o śmierci ojca. Przybiegła, zalewając się łzami, uklękła u nóg ojca i całowała je, głośno uskarżając się na swą dolę, na swe sieroctwo.

Cały dzień nic nie robiono, wszyscy potracili głowy. Wieczorem dopiero zeszli się do gródka starcowie w liczbie dwunastu na wielką radę. Nakazano zaraz nad Wisłą wielki stos ułożyć, by można jutro zwłoki króla Kraka spalić. Sprowadzono płaczków, którzy omyli ciało zmarłego i całą noc nad trupem głośno zawodzili.

Na radzie dwunastu starców, zwanych inaczej dwunastu wojewodami, przedewszystkiem, kiedy już wina młodszego Kraka nie ulegała najmniejszej wątpliwości, postanowiono go, jako bratobójcę, wygnąć z kraju.

— A któż będzie królował u nas? — zapytał któryś z wojewodów.

Na te słowa powstał z ławy, na której siedział, siwiuteńki jak gołąb staruszek, zgarbiony, pomarszczony jak grzyb i opierając się na kiju, począł szeplenić, bo zębów już nie miał.

— Słyszę, że tam ktoś pytał, kto będzie królował u nas, gdy bratobójcę wygnamy. Dawniej za mojej pamięci bratobójców nie wyganiano, ale

żywcem ich zakopywano w ziemię. Ale teraz inne czasy, inne obyczaje. Teraz bratobójców wyganiają. Ano wygnajcie go sobie, kiedy chcecie. Jenó ja pytam, gdzież wy go to wygnacie? Hm! Ja się zowie Sobiesław albo Sobek, i mam już lat sto z okładem, dużom widział i w różnych krajach byłem i nie wiem jak wy to tego bratobójcę wygnacie. Z gródka? hę? ano, z gródka go możemy wygnąć, bo gdyby chciał tu wleźć, dość mu strzałę posłać. Ale jakże wy go z kraju, ze świętej chrobackiej ziemi wygnacie i kto tego dopilnuje, by w niej zasię nie mieszkał? Któż mu zabroni pójść w puszcę, co leży ku Morawom, albo w puszcę, co leży ku Polanom, albo w puszcę, co leży ku Rusom, albo w puszcę, co leży ku Ugrom, któż go stamtąd wygna? A przecież wszystkie te puszcze szumią i rosną na ziemi Chrobackiej. Nikt go z nich nie wygna. I bratobójca śmiać się będzie z takiej kary.

Przerwał, przetań spłowiałe oczy, które mu zasły łzami i siadając na ławie, rzekł:

— Czekaście jeszcze, będę gadał, jenó sobie usiądę, bom stary i nogi mię bolą. Otóż ja powiadam, że to głupi obyczaj nowy karać bratobójców wygnaniem. Ale wy go dlatego tak lekko karzecie, że to on bratobójca jest królewski syn. Gdyby on tak był mój syn, albo twój, Sokole, albo twój, Mieszku, albo twój, Wojsławie, jużby on dawno krew oddał za krew. Otóż do czegoś-

cie przyszli. I teraz, kiedy jeden król umarł, ten stary zbójca Krak, którego ja pamiętam od takiego oto smyka, kiedy tego drugiego młodego zbójcę wyganiacie, zaraz się tam ktoś pytał, a nie wiem kto, bo niedowidzę, kto nam będzie królował? Hm! ojcom naszym nikt nie królował i było dobrze. A jeżeli kto królował, to chyba obcy. Ja jeszcze pamiętam straszego króla Obrów, a zwał on się Bedła, co mordował waszych dziadów secinami, niewiasty i niemowleta palić kazał lub topić. Ja go pamiętam i to był król, ale obcy, nie nasz. I poco nam króla? Kiedyśmy się pozbyli ich tak szczęśliwie, naco ich nam więcej, pytam. Gadacie nam: wojna z Niemcami. Hm! Niemcy, mądry to i bitny naród, ale nie nowina nam z nimi wojna. Małoż to parobków i mężów w Chrobacji? Wici rozesłaliśmy i czekajmy jak się zbiorą, a wtedy obierzemy wodza i obejdzie się bez króla... Więcej gadać nie będę, bo już dosyć i w gardle mi zaschło.

I przymknął oczy, jakby zmęczony mocno, i więcej nic nie mówił.

Na słowa starego Sobka powstał znacznie młodszy odeń, o kruczych jeszcze włosach wojewoda Zbigniew i począł mówić przeciw Sobiesławowi:

— Nie godzi się w ten sposób płacić tym, którzy nam tyle dobrego uczynili. Któż to resztki Obrów wygnał i uwolnił nas raz na zawsze od obrzydłego tego jarzma, jeżeli nie Krak? Kto zbudował mocny gród tutaj na Wawelu, tak

że w nim ziemia Chrobacka ma bezpieczne schronisko raz na zawsze? Kto, наконец, zabił straszego smoka, który pustoszył całą krainę wokoło? Krak to wszystko uczynił, albo sam, albo przez swych synów. Prawda, że jeden z tych synów stał się niegodnym bratobójcą i zasługiwałby na surową karę, jaką zawsze na bratobójców wymierzano w naszej ziemi. Ale on pochodzi z rodu, który tyle dobrego nam zrobił... Ukarzmy go wygnaniem z kraju. Niech się włóczy po puszczech, ale niech pamięta, że kto go spotka w granicach Chrobacji, ma prawo go zabić, jak psa wściekłego. Nie jest to więc tak lekka kara, jak się Sobkowi zdaje. Nakoniec trzeba, żebyśmy byli wdzięczni, i jeżeli młodego Kraka dla jego zbrodni usuwamy od stolca książęcego, to jest w gródku jeszcze jedna latorośl rodu Krakowego, królowna Wanda. Obierzemy ją sobie królową! Niech ona nam panuje!

Spodobała się ta rada ogromnej większości wojewodów. Pozrywali się z ław i potrzęsając kołpakami, oszczepami i włóczniami, krzyczeli:

— Chcemy więc Wandę królową! Niech żyje królowa Wanda!

Ze świetlicy okrzyki te przeniosły się dalej, na dziedziniec gródka, potem za częstokół, na rynek Krakowa i wszędzie jeno słychać było:

— Niech żyje królowa Wanda!

Zbiszek, usłyszawszy te okrzyki, pierwszy pobiegł do królowny, donosząc jej, że wojewodo-

wie wygnali jej brata z kraju, a ją wybrali królową. Królowna załamała białe rączki i zawołała:

— Jakaż ja biedna dziewczyna mam rządzić tak wielkim narodem!

— Ha! taka jest wola wojewodów — odrzekł na to Zbisek i dodał: — Ubierzcie się w szaty świąteczne, królowno, bo zapewne tu przyjdą wojewodowie, by wam pokłon oddać i ukazać was ludowi.

Z płaczem królowna poczęła się ubierać w wieńce z róż i bławatków, mówiąc:

— Tam ojciec trupem leży, tu brat wygnany, a ja się muszę w wieńce stroić!

Jakoż wkrótce przyszli wojewodowie i pokłon królownie oddali. Wojewoda Zbigniew dzierżył koronę królewską w rękę i kładąc ją na głowę królowny, rzekł:

— Panuj nam i rządz nami, a wojewodów rady zawsze słuchaj.

Potem wywiedli królownę zakłopotaną i zapłoną na ganek dworca, kazali bramy roztworzyć i wojewoda Zbigniew, dobywszy miecza, podniósł go w górę i zawołał, co miał jeno siły:

— Niech żyje królowa Wanda!

Wszystek naród, tłoczący się do bramy, wspinając się na częstokół, zawołał:

— Niech żyje królowa Wanda!

Potem Zbigniew stanął i na cztery strony śmiało ciał mieczem, a dokonawszy tego, królownę powiódł do dworca.

Nazajutrz trup Kraka starego ze zwykłemi uroczystościami został spalony. Tylko gdy popioły w urnę zebrano, to lud i tłum schodzącego się już przeciw Niemcom rycerstwa usypał nad urną wielką mogiłę. Trzy dni i trzy noce tę mogiłę sypano i urosła ona jak wielka góra, na wieczną rzeczy pamiątkę.

Młody Krak, jak wypadł z izby konającego ojca, tak się więcej nie pokazał. Wiedząc zapewne o zamiśle wojewodów, nie czekał na rozkaz, ale poszedł na wygnanie, tak że słuch o nim zaginął. Oko ludzkie więcej młodego Kraka nie widziało.

XVIII.

Wojna z Niemcami.

Tymczasem, gdy wszystkie te smutne wypadki rozgrywały się na zamku Krakowym, wieści o zbliżających się Niemcach rosły coraz bardziej i nabierały coraz większej pewności. Rozesłano już, jeszcze z rozkazów wojewodów, wici wojenne po całym kraju, to jest pęki chróstu zatknięte na długiej tyce, ale odbywało się to bez pośpiechu i energji, bo nie miał kto dopilnować i jeden na drugiego się oglądał. Teraz jednak, kiedy Wanda Krakówna zasiadła na stolcu książęcym, zaraz nakazała rozesłanie nowych wici, wzywając wszystkich mężów zdolnych do broni, by zgromadzili się pod Kraków dla odparcia najeźdźców. Rozbiegli się więc znów posłannicy po całej ziemi Chrobackiej i wpadli na spienionych koniach, potrząsając wicią na podwórzach chat mieszkańców, wołając, że wojna z Niemcami. Nocą także wici zatknięte na wysokich górach gorzały wraz ze smolnemi beczkami.

Dzięki temu, trochę może leniwie, trochę powoli, ale bądź co bądź ścigali zbrojni pod

Kraków, konno i pieszo, przeważnie jednak konno. Każdy zwykle ubrany był w kozuch, lub w rysie, wilcze i niedźwiedzie futra; każdy miał łuk lub procę, włócznię lub topór, oszczep lub maczugę, i tarczę drewnianą skórą obitą. Bardzo niewielka ilość miała żelazne hełmy na głowach i miecze żelazne. Zbierali się, przynosząc ze sobą w słomianych kobiałkach żywność, zwykle bardzo skromną i ubogą.

Królewna, kiedy już kilkuset zbrojnych się zebrało i rozłożyło obozowiskiem nad Wisłą pod Wawelem, a wielu nawet w smoczej jamie usłało sobie legowisko, otóż królewna, nie mając od paru dni żadnych wieści o Niemcach, wezwała do siebie wojewodę Zbigniewa, tego, który się głównie przyczynił do jej obioru.

— Wojewodo — rzekła — o Niemcach nic nie słyhać i trapię się tem wielce.

— Królowo — odpowiedział na to wojewoda — kiedy o nich nic nie słyhać, to już dobrze. Muszą być jeszcze daleko i przez puszcę przedostać się nie mogą.

— Może być, że tak jest, a może jest inaczej. Lękam się, żeby znienacka nie napadli na nas i na gród.

— Jesteśmy już dość silni i niełacno się damy.

-- Tak, ale gdy nocą napadną! Nie, nie, wojewodo, trzeba coś robić i nabyć jakiejś pewności, co Niemcy robią. Weźcie, proszę was, ze dwieście koni wybranych junaków i ruszcie

w puszcę na podjazd, zobaczyć co Niemcy robią, gdzie są i ilu ich jest. Jeżeli dojdziecie ich zbliska, możecie języka zasięgnąć, czego oni od nas chcą. A dowiedzcie się, kiedy mogą być tutaj i czy nie byłoby lepiej wyruszyć naprzeciw nich w puszczy i starym obyczajem zasadzką Niemców powitać, popodcinawszy drzewa?

— Dobrze mówicie, królowo, i jeżeli już mamy się spotkać z Niemcami, to nigdzie, jeno w puszczy, w miejscu wybranem i przygotowanem jak należy. Na podjazd zaraz pójdę, a wy, królowo, zajmijcie się wojakami, sprawcie ich jak należy, podzieliwszy na łuczników, procarzy, włóczników i pancerników. Gród trzeba opatrzyć w żywność, strażę za częstokołem i na wieży postawić. W obozie też niech będzie wielka czujność, bo bardzo być może, że my napadniemy gdzie na Niemców na przeważną siłę i sprowadzimy ich tutaj na karkach swoich. Ja biorę ze sobą stu wybranych junaków, bo więcej nie potrzeba na podjazd.

— Niech was Bóg prowadzi, wojewodo Zbigniewie! — zawołała Wanda i wyjąwszy z za pazuchy ów talizman italski, co go Leszkowi na walkę ze smokiem dała, a który to talizman był w kształcie krzyża, położyła go na głowie wojewody. Ten uklonił się i wyszedł.

Kiedy wojewoda począł wybierać junaków na ów podjazd w puszcę, królowa, wezwawszy starego Zbiszka, poszła z nim oglądać gród, czy wszystko jest w porządku. Zaczęto naprzód od

częstokołu, który był zdrowy i silny jeszcze, a i sam gródek, zbudowany z grubych belek, deskami kryty, z wieżą wysoką na boku a przytem wzniesiony na stromej górze, nielada był zamkiem i niełatwo go można było wziąć. Załogi w nim pomieścić się mogło około stu ludzi i tych królowna kazała z obozowiska zaraz wybrać i do grodu sprowadzić. Zbiszek został kasztelanem zamku i dowódcą załogi.

Potem królowna poszła obejrzeć, czy jest dość żywności. Pod zamkiem w stajniach i oborach — bo do komnat królewskich wchodziło się po drabinie, którą w każdej chwili można było zdjąć — otóż pod zamkiem po stypach, wyprawianych ludowi na dwóch pogrzebach, zostało tylko pięć wołów, sześć baranów, kilka kóz i trochę mąki. Królowna, zobaczywszy to, załamała białe ręczki.

— Mój Zbiszku, co to będzie? Z głodu pomrzemy tutaj, jak nas Niemcy oblegną.

— Hm! — mruczał Zbiszek — juścić to pewna, że tego, co jest, na stu kilkudziesięciu ludzi i kobiet w grodzie nie starczy na długo. Trzeba temu jakoś zaradzić.

— Ale jak? Mój Zbiszku, radźcie, bo ja nie wiem, co czynić.

— Ja bo wcale nie jestem za tem — rzekł Zbiszek — żeby Niemców czekać tu w grodzie. Nie wytrzymamy tak długo, choćbyśmy i żywność mieli. Toć przecie niema grodu, którego by Niemcy nie wzięli. Spalą nas jeszcze...

— No, ale co robić?

— Zebrać wszystkich wojaków i ruszyć w puszcze bić Niemców. Ojcowie nasi zawsze bronili się po puszczech, a bronili się nietylko Niemcom, ale nawet Obrom, którzy przecie byli straszniejsi od Niemców.

— Tak się też i zrobi, mój Zbiszku, ale widzicie, na wszelki wypadek, trzeba gród zaopatrzyć, żeby się mógł obronić. Wy nie wiecie, czego ten wojewoda niemiecki chce ode mnie — dodała, spuszcżając oczy i rumieniać się.

— Co nie mam wiedzieć, wiem dobrze — odrzekł Zbiszek — ten psu brat chce, byście mu, królowo, byli żoną. Wiem ja o tem i niedoczekanie jego, Niemca!

— Kiedy więc wiecie, to dobrze rozumiecie, a na wszelki wypadek zamek trzeba postawić w takim stanie, by się mógł bronić. A nuż nas Niemcy pobiją w puszczy! gdzie ja biedna sierota schronię się przed nimi?

— Hm! — mruknał Zbiszek — a bo to Chrobacja tu się na Wawelu kończy?

— No, nie... ale...

— A więc kiedy nie tu się kończy, to czegoż tu się bać! Pobiją nas Niemcy w puszczy od strony Moraw, to pójdziemy w puszcze od strony Polaków. Wyślemy do króla Popiela, który tam panuje, posłów o pomoc i bić się znów będziemy.

— A ja co zrobię?

— Co wy zrobicie, królowo? A pojedziecie z nami. Alboż to nowina będzie dla córki Kra-

ka? Cóż to, niewiasty u nas nie umieją łuku naciągać albo oszczepem ciskać? Pójdziecie z nami w puszcę.

— Ale mój gród ojcowski!

— Dobrze, postaramy się o to, by miał choć trochę więcej żywności. Wyślę zaraz ludzi, by spędzili bydło, by jagieł, krup i mąki naznosili. Zarządzimy też wielkie polowanie w puszczy, żeby mieć dziczyznę. Zrobi się, co będzie można.

— Tak, tak, Zbischku, tak będzie najlepiej. Zróbcie co można, żeby żywność była, tem więcej, że przecież wojakom trzeba dać jeść, jak im zabraknie tego, co ze sobą przynieśli, a zapewne w parę dni zabraknie.

— Oczywiście, że zabraknie! Co oni tam ze sobą przynieśli! trochę podplomyków i serków.

— A więc trzeba temu radzić i to zaraz. Wojewoda Zbigniew wyruszy teraz w puszcę na podjazd, to możecie, Zbischku, bezpiecznie zająć się polowaniem.

— Dobrze, królowo, zaraz się zajmę.

— I wyślijcie ludzi po kaszę, mąkę, krupy, woły i co się da zebrać w mieście i po opolach okolicznych. Przykro to biednym ludziom zabierać ich dobytek, ale nie my weźmiemy, to Niemcy wezmą. O, wojna to ciężka klęska!

— Hm! hm! to pewno, że ciężka — mruczał Zbisek, idąc za królową, która udała się do swej świetlicy, by stąd zaraz wyruszyć ku obozowisku wojaków.

W tym celu kazała sobie przyprowadzić konia. Do boku przypasała miecz złocisty, koronę włożyła na głowę i tarczę ojcowską żelazną, z namalowanym na niej czarnym krukiem przypięła do lewego ramienia. Tak uzbrojona, śliczna w złocistych, jak jedwab miękkich włosach, pognąła w szczupakach, otoczona swemi służebnymi i wojewodami, do obozowiska. Ujrzawszy ją, wszystko, co żyło, zerwało się na nogi, ustawiło się w szyki.

Kiedy już byli uszykowani, Wanda dobyła miecza, podniosła go w górę i słońce zapaliło w nim oślepiającą błyskawicę. Z tym błyskiem węzowym miecza biegła pędem przed szeregami wojaków i wołała:

— Chrobaci! bić będziemy Niemców. Na Niemce, na Niemce!

Kilkaset głosów zagrzmiało potężnie: — Na Niemce! na Niemce! — a głos ten biegł za Wisłę, odbijał się w tysiącnych echach o puszcze i konał gdzieś w błękitach nieba. Wszyscy wojacy potrząsali mieczami, włóczniami, oszczepami, wielu zrywało kołpaki i wścieklisce z głowy i ciskało je w górę, krzycząc:

— Na Niemce! na Niemce! Niech żyje Wanda! królowa Wanda!

Wielu olbrzymich mężów, w kozuchach wywróconych włosem do góry, czarnych, zarośniętych, dzikich, gdzieś z puszczy wylazłych, uzbrojonych tylko w maczugi i proce, lub topory ka-

mienne, wybiegało z szyków i całowało kraj białej szaty królowej. Wydawała im się boginka, jakimś niezwykłym zjawiskiem, rusalka...

Zapał był nie do opisania. Wszyscy, którzy mieli konie, puścili się cwałem za pędzącą królową i krzyczeli, potrząsając bronią swoją. Podniósł się kurz taki, że nic widać nie było, a wrzaski, rżenie koni, szczekanie broni, zagłuszało wszystko.

Nakoniec uspokojono się. Teraz wojewodowie poczęli sprzątać szyki. Konnych uzbrojonych w miecze i włócznie, w hełmy i pancerze ustawili osobno i takich było ośmdziesięciu; konnych jeno z maczugami, toporami i łukami było przeszło dwustu, i to był drugi hufiec. Trzeci hufiec stanowili piesi, uzbrojeni w łuki, w oszczepy i miecze. Takich było pięćdziesięciu kilku. Czwarty wreszcie hufiec tworzyli piesi, uzbrojeni najrozmaiciej: w maczugi, topory, proce, włócznie i t. p. Takich było czterdziestu.

Utworzywszy cztery takie hufce, do których każdy nowoprzybyły miał być wcielany odpowiednio do swego uzbrojenia, wojewoda Mieszko, mąż olbrzymiego wzrostu, w kolczudze i w żelaznym hełmie z piórami na głowie, oznajmił, że za parę dni wyruszą w puszcę na Niemców, że zatem niech sobie odpoczną i zaopatrzą się w żywność; że dziś kasztelan Zbyszek urządza wielkie polowanie, kto zatem będzie miał ochotę niech idzie, żeby mieć potem co jeść.

Tak się skończył ten przegląd wojaków. Królowa Wanda, znużona tem wszystkim, bo dzień był gorący i kurz straszny, wróciła do grodu.

Zaraz też potem wojewoda Zbigniew wybrał z pierwszego hufca stu junaków i wyruszył na podjazd, zaś kasztelan Zbiszek na polowanie w towarzystwie prawie wszystkich pozostałych wojewodów. Z grodu zaś wysłani ludzie spędzali bydło, owce, kury, świnie do grodu, zwożono mąkę, krupy, kaszę, ziarno wszelkie. Gdy naza-jutrz koło południa Zbiszek wrócił z polowania, to przywiózł z sobą całe fury zwierzyny: żubrów, jeleni, sarn, danieli, niedźwiedzi, dzików, ptactwa wszelakiego i zajęcy moc niezmierną. Również w obozie obfitość zwierzyny była ogromna. Zaraz też zaczęto ją paproszyć, ze skóry odzierać, solić i nad wielkimi ogniskami z trocin i mierzwy suchej końskiej i bydłowej wędzić. Już teraz nie było obawy o głód w grodzie Kraka.

XIX.

Podjazd.

Wojewoda Zbigniew, jakeśmy rzekli, wybrał stu junaków z pierwszego hufca. Wszyscy oni byli dobrze uzbrojeni, w żelazne hełmy z piórami, rysiemi i sówiami łbami, w pancerze lub druciane koszulki, w łuki, włócznie i miecze. Konie mieli dobre, małe, ale wytrzymałe i chodliwe, a co najważniejsza lada czem obchodzące się. Sami ludzie byli młodzi i odważni. Do tych junaków dołączyli się z własnej ochoty Lisek i Zabój. Lisek, który całe życie włóczył się jeno z kąta w kąt, po różnych krajach i puszczech, nie mógł długo usiedzieć na jednym miejscu. Dowiedziawszy się o wyprawie, wpadł do stajni, kędy Zabój przy swym koniu spał rozciągnięty na sianie, i budząc chłopaka, krzyczał:

— Wstawaj, Zaboju! Do broni i do konia! Na Niemców idziemy!

— Gdzie? co? jak? — zerwał się Zabój na równe nogi.

— Wyprawa idzie na Niemców, a ty śpisz i wylegasz się. Wojewoda Zbigniew dowodzi. Dalej, do koni, chłopcze. My się tam przydamy.

Znamy przecie tę puszcę dobrze i wiemy, jak w niej zachowywać się należy. Wszyscy junacy, którzy jadą ze Zbigniewem, są od wschodu słońca, gdzieś tam z nad Dunajca i Sanu, i nie znają naszej puszczy. Śpiesz się, Zaboju, bo na nas czekać nie będą.

— Za chwilę będę gotów, ale muszę przecie konia osiodłać.

— Aż mi weselej — wołał Lisek — że człek tu kiśnieć nie będzie w tym gródku. Zawsze to samo. Strasznie nie lubię ścian, częstokołów, domów i chat. Wolę puszcę!...

Wkrótce obaj dosiedli swych na zbójach jeszcze zdobytych koników i pędem zjechali z góry. Właśnie wojewoda Zbigniew szykował swych junaków i pytał się głosem donośnym:

— Kto zna puszcę od strony Moraw?

Nikt nie odpowiedział. Więc Lisek rzekł do Zaboja:

— Widzisz, przydamy się tutaj.

A podbiegając do wojewody, rzekł:

— Zbigniewie, my znamy tę puszcę jak własną chałupę. Ja Lisek i Zabój niedawnośmy ją zbrodzili naprzelaj.

— To dobrze — rzekł wojewoda, przypatrując się obu — pojedziecie z nami i trzymajcie się mnie blisko.

Dzień był bardzo gorący, zwłaszcza, że wyprawa wyruszyła koło południa, więc słońce dopiekało najmocniej. Ale szczęściem puszcza była

niedaleko ze swym cieniem, chłodem i wilgocią. Lisek i Zabój odróżniali się tem od wszystkich, że nie mieli zbroi na sobie, jeno kożuchy. Na głowie, zamiast hełmu, Zabój miał słomiany, z dużemi skrzydłami kapelusz z pawiem piórkiem, a Lisek t. zw. wściekłą czapę, duży z barana kołpak, jaki nosili w tych stronach. Ale zato uzbrojeni byli dobrze. Zabój miał swój wyborowy łuk i miecz niemiecki u boku, Lisek zaś łuk, krótki oszczep i puginał znalezione przy trupie w lesie podczas podróży do Krakowa. Prócz tego Lisek, nic nikomu nie mówiąc, zaopatrzył się w pęk sznurów, które miał przytroczone do konia.

— Naco wy te sznury wzięliście, Lisku? — pytał Zabój.

— Zobaczysz naco. A nuż trzeba będzie pętać Niemców? he, skąd weźmiemy wtedy pęt?

— Iii... byle oni nas tylko nie spętali — odrzekł Zabój. — Niemców ja znam, nieraz ich widziałem i biłem się też z nimi. Nie tak to łatwo ich pętać. A zresztą pocóż sznury? Albo to mało w lesie lipowego i innego łyka! Lepsze to, niż sznury.

— Młody i głupi! — mruknął Lisek. — Jak zobaczysz, naco ja wzięłem sznury, to będziesz gadał wtedy — a teraz milcz, bo oto Zbigniew daje mi znak, bym do niego podjechał.

I bijąc piętami szkapę pod brzuch, kłusem pognął do wojewody, który przystanął trochę i oglądał się na wszystkie strony. Właśnie zagłębiono

się już nieco w puszcze, i wojewoda Zbigniew, który był także z innych stron, oglądał się za Liskiem i Zabojem, bo nie wiedział, w którą stronę ruszyć.

— No, prowadź nas! — rzekł do nadbiegającego Liska.

— Dobrze, wojewodo, ale powiedzcie dokąd? Gdzie chcecie stanąć na noc?

— Czy ja wiem! ja wcale tej puszczy nie znam. Raz zamłodu byłem w gontynie Jessego w głębi lasu, ale to już dawno i drogi nie pamiętam. Prowadź nas tak, żebyśmy na Niemców trafili.

— Dobrze, ale gdzież są Niemcy — pytał Lisek — w której stronie i jak daleko?

— Wczoraj gadali, że gdzieś nad Wisłą, za gontyną jeszcze, koło jakichś mieszkań nawodnych. Nie wiem, czy są jeszcze gdzie na świecie mieszkania nawodne! Słyszałem od starego dziadusia, że kiedyś to ludzie mieszkali w ten sposób, ale dzisiaj!...

— To już wiem, wojewodo — przerwał mu Lisek. — Kawał drogi mamy przed sobą, jeżeli Niemcy nie ruszyli już naprzód. Mieszkania nawodne istotnie są w tej puszczy. Znam ja to dobrze.

— Ha! to prowadźże nas.

— Wiecie, wojewodo, co! — rzekł Lisek, pomyślawszy przez chwilę. — Niemcy jeżeli idą, to idą nad samą Wisłą, boć to najpewniejsza

i najprostsza droga. Jeżeli tedy chcemy ich spotkać, to trzeba, żebyśmy i my szli brzegiem Wisły, a przynajmniej niedaleko od niej.

— Hm! — mruknął wojewoda Zbigniew — dobrze mówisz, Lisku, ale ja znowu nie mam ochoty wleźć Niemcom w łapy. Niewielu nas jest przecie i trudno nam się mierzyć z całą potęgą niemiecką. My zresztą tylko podjazd a nie wojsko. Idźmy, ale ostrożnie, tak, żebyśmy jeno mogli urwać choć trochę Niemców, nic więcej...

Lisek skierował się więc nad Wisłę i mając zawsze jej brzeg po swej prawej, w niewielkiej zresztą od rzeki odległości prowadził podjazd. Pierwszego dnia niewiele uszli, i zmęczeni skwarem słonecznym, spoczęli nad wieczorem nad samą Wisłą. Rozłożono ogniska i posilano się czem kto miał. Konie poprzywiązywano do drzew, niektórzy, ubiwszy sarnę lub zająca, piekli go nad ogniem na wieczerzę — inni wydobyli z kobiałki trochę kaszy lub krup, gotowali je w glinianych garnkach. Większość, rzuciwszy się na trawę, spała.

Lisek, widząc, że już są zaledwie na pół dnia drogi od gródka Sobka, że zatem jeżeli Niemcy na dwa dni przedtem byli koło mieszkania nawodnego, to teraz muszą już być co najmniej w pobliżu zagrody Sobkowej, jeżeli nie dalej, pomyślał sobie, że nie jest rzeczą bezpieczną, mając prawie nieprzyjaciela na karku, rozkładać się wygodnie obozem i jak w czasie pokoju wczasowywać się na murawie. Z tą uwagą po-

szedł do wojewody Zbigniewa, który leżał pod dębem z kilku starszymi, a przed nimi na liściach rozłożony był comber sarni, chleb, ser, masło — i jedli a miód popijali, śmiejąc się głośno i wesoło. Przyszedłszy, ledwie mógł się rozmówić ze Zbigniewem.

— Wojewodo Zbigniewie — rzekł — mnie się widzi, że Niemcy są niedaleko, a że oni mają zwyczaj, dla upału, nocą tylko postępować, więc mogą nas zniemacka napaść i jak barany wyrznąć.

— Głupstwa gadasz! Gdzieżby Niemcy byli tak blisko. Dalekośmy to odeszli od Krakowa, żeby już nam Niemcy na kark wsiąść mieli? Głupstwo! przenocujemy sobie wygodnie, a jutro, posunawszy się jeszcze trochę, poczynimy w lesie zasięki, jeżeli poczujemy, że Niemcy blisko... Teraz atoli możemy spać spokojnie. Nieprawda, Bolku? — dodał, zwracając się do jednego ze starszych.

— Prawda, święta prawda! — mruknął Bolko napół pijany od mocnego miodu. — Niemcy!... Niemcy a żaby to jedno. Nim oni do nas przylecą, to my wyśpimy się, zapolujemy jutro, wykąpiemy się w Wiśle, jeżeli będzie ciepło, zasięki porobimy i koniec.

Gadał to ów Bolko, dzierząc róg pełen miodu, i kiwał się a przymykał oczy, tak go senność z pijaństwa zbierała.

— O! dobrze mówi Bolko i tak będzie, jak on mówi. Idź spać, Lisku. A może chcesz się na-

pić? Powiadam tobie, jakem wojewoda Zbigniew, miód jest przedni lipiec, a pachnie jak róża — prawil Zbigniew, a język mu się plątał szkaradnie.

— Napić napiję się — odrzekł Lisek, biorąc róg do ręki — czemubym się nie miał napić, kiedy mi gardziel od kurzu i upału wyschła. Zawszeć to miód lepszy od wody. Ale widzicie, Zbigniewie...

— No, cóż tam jeszcze chcesz gadać? — spytał niechętnie Zbigniew.

— Że kiedy już nie chcecie stawiać zasieków jeszcze dziś w nocy, coby było najlepsze, bo i miejsce widzi mi się w sam raz do tego jest sposobne, to rozstawcież przynajmniej strażę, żeby obóz w nocy ostrzegły, jak Niemcy napadną...

— Idź do biesa, złowieszczy puszczyku! — huknął już w gniewie Zbigniew — czego mię straszysz Niemcami? Idź do biesa, mówię ci jeszcze raz, bo ręka mię świerzbi a oszczep mam u boku. Jaki mi mądrała! On mi będzie gadał, co ja mam robić, ja, wojewoda Zbigniew. Precz ode mnie, włóczego jakiś, bo cię każę do koni przywiązać i na sztuki rozerwać i cisnąć w puszcę. Wilki będą miały co jeść, wyc nie będą w nocy nad uchem.

Nie było co mówić, zwłaszcza, że z pijanym i gniewnym Zbigniewem do ładu dojść teraz byłoby trudno. Smutno, zły na siebie i ze spuszczoną głową powlókł się Lisek do Zaboja, który

leżał na murawie i ogryzając jakąś kość, patrzył, jak się z Wisły wznosiły leniwie białe mgły wieczorne. Myszate ich koniki, rozkiełznane, pasły się spokojnie soczystą trawą leśną.

Wieczór szybko zapadał. Z trzciny i sitowia, gęsto w tem miejscu porastającego oba brzegi Wisły, rozlegał się głos bąka i derkaczy i kurek wodnych. Z drugiego brzegu dochodziły krzyki zórawi.

— No, Zaboju — rzekł Lisek, siadając przy nim — źle z nami i z naszym oddziałem. Zbigniew upił się i zdaje mu się, że Niemcy tu przyszli nie nato, żeby zabijać i rabować, ale nato, by z nim się pieścić. Nawet straży na noc koło obozu nie chce rozłożyć.

— Dlaczego?

— Powiada, że Niemcy jeszcze daleko — a ja jestem prawie pewny, że w tej chwili wyruszają z gródka Sobkowego i że nad świtaniem będziemy ich tu mieli na karku.

— A więc cóż robić?

— A cóż robić! Powiedziałem Zbigniewowi o tem, ale czyż z pijanym i głupim dojdzie kiedy do ładu? Na zatracenie nas wiedzie. Szkoda tylko pięknych i tak dobrze uzbrojonych ludzi. Gdyby chciał porobić zasieki, to miejsce jest jak najlepsze potemu.

Jakoż Lisek miał pod tym ostatnim względem słuszność. Obóz rozłożony był na dość znacznym piaszczystem wzgórzu, poroślem przeważnie so-

sną i jodłą, łagodnie spuszczałem się ku Wiśle. Wzgórze to przecięte było napół wąwozem dość głębokim, przez który toczył mętne i brudne wody jakiś strumyk, wpadający do Wisły. Oba brzegi strumyka bagniste zrazu, porośnięte sitowiem, potem nagle i stromo podnosiły się ku górze. Gdyby więc na tym stromym brzegu urządzono zasiek, co przy obfitości starych drzew było rzeczą niezmiernie łatwą, to możnaby tutaj garścią ludzi wstrzymać na długi czas znaczne nawet siły nieprzyjacielskie. Lisek to widział i dlatego nalegał o zrobienie zasiału, ale Zbigniew, który pił coraz więcej miodu, jakżeśmy widzieli, ani słyszeć o tem nie chciał, a wkońcu upił się i padł nieprzytomny na murawę. Od tej chwili on i starszyzna obozowa spała snem kamiennym. Wkrótce za przykładem wodzów poszło i wojsko. Gdy noc zapadła, noc ciemna, bezksiężycowa, ogniska poprzygasały, cały obóz chrobacki spał snem błogosławionych, jakby ci ludzie wyjechali na polowanie a nie na wojnę ze strasznym i zdradliwym wrogiem.

Lisek atoli nie spał i nie dał spać Zabojowi.

— Nie możemy spać — mówił — bo najprzód życie mi jest miłe i nie chcę, by mię Niemcy zarznęły jak barana, a potem szkoda tych ludzi.

Kilku wojakom powiedział o swych obawach, ale ci młodzi, znużeni drogą, odrzekli mu:

— To nie nasza rzecz, ale wojewody Zbigniewa. Musi on lepiej od was wiedzieć, kiedy tak gada.

Wobec tego dał pokój wszystkiemu, tylko Zaboja namówił, żeby ten nie spał. Obadwaj przenieśli się na ów stromy brzeg strumienia i tam, trzymając konie za uzdy, legli, gwarząc ze sobą, wpatrując się w czarne otchłanie puszczy, wsłuchując w jej szum posepny i w posepniejsze jeszcze ryki dzikiego zwierza, lub krzyki puhacza.

XX.

Napad nocny.

Cicha i pogodna noc letnia powoli upływała. Obaj czuwający, Zabój i Lisek, ułożyli się nawznak, ręce podłożyli pod głowy i patrzyli na ciemny szafir nieba, którego tutaj kawałek było widać, z powodu rzadszych drzew sosnowych, źle rosnących na szczerym piasku i trochę wskutek tego chorych i małych. Kiedy w puszczy zwolna cichły wszystkie głosy, gdy ryk zwierza coraz rzadszy się stawał, i pułacz nawet gdzieś uśpił się, gdy tylko drzewa szumiały sennie i zdawała się cała natura drzemać, na niebie, w oczach dwóch rozmarzonych Słowian odbywał się cichy, ale nieustanny ruch. Na tej przestrzeni, którą widzieli między kilku nieruchomymi drzewami, przesuwwały się gwiazdy za gwiazdami i nikły za czarną ścianą drzew. Zaboja to rozmarzało. Patrzył, patrzył i pytał się samego siebie, co też jest tam na tych gwiazdach. Ale na to odpowiedzi ani wtedy, ani później nikt dać nie mógł i nie może.

Robiło się chłodno. Białe mgły, podnoszące się z Wisły i z potoku, na którego stromym brze-

gu leżeli, rozwłóczyły się powoli po lesie, nasycając wszystko wilgocią. Czarne głębie puszczy, krwawo i migotliwie oświecone od ognisk drzewa, zasłonięte zostały tą mgłą, jak szarą płachtą. Ogniska wyglądały mętnie, okolone blademi pierścieniami jednostajnego, rozplywającego się w szarym mroku światła. Mgła płynęła powoli, kłębiła się, przesuwała, szła falami i nikła w puszczy. Była tak nasiąknięta wilgocią, że przenikała do kości niezdrowym jakimś chłodem.

— Zimno! — mruknął Zabój, podnosząc się gdy mgła powoli zakryła przed nim ciemny szafir nieba, tak że już nie mógł patrzeć na gwiazdy.

— Brrr! — otrząsał się — wartoby rozpalic sobie ognisko i ogrzać się trochę. Ta mgła przejmuję do kości.

Lisek przez chwilę nic nie odpowiadał, leżąc trochę na boku i patrząc na przewalające się po lesie tumany mgły, jak gdyby jakiś olbrzymi galaretowy zwierz posuwał się naprzód. Ale potem podniósł się trochę, spojrział dokoła i rzekł:

— Ognisko rozpalic! chyba ci jednej klepki brak w głowie, Zaboju. Oto idź lepiej i pogaś mi te kilka ogni, które tam we mgle mającą, jak czerwone oczy, jak wyraźne znaki dla Niemców.

— Pogasić, Lisku! przecie ci ludzie poumierają od zimna; któż zresztą gasi ogień w puszczy? wilcy i niedźwiedzie nas zjedzą.

— Lepsi wilcy i niedźwiedzie, niż Niemcy — mruknął Lisek i dodał: — Jeżeli ty nie pójdziesz, to ja sam pójdę. Te ognie to tak wyglądają, jak

gdyby kto Niemcom powiedział: Pójdźcie nas wziąć!

Mówiąc to, wstał i miał zamiar już pójść. Nagle zatrzymał się, nastawił uszu i po chwili kładąc się na ziemi, szepnął z wyrazem przerażenia:

— Na wszystkie bogi, Zabój, zaklinam cię, jeżeli ci życie miłe, idź pogaś ogień. Niemcy idą! słyszę wyraźnie ich ciężki, miarowy chód. Śpiesz się, śpiesz, bo jeno ich patrzeć! Obudź kogo możesz!

I wyciągając się na ziemi, przyłożył do niej ucho, słuchając pilnie. Zabój zerwał się na równe nogi, tknięty do żywego słowami Liska i przerażony tajemnym niebezpieczeństwem, grożącym całemu oddziałowi, i począł także przez chwilę nadśluchiwać.

Ale w puszczy okrom jednostajnego szumu drzew, ryku zwierząt, pluskania fali wiślanej, nic nie było słyhać. Żaden głos podejrzany nie przerywał sennego szmeru drzemiącej natury.

— Czy Lisek jeno nie majaczy! — pomyślał sobie — mam przecie dobry słuch i nic a nic nie słyszę. Ale zawsze on dobrze radzi, te ognie trzeba pogasić. Wyglądają one istotnie na czerwone oczy!

Powlókł się powoli, ziewając, bo nie wydawało mu się niebezpieczeństwo ani tak bliskie, ani tak groźne, jak to Lisek mówił. Przecieby coś usłyszał. Niemcy w zbrojach zawsze chodzą na wojnę i chrzęst tych zbroi słyhać daleko, a cóż dopiero w ciszy nocnej, w puszczy, gdzie

każdy odgłos tysięczne echa powtarzają. Ognisk było ogółem, jak obliczył, dziesięć. Z tych niektóre same przygasły i jeno się jeszcze węgle żarzyły, inne paliły się słabym, migotliwym blaskiem. Zdeptał nogami i rozrzucił pierwsze, jakie napotkał, ognisko, którego głównie, padając na przesyconą wilgocią trawę, gasły odrazu; to samo zrobił z drugim i trzecim, gdy ktoś się obudził i zerwał na równe nogi.

— Kto tu łązi po nocy? — krzyknął zbudzony.

— Ja, Zabój.

— A czegoż ty u biesa się włóczysz i gasisz ogień?

— Bo Niemcy idą.

— Co! Niemcy?...

— Tak, i radzę ci, obudź kogo możesz, jeno cicho, bez wrzawy, a ja tymczasem pogaszę ognie.

Zbudzony młody jakiś wojak oprzytomniał odrazu i zapytał:

— A skądże ty wiesz, że Niemcy idą?

— Skąd wiem? Idź do starego Liska, tam, na skraju góry, a on ci powie i czy...

Nie dokończył, bo w tejże chwili wiatr zawał mocniej i przyniósł wyraźny tętent koni, chrzęst zbroi, brzęk mieczy, parskanie koni i nawet głosy ludzkie. Zabój zdrętwiał i zawołał:

— Słyszysz! Niemcy idą!... gaś ognie i budź kogo możesz!...

Rzekłszy to, z zapalem i energją, podsycaną wyraźnem i bliskiem a straszmem niebezpieczeń-

stwem, rzucił się do gaszenia pozostałych ognisk. Dopomagał mu w tem z gorączkowym pośpiechem zbudzony, przypinając do boku oszczep i hełm do głowy. Po drodze tego i owego szarpnął, co nie było bezpieczne, gdyż każdy zbudzony zrywał się i głośno wrzeszczał:

— Kto tu?

Trzeba było każdemu tłumaczyć się i zwracać jego uwagę na wzrastającą wrzawę z głębi puszczy. Szczęściem wiatr wiał od strony Niemców i przynosząc dokładnie odgłosy ich pochodu, tłumił krzyki budzonych w obozowisku chrobakiem. Zgaszono przecież szczęśliwie ognie, a kiedy ostatnie ognisko zalewano wodą, nadbiegł Lisek z łukiem w rękę.

— Zaboju — zapytał syczącym szeptem — dużo was tu jest.

— Jest nas ze dwudziestu.

— Chodźcie za mną, wstrzymamy pierwszy najazd Niemców, a reszta niech budzi wojaków, jeno cicho i śpiesznie.

Dwudziestu junaków uzbrojonych i przytomnych już zupełnie posunęło się za nim nad sam brzeg potoku. Tu Lisek kazał im się pokłaść na brzuchach za krzakami tarniny i czekać z rękami na cięciwach łuku ukazania się nieprzyjaciela.

— Niemcy stąd idą i nie podejrzewając niczego, zbliżą się nad potok i zatrzymają się tu na chwilę. Wtedy powitajcie ich strzałami, jeno mierzcie dobrze, najlepiej w szyję, bo tam zbroje

są najslabsze i mają dużo wiązań. W innym miejscu strzała nie każda bierze. Pilnujcie się, uszów dobrze nadstawiajcie, a ja pójde obudzić wojewodę i starszyznę.

— Nie dobudzicie ich się, Lisku — rzekł któryś z junaków — śpią jak zarznięci. Popili się wczoraj i leżą jak kłody nieżywe.

— Bodaj ich zmora zdusiła! — zaklął pod nosem Lisek, a potem dodał głośno:

— Niech-no który skoczy i przykaże tam w obozie, żeby takiej wrzawy nie robili. Do stu czartów, tu o życie nas wszystkich idzie! Powiedz — rzekł do odchodzącego — żeby przykoniach zostawili dwudziestu ludzi, a ci niech koniom pyski powiążą, żeby nie rżały, bo nas mogą zdradzić. Reszta niech tu przychodzi nam na pomoc.

A gdy któryś z leżących począł narzekać półgłosem na zimno, rzekł:

— Będzie ci tu, braciszku, zaraz tak gorąco, jak w łaźni. Niemcy to dobre łaźniebniki, powiadam tobie, parobku.

Chrzęst zbroi, parskanie koni, głosy ludzkie, a nawet jakąś piosenkę niemiecką wiatr coraz wyraźniej przynosił. Niemcy szli widać ogromną masą i szeroką linią, bo począwszy od Wisły aż dobrze w głąb puszczy głosy te rozlegały się. Trzask deptanych gałęzi i krzyk zbudzonego ta nawałą niemiecką ptactwa rozlegał się tysięcznym echem po lesie. Ten szum, ta wrzawa wśród ciszy nocnej, wśród nieprzejrzanych ciemności.

robiła dziwnie przykre i przygnębiające wrażenie. Wielu z leżących nad potokiem dzwoniło zębami, trochę z zimna, a trochę ze strachu zapewne. Niebezpieczeństwo było tem przykrzejsze, że Niemców widać nie było, i najlepszy, najbystrzejszy wzrok nic poza szarą, brudną mgłą i poza czarnościami nocy dojrzeć nie mógł.

Lisek kilkakrotnie się podnosił i wyteżał wzrok w las, chcąc choć cokolwiek dojrzeć, ale czy Niemcy byli jeszcze daleko, czy też noc była tak ciemna, dość że nic widać nie było. To go mocno niepokoiło. Nagle, widocznie przyszła mu jakaś myśl do głowy, bo zatrzymał się, oparł czoło na rękę i pilnie rozważał. Po krótkim namyśle nadstawił jeszcze raz uszu, położył się na ziemi i długo słuchał, a potem powstając, rzekł napół do siebie, napół do swych towarzyszy:

— Jeszcze czas! jeszcze zdążę!

To mówiąc, sięgnął za pazuchę, wyjął duży krzemień, z sąsiedniego dębu zebrał trochę mchu suchego, zrzucił z siebie łuk i kołczan, jeno krótki oszczep zostawił i tak przygotowany rzekł głośno:

— Kto ze mną pójdzie na tamtą stronę potoku? Musimy coś zrobić, bo inaczej Niemcy na nas wleczą, a my ich widzieć nie będziemy. Kto na ochotnika? Ostrzegam, że wyprawa jest niebezpieczna i możemy wpaść Niemcom w łapę, a wiecie, że kto się im dostanie, ten zaraz dynda na gałęzi. No, kto ze mną pójdzie?

— Ja! — podniósł się Zabój i trzech jeszcze junaków.

— To za dużo, ja potrzebuję jeno dwóch. Chodź, Zaboju, i ty, Wisławie. Dalej w drogę, bo czasu niewiele! Wy tu leżcie i uszu dobrze nadstawiajcie! — dodał, zwracając się do reszty wojaków.

Pobiegł, odwiązując po drodze sznury, wiszące mu dotąd u pasa, które tak przy wyruszeniu zdziwiły były Zaboja. Przez potok gęsto zarosły sitowiem i bagnisty, tak że więźli po kolana, a nawet junak, Wisławem zwany, uwiązał po brzuch i Zabój z Liskiem musieli go wyciągać, przedostali się z wielką trudnością na drugi brzeg. Teraz Lisek począł biec pędem pod górę a potem w głąb puszczy. Ubiegłszy tak napół odległości wypuszczonej z łuku strzały, zatrzymał się, i chwytając oddech i sapiąc ciężko, począł słuchać, zwykłym swym zwyczajem przykładając ucho do ziemi. Widać, że mu jakoś dobrze wypadło, bo zerwał się i rzekł wesoło:

— Dalej, chłopcy, jak najwięcej suchego chróstu, mchu, smolnych łuczyw zgromadźcie. Zapalimy wielkie ognisko i będziemy strzelać do Niemców, jak do kaczek w trzcinie.

Żwawo zabrali się do tego wszyscy trzej i pod sosną ułożyli wielką kupę chróstu. Stało się to prawie w jednym oka mgnieniu. Lisek zaraz też skrzesał ognia i podpalił tę kupę. Płomyk, ślizgający się zwolna, syczeć począł na smolnych łuczywach i posuwać się coraz dalej.

Lisek, zobaczywszy, że ogień już nie zgaśnie, zawołał:

— Teraz uciekajmy do swoich, co jeno się starczy!

Puścili się więc pędem ku potokowi, jak lisy ścigane przez psy. Czas już był wielki, gdyż do uszów ich dobiegł najwyraźniej głośno i blisko gdzieś wyrzeczony wyraz niemiecki:

— Vorwärts!

Szcześliwie dostali się do potoku i tu zasłonięci już górą, mogli spokojnie go przejść. Z nie-małym trudem, brnąc po grząskim i błotnistym gruncie, ubabrani w błocie jak djabły, stanęli na górze między swoimi. Lisek przedewszystkiem obejrzał się na ogień. Buchał on już dużym płomieniem, ogarniając coraz bardziej nagromadzony chróst i ciskając przez białą mgłę różowe smętne blaski dokoła. W każdym razie, ktokolwiek chciałby zbliżyć się do potoku, musiał przejść koło ogniska, a stąd musiał się ukazać ukrytym nad potokiem wojakom.

Lisek, biorąc swój łuk, zatarł ręce z zadowolenia i spytał:

— Czy wszyscy już zbudzeni?

— Wszyscy, oprócz wojewody i starszyny.

— Niech wojewodę i starszynę czart porwie — zawołał Lisek — damy sobie radę i bez nich.

XXI.

Bitwa nocna.

Przez chwilę słyhać było jeszcze wrzawę i szmer pochodu niemieckiego, potem nagle rozległy się krzyki:

— Halt! Halt!

I cała linja Niemców zatrzymała się i zaległa zupełna cisza, jakby przez czarodzieja wywołana. Drzewa tylko szemrały i słyhać było trzask palącego się na kupie chróstu. Ogień tam rósł coraz bardziej i wkrótce cała ta kupa buchnęła jednym wielkim płomieniem, rozrzucając dokoła siebie blaski. Przy blaskach tych zdawało się niektórym, że dostrzegają w głębi, poza ogniskiem Niemców; w lżejszych hełmach, zbrojach i tarczach płomienie zapalały migotliwe błyskawice. Lisek jednak nie ruszał się, jeno patrzył się w ogień i żałował, że mu ta myśl tak późno przyszła do głowy, że wskutek tego z powodu braku czasu niewiele zdołano zebrać chróstu i że ten wkrótce się spali i dawniejsza ciemność zalegnie las. Zdradzono więc swoją obecność całkiem niepotrzebnie.

Kiedy tak myśli, nagle widzi, jak trzech Niemców zbliża się do ogniska ostrożnie. Wszyscy trzej siedzieli na dzielnych, ciężkich trochę i czarnych jak kruki koniach, na głowach mieli wielkie lśniące od ognia hełmy, pełne piór różnobarwnych i na piersiach niemniej błyszczące pancerze, które pokrywały im także ręce i nogi. Każdy koń miał u łba nasadzone pióra pomalowane na ciemno i niebiesko, a na piersiach, na rzemiennych napierśnikach wielkie gwiazdy, błyszczące jak ogień. Siedzieli oni, wszyscy trzej, na wysokich terlicach i dzierżyli w rękę nagie, długie miecze niemieckie, a przy lewej ręce mieli przywiązane włócznie z proporczykami żółtego koloru. Jechali wolno, skradając się, pochyleni na koniach, wpatrzeni przed siebie, jak gdyby chcieli wzrokiem przebić zalegające dokoła ciemności.

Przybywszy do ogniska, zatrzymali się przez chwilę, obejrzeni dokoła i zdawali się naradzać, mówiąc coś do siebie. Potem rozdzielili się w trzy strony. Jeden pojechał wprost, a dwaj drudzy skręcili w bok.

Lisek tymczasem szepnął Zabojowi, żeby podał następnemu, a ten znów swemu sąsiadowi rozkaz, aby nikt nie strzelał dopóty, dopóki on, t. j. Lisek, nie strzeli. Zrobiwszy to, wszyscy leżeli jak nieżywi, wstrzymując oddech w sobie, wpatrzeni w zbliżającego się wolno ku potokowi olbrzyma niemieckiego. Ten z wielką ostrożnością, wciąż pochylony na koniu, stanął nad potokiem.

kiem na wzgórzu i widząc przeszkodę, zatrzymał się, spiął się na strzemionach, wyciągnął szyję, chcąc cośkolwiek dojrzeć na przeciwnym brzegu. W tejże chwili Lisek podniósł się na nogi bez najmniejszego szelestu i dzierżąc w rękę sznury z pętlicą u końca, rozwinął je z wielką siłą, puścił ze świstem i ze zręcznością niezwykłą zarzucił Niemcowi pętlicę na szyję. Szarpnięty mocno i niespodzianie rycerz spadł z chrzęstem i brzękiem na ziemię.

— Zabój! — syknął Lisek — ciągnij ze mną Niemca.

Porwał się Zabój, uchwycił w swe żelazne ręce sznur i Niemiec obwisły jak trup, przydużony, nie dając prawie znaku życia, znalazł się nagle na drugim brzegu. Wszystko to stało się tak szybko i zręcznie, że nim leżący na ziemi wojacy mogli się opatrzeć, co to się stało, już ciężko uzbrojony rycerz leżał między nimi.

— Rozbróćcie go! — szepnął Lisek — zatkajcie mu czem gębę, żeby nie krzyczał i przywiążcie do ogona końskiego. Oto naco przydały się moje sznury — dodał, zwracając się do Zaboja.

Tymczasem koń rycerza przestraszony tym nagłym upadkiem swego pana, spiął się i ze rżeniem zawrócił nazad i pędem poleciał do swoich. Słychać było, jak biegł, jak trzaskały pod nim gałęzie, leżące na ziemi. Przez chwilę widać go było lecącego z podniesionym ogonem około ogniska, aż wkońcu zniknął w ciemnościach noc-

nych. Zaraz też potem dobiegł do uszów leżących wojaków szmer i pomieszane głosy, brzęk zbroi, jak gdyby kto kij rzucił w ul szerszeni.

W tejże chwili stała się dziwna i niespodziana dla Liska rzecz. Ognisko, które już przygasało z powodu braku chróstu, nagle zajaśniało niezwykłym blaskiem. Płomienie bowiem ogarnęły sosnę, pod którą zebrali Lisek, Zabój i Wisław chróst. Sosna była stara, połamana, ale wysuszona przez upały słoneczne, przesycona żywicą, zajęła się odrazu jak smolne łuczywo i w jednej chwili olbrzymi słup ognia buchnął do góry, oświecając dokoła las na znaczną przestrzeń. Widać było niemal każde drzewo, każdy krzak i purpurowe płomienie ognia przeglądały się w Wiśle, płynącej na dole. Ptaki zbudzone niezwykłym tym blaskiem i krzykiem pozrywały się z drzew i kołować poczęły koło palącej się sosny. Widok był przerażający, ale też i niezwykle piękny.

Przy tym blasku powstałym tak nagle i tak niespodzianie, junacy nasi ujrzeli na dobry strzał z łuku stojącą linię niemieckich rycerzy. Wszyscy oni byli na koniach, w zbrojach i hełmach, w których czerwony ogień sosny jak w czystej wodzie się przeglądał. Na przodzie stało widać kilku starszych około schwytanego konia rycerza zduszonego przez Liska i coś między sobą gadali. Ogień zresztą tak dobrze ich oświecał, że Lisek nieomal mógł ich policzyć wszystkich. Było tych Niemców około trzystu, siła więc straszna

ze względu na swą liczbę i uzbrojenie dla naszych junaków. Zabój, który także widać liczył Niemców i który znał ich sposób prowadzenia wojny, szepnął do ucha Liskowi:

— To straż przednia, a może podjazd taki jak i my.

Lisek nic na to nie odrzekł, bo uwagę jego zwrócili dwaj pozostali rycerze, wysłani na zwiady. Nie wiedząc co się stało z ich środkowym towarzyszem, spokojnie zbliżyli się nad brzeg potoku i zdumieni nagłym blaskiem, zatrzymali się, odwrócili i patrzeli na palącą się sosnę. W tejże chwili Lisek naciągnął swój łuk, przez jedno mgnienie oka zmierzył, puścił cięciwę i strzała, ze świstem lecąc, uwięzła w szyi rycerza z taką siłą, że ostrze wylazło na drugą stronę. Niemiec zachwiał się na koniu, krew mu z ust wytrysła grubym strumieniem i padł jak długi na ziemię. Koń z głośnem rzeniem, oślepiiony ogniem, przerażony upadkiem jeźdźca, rzucił się naprzód i wpadł z łoskotem w potok, więznąc w błocie po brzuch. Zaraz kilku junaków zsunęło się na dół, wydobyło przerażone zwierzę i uprowadziło na górę. Ale to zdradziło ich przed Niemcami, którzy, ujrawszy uprowadzających konia, głośno krzyczeć zaczęli, wskazując na nich rękami, a nawet strzelać z łuków. Ale strzały nie donosiły, więznąc po większej części w piasku przeciwnego brzegu.

Podobny los jak dwóch jego towarzyszy, wysłanych na zwiady, spotkał trzeciego Niemca.

Junacy na znak dany przez Liska obrzucili go taką masą strzał, że on i koń pod nim padł na ziemię, obaj ciężko poranieni.

Wszystko działo się w oczach całego wojska niemieckiego, stojącego opodal, poza gorejącą ciągle i oświecającą las dokoła sosną. Na widok padających dwóch swoich towarzyszy Niemcy wydali okrzyk wściekłości i spinając konie ostrogami, rzucili się w nieładzie naprzód z podniesionymi mieczami i toporami. Przy krwawym blasku ognia, wśród ciemności leśnych, ta gromada pędzących rycerzy wyglądała jak widma, jak duchy nie z tego świata. W ich zbrojach chrzęszczących głośno, w ich hełmach strojnych w pióra i łby dzikich zwierząt, ich tarczach i mieczach zapalały się od ognia nagle błyskawice oślepiające, rzucając dokoła połyski i gasnąc co chwila.

W odpowiedzi na okrzyk wojenny Niemców Lisek podniósł się z za krzaka i rozwijając ze świstem swój stryczek nad głową, zakreślił nim dokoła i zawołał głosem grzmiącym:

-- Mierzyć dobrze w szyje!

Posypał się rój strzał, jak osy brzęczących i gwizdzących w powietrzu. Kilkunastu procarzy z pomiędzy junaków wyrzuciło kamienie, które z łoskotem dzwonić poczęły po hełmach i zbrojach. Tu i owdzie jakiś Niemiec dobrze ugodzony zachwiał się na koniu i padł — tam koń zraniony ciężko spał się na zadnie nogi i ru-

nał wraz z jeźdźcem na ziemię, jeszcze gdzie indziej strzała utkwivszy w hełmie, drżała swojemi piórami jak żywa. Wódz niemiecki, olbrzymiego wzrostu mąż, rudy jak marchew, okryty na zbroi skórą niedźwiedzią, spiętą pod szyję na złocistą zapinkę, i z toporem żelaznym w rękę, zabiegł drogę swoim i ochrypłym głosem krzyczał:

— Herum! Herum!

Widział go Lisek i Zabój. Obaj trzykrotnie naciągnęli swe wielkie, dalekonośne łuki i trzykrotnie strzały ich odbiły się od wybornej zbroi wodza niemieckiego. Dopiero Wisław, nałożywszy na procę swoją ogromny kamień, cisnął go z taką siłą, że hełm na wodzu owym uderzony silnie pękł na dwoje, jak gliniany czerep, a sam rycerz pod tym potężnym ciosem zachwiał się i runął na ziemię. Podniósł się wprawdzie zaraz, potrząsając groźnie swym toporem, ale mając obnażoną głowę, narażony był na straszne niebezpieczeństwo. Lisek bowiem i Zabój naciągali znów swe łuki — dwie strzały świsnęły w powietrzu i utkwily w głowie wodza niemieckiego. Padł nawznak, zalewając się krwią.

Okrzyk triumfu rozległ się między wojakami chrobackimi.

— Naprzód na Niemców z oszczepami! — krzyknął jakiś junak, podnosząc się z ziemi.

— Leżeć! — wrzasnął Lisek. — Kto mi się ruszy, stryczkami go tu przyciągnę.



...rycerz spadł z chrzestem i brzękiem na ziemię

(Król Krak i kr. Wanda)



W tejże chwili ów junak ugodzony niemiecką strzałą w same piersi padł trupem. Lisek nie kazał się nikomu ruszać, jeno dalej obsypywać Niemców strzałami i kamieniami. Wiedział on dobrze, jako wytrawny wojak, nieraz już mierzący się z Niemcami, że silni za potokiem i krzakami wojownicy chrobaccy we wstępnym boju zostaliby stratowani przez Niemców jak robaki.

Niemcy po stracie wodza cofnęli się, unosząc jego trupa, poza gorejącą sosnę na odległość taką, że strzały Chrobatów razić ich już nie mogły, i przez chwilę naradzali się między sobą. Kilkudziesięciu zeszło z koni i pieszo z łukami żelaznymi w rękach, kryjąc się za krzaki i drzewa, poczęło podsuwać się ku potokowi, zarzucając strzałami Chrobatów. Mierzyli dobrze i jak tylko kto choć trochę się odsłonił, padał zaraz ugodzony śmiertelnie. Strzały ich były długie, zaopatrzone w ostrza z żelaza niezmiernie twardego, mające przy osadzie końce tak zakręcone, że trudno je było z ciała wydobyć. Kilku junaków już padło z przeszytymi piersiami, a Niemców coraz więcej przybywało i strzały ich szły coraz gęściej.

Chrobaci jak mogli odpowiadali. Biada Niemcowi, który wychylił łeb z poza drzewa i jeżeli jego zbroja nie była zbyt mocną, by wytrzymać uderzenie strzały chrobackiej, to z pewnością gryzł świętą ziemię. Strzały z obu stron świstały, rozlatując się na wszystkie strony, jak osy lub szerszenie.

Wtem ponad głowami Chrobatów, leżących i ukrytych za krzakami i drzewami, rozległ się donośny, chrapliwy głos:

— A co to znaczy?

Odwrócili się wszyscy i widzą wojewodę Zbigniewa, z gołą głową, bez pancerza, jak stoi nad nimi na górze, napół nieprzytomny jeszcze i patrzy błędnymi oczami na gorejącą wielkim słupem ognia sosnę. Stał tak niby cel dla pocisków niemieckich, nie rozumiejąc grożącego mu niebezpieczeństwa. Niestety! nim Lisek zdołał krzyknąć:

— Wojewodo! plackiem na ziemię, bo zginiessz!... — już cztery strzały niemieckie uwięzły w piersi Zbigniewa. Zatoczył się wtył, rękami się chwycił za piersi i bluzgając krwią, padł trupem na miejscu. Zadrżał jeszcze kilkakrotnie, poruszył się z jękiem przeciągłym i — skonał.

Tymczasem walka toczyła się coraz dalej. Niemcy uparcie, ale z wielką przezornością zbliżali się do rowu, którym potok płynął i który rozdzielał walczących. Strzały ich szły coraz gęściej, gdyż coraz więcej rycerzy zsiadało z koni i łączyło się z poprzedzającymi. Choć Chrobaci dobrze mierzyli, ale kute zbroje niemieckie, żelazne hełmy i tarcze wytrzymały uderzenia strzał słowiańskich, podczas gdy przez pancerze na junakach strzały niemieckie przechodziły jak przez masło. Walka poczęła tym sposobem przybierać zły obrót dla Chrobatów,

zwłaszcza, że Niemcy dostrzegli konie, stojące w tyle, i także poczęli do nich strzelać, raniąc je i rozpędzając. Lisek, zmartwiony srodze, począł już rozmyślać, jak tu z tej matni się wycofać, gdy znów nieprzewidziany i nagły wypadek zmienił stan rzeczy zupełnie.

XXII.

Odwrót.

Wypadkiem tym, który zmienił położenie obu stron walczących, było nagłe zgaśnięcie ognia, który dotąd oświecał las o tyle przynajmniej dostatecznie, że przy tym blasku można było toczyć krwawą i upartą walkę. Sosna spaliła się zupełnie i runęła na mokną, przesyconą wilgocią trawę i odrazu prawie zgasła. Małe, tu i owdzie ukazujące się płomyki, oraz węgle, żarzące się jeszcze, nie dawały tyle światła, by można było cokolwiek widzieć na dalszą odległość.

Ciemność, jaka nagle po jarzącym blasku zapanowała w puszczy, w zdumienie na chwilę wprawiała obie strony. Wstrzymano się z wzajemnem przesyłaniem sobie śmiercionośnych pocisków, tylko słychać było, jak Niemcy głośno nawołują się. Wszystkie ręce zatrzymały się na cięciwach, a oczy patrzyły zdumione. Nie wiadziiano, co robić.

Jeden tylko Lisek nie stracił przytomności. Odrazu pojął on, jak wielką korzyść może mu przynieść ten wypadek, i postanowił wyciągnąć

zeń wszelkie możliwe korzyści. Postanowił więc pod zasłoną nocy dokonać tego szybkiego odwrotu. Czas już był wielki, gdyż na wschodzie, za Wisłą, niebo bieląło, zwiastując bliski świt. Chłodny, orzeźwiający powiew budzącego się dnia czuć było w lesie. Lisek widział, że jeżeli teraz nie zdoła wycofać się szczęśliwie, to z nastąpieniem dnia, wobec przemagającej siły niemieckiej cały oddział przepadnie.

W jednej chwili, z właściwą sobie stanowczością rozkazał ciągle strzelać przed siebie, przeważnie do żarzącego się jeszcze ogniska, a kilku junaków wysłał, by sprowadzili konie. Znowu więc zaświstał rój strzał, które gwiżdżąc padały na ognisko i wkoło niego. Niemcy zrazu nie odpowiadali, ale potem i oni poczęli strzelać, ponieważ jednak nie mogli już dobrze mierzyć, strzały ich popychane przez wiatr szły przeważnie górą. Z tem wszystkim zdołali jeszcze dwóch ludzi zabić, a czterech ranili.

Nakoniec sprowadzono konie. Ciemność była nieprzejrzana w lesie, gdyż strzały, padając w żarzące się ognisko, rozrzuciły je doreszty. W jednej chwili cały oddział dosiadł koni, zostawiając na pobojowisku zabitych. Trzech śpiących ze starszyny, których nawet wrzawa bojowa obudzić nie mogła, siłą wsadzono na konie. Wziętemu przez Liska Niemcowi dano konia jednego z zabitych i wśród świstu strzał nieprzyjaciela, który, słysząc jakieś ruchy, znowu począł strzelać z zdwojoną energją, ruszono kłusem wy-

ciągniętym zpowrotem. Wkrótce po wydostaniu się z pod strzał nieprzyjaciela i z możliwą szybkością, o ile ciemna noc pozwalała, przesuwno się naprzód w największym milczeniu; Lisek nakazał zachowanie wielkiej cichości i wszelkich ostrożności. Rozrzucano się więc po lesie, płątano ślady, kilku ludzi zawracało, lub oddalało się w bok. Wkońcu rozdzielono się na cztery części. Jedna poszła samym brzegiem Wisły, a trzy inne puszcza w znacznej od siebie odległości.

Najwięcej wystawioną na niebezpieczeństwo, bo przesuwaną się brzegiem Wisły, złożoną z trzydziestu niespełna ludzi częścią dowodził Lisek. Wszystkie inne oddziały szły głębia puszczy, nie miały bowiem czego się obawiać. Jeżeli Niemcy o świcie puszcza się w pogoń, to zawsze, z obawy pobłądzenia w lesie, będą szli za tymi, którzy postępują w pobliżu rzeki. Wszyscy to dobrze wiedzieli i dlatego Lisek osobiście poprowadził ten oddziałek.

Wogóle straty Chrobatów nie były zbyt znaczne, choć stosunkowo zapewne stracili oni więcej ludzi, niż Niemcy. Oprócz Zbigniewa mieli jedenastu zabitych i coś dwudziestu ranionych, z których zresztą każdy mógł utrzymać się na koniu i jechać.

Lisek wiódł ze sobą Niemca schwytanego na arkan, teraz rozbrojonego zupełnie, odartego ze zbroi i przywiązanego do konia, którego wiodło

dwóch junaków. Zabój jechał przy swym dawnym towarzyszu podróży, Lisku.

Tak postępowano wyciągniętego stępa nad rzeką. Dzień powoli się robił. Białe mgły nad Wisłą spadały coraz niżej i z poza lasów rumieniło się już niebo purpurą wschodzącego słońca. Obfita rosa leżała na murawie, na liściach drzew i strącana przez włócznie wojaków, spadała na nich. Cała puszcza brzmiała tysiącem głosów, świergotem ptactwa, krzykiem żórawi i kukanem kukułki. Ciepły powiew wiatru z głębi boru przynosił aromatyczny zapach żywicy. Posuwano się w największej cichości.

Nakoniec słońce weszło z poza lasów i gór, rozpędziło resztki mgły, kłębiącej się jeszcze nad wodą, przejrzało się przystrojone w złoto i purpurę w pluskającej fali wiślanej i rozjaśniło wszystkie ciemności lasu. Lisek z następującym dniem był coraz niespokojniejszy, i co chwila się oglądał i przyśpieszał kroku. Chciał on bądź co bądź ująć przed pościgiem Niemców, którego się spodziewał, którego był prawie pewny. Nie mógł bowiem przypuścić, żeby Niemcy, czując się silnymi, nie pomścili zadanej im w nocy klęski.

Nalegał więc o pośpiech, grożąc, że czyj koń ustanie, tego zostawi w puszczy na pastwę Niemcom.

— Do końca puszczy mamy jeszcze tylko dwie mile — mówił — a do grodu zaledwie trzy

mile. Trochę więc pośpiechu, trochę wysilenia, a będziemy bezpieczni i cali.

Śpieszono się więc i stęp wyciągnięty zmienił się w kłusa. Lisek wiedział, że junacy są ogromnie znużeni całonocną walką i długą drogą, że następstwem tego znużenia jest zniechęcenie i brak odwagi. Wszystkie twarze były tak jakoś przerażone, tak co chwila oglądano się i nasłuchiowano, że pokazanie się dwóch Niemców na tyłach wywołałoby ogólny popłoch i ucieczkę. Ucieczka taka, ze względu na mocno zmęczone konie, byłaby klęską i skończyłaby się rzezią. Lisek myślał i przemyślał nad tem, jakby rozdmuchać zagasłą waleczność w junakach, zwłaszcza, że był przekonany, iż Niemcy go dogonią choćby na skraju puszczy, że trzeba będzie z nimi stoczyć jeszcze jedną walkę. Tamte dwa oddziały, które poszły puszcza, są ocalone, ale on może paść ofiarą, do czego jednak nie miał żadnej ochoty. Jeździł więc pomiędzy wojakami, przemawiał do nich, śmiał się, zapewniał, że choćby ich nawet Niemcy dognali, to nic nie zrobią, byle chciano znowu stawić walecznie czoło; że Niemcy nie wcześniej ich dopędzą, jak na skraju puszczy, że tam są góry i skały, za którymi ukryci mogą się oprzeć skutecznie, że na koniec z Krakowa nadbiegnie im pomoc i że Niemców zetrą na miazgę.

Słowa te skutkowały. Twarze się rozpozodziły, nie oglądano się już na najmniejszy szelest w puszczy, nie chylono głów trwożliwie. Ow-

szem, z otuchą, która wstąpiła w serca junaków, poczęto teraz strzelać do ptaków, spotykanych w pochodzie, ścigać sarny i jelenie, których parę sztuk ubito i zabrano, gdyż Lisek zawiadomił, że na skraju puszczy, między skałami zatrzymają się, by koniom dać wytchnąć. Niektórzy więc junacy głodni, bo nic od wczoraj w ustach nie mieli, postanowili na odpoczynku upiec sobie owe sarny.

Słońce już było bardzo wysoko i silnie dopiekało, kiedy nakoniec, bez żadnych przygód i oznak pogoni niemieckiej, dostano się na skraj puszczy. Wesołe miny, skały prześlicznym wieńcem jodeł ustrojone i dalej Kraków, który już było widać w niebieskawej mgle, rozjaśnił wszystkie mroczne dotąd twarze.

Cały oddział zatrzymał się poza górą, zasłaniającą go od strony puszczy, niedaleko wioski, w której, w czasie podróży z Zabojem, Lisek zatrzymał się był na odpoczynek u kmiecia Władyboja. Posłano do wsi konnego po owies i siano, oraz po żywność. Tymczasem, nie zdejmując zbroi, odpoczywano w cieniu. Rozstawiono strażę na górach, rozpalono ogniska. Niektórzy piekli upolowane w puszczy sarny i ptaki, inni, wyciągnawszy się na miękkiej murawie, odpoczywali, zapatrzeni w siną dal, lub w niezamacony niczem błękit nieba letniego.

Odpoczywano tak już jakiś czas i ze wsi dostawiono nieco owsa i siana, oraz chleba, a nawet kilku kmieciów przybyło do obozu dowie-

dzieć się, co słyhać o Niemcach, gdy nagle straż, umieszczona na górze, dała znać, że jacyś zbrojni wojacy ukazali się na skraju puszczy, na prawo od obozu, w dość znacznej od niego odległości. Lisek poskoczył na górę, żeby zobaczyć co to jest i popatrzywszy chwilę, zawołał:

— To nasi! Niech tam kto skoczy i zawróci ich tu do nas. Niech sobie z nami odpoczną nieco i teraz już lepiej będzie, gdy kupą pójdziemy.

Dosiadło koni trzech wojaków i popędzili do owego oddziałku, który wkrótce złączył się z obozującymi. Oddziałek ten liczył dwadzieścia kilka koni, było ogromnie znużony, ale o Niemcach nic nie wiedział. Lisek, silniejszy już teraz i spokojniejszy, kazał przybyłym rozłożyć się i odpocząć nieco. Trzeci oddziałek, choć pilnie go z góry poszukiwano, jeszcze nie pokazał się z puszczy.

Ale zato zaledwie poczęto gotować krupy dostawione ze wsi, gdy na skraju boru, wprost obozujących zabłyszczały w słońcu broje i hełmy Niemców. Było ich kilkudziesięciu na dzielnych koniach, wszystko olbrzymy. W ich tarczach, na których misternie pomalowane były rozmaite gady i potwory, przeglądało się słońce, oświecało czerwone i żółte proporczyki u włóczyń, ciskało błyskawice od nagich, długich i prostych mieczów.

— Do koni! do broni! — krzyczał wojak, stojący na straży, zbiegając z góry. — Niemcy idą!

W jednej chwili skoczono do koni, a Lisek pobiegł na górę przypatrzeć się Niemcom. Było ich trzydziestu pięciu, a więc znacznie mniej od Chrobatów. Wysunęli się z puszczy i stanęli, oglądając się dokoła. Zobaczywszy to, Lisek miał już plan gotowy. Nie będąc pewnym, czy poza tym oddziałkiem nie śpieszy w pewnym oddaleniu reszta Niemców, postanowił na niego uderzyć wstępny bojem, pokonać i tym sposobem uwolnić się od zbyt natarczywego pościgu. Z tym zamiarem zbiegł z góry, dosiadł swego myszatego konika i dobywając oszczepu, zawołał:

— Kto za mną pójdzie na Niemców?

Przysunęło się czterdziestu junaków, między nimi Zabój. Lisek ustawił ich w szeregu i przykazawszy reszcie ukryć się dobrze za górą i w razie sposobności strzelać do Niemców z łuków i procy, wyruszył na czele swoich czterdziestu na dolinę, oddzielającą górę od puszczy.

Niemcy, którzy, zatrzymawszy się przez chwilę, ruszyli znowu naprzód w kierunku góry, za którą zapewne dostrzegli byli dym, wydobywający się z ogniska, spostrzegłszy Chrobatów, wysuwających się kłusem i w porządku z za góry, stanęli, zdziwieni i widocznie mocno tym zaniepokojeni. Ale gdy cały oddziałek chrobacki wyszedł na dolinę i rozwinął się, widząc niewielką jego siłę, z krzykiem i wrzawą, wstrząsając włóczniami i toporami, puścili się z kopyta na junaków.

Lisek w tejże chwili rozwinął ze świstem swój stryczek i krzyząc głośno: „Naprzód Chrobaci!” puścił się ku Niemcom co koń wyskoczy. Junacy pognali za nim. Kilkanaście strzał świsnęło z za góry na Niemców, nie szkodząc im zresztą wcale. Biegli oni, aż ziemia dudniała, krzyząc, potrząsając groźnie swemi mieczami. Ale i Chrobaci walecznie posuwali się ku nim — i oba oddziały wyglądały, jak dwie gradowe chmury, mające się ze sobą zetrzeć i huknąć piorunem.

Lisek wywijając swym stryczkiem, gdy nadbiegł na odpowiednią odległość, puścił go z niezmierną siłą i schwycił za szyję wodza niemieckiego. W jednej chwili ściągnął go na ziemię, zawrócił konia i wlokąc za sobą ciężkiego i duszącego się rycerza, pognął ku górze. To tak zdumiło i przeraziło Niemców, że zatrzymali konie i jak ogłupiali patrzyli na uprowadzonego jak psa jakiego wodza. A tu już junacy siedzą im na karkach. Zabój, dzierżąc swój wielki miecz, tnie hełmy, jak glinę zeszlą, Wisław maczugą nabitą gwoździami druzgocze twarde łby niemieckie, inni oszczepami mordują najeźdźców. Ci poprawili się i stawili zrazu waleczny opór. Siekano się, rąbano, chwytano w pół i ściągano z koni, tocząc śmiertelną walkę na ziemi. Podniósł się kurz olbrzymi i przez chwilę Lisek, który oddał schwytanego Niemca wojakom pozostałym na górze, nic nie widział. Zawrócił jednak i pognął znowu w bój. Tym razem wszyscy pozostali

na górze towarzyszyli mu, zawstydzeni swoją bezczynnością. Nawet przybyli ze wsi kmiecie chwycili za broń i pognali na Niemców. Wrzawa była tak wielka, że we wsi wszyscy mężnie porwali za maczugi, łuki, kłonicie i śpieszyli na plac boju. Ale pomoc ich nie była już potrzebna. Niemcy przełamani pierzchali na wszystkie strony, ścigani zawzięcie i mordowani bezlitośnie. Lisek nie zabijał, tylko na stryczek chwycił uciekających. Trzech jeńców jeszcze w ten sposób pojmał. Piętnaście trupów zaległo pobojowisko, obok dziesięciu zwłok chrobactkich. Resztę Niemców ścigano długo jeszcze po puszczy i zabijano, tak, że ani jedna noga z tego oddziałku nie ocalała.

W triumfie wiodąc pięciu niewolników i kilkanaście koni, oraz wioząc mnóstwo zbroi i broni niemieckiej, wkroczył Lisek wieczorem do grodu Krakowego, witany okrzykami i ogólną radością. Królowa Wanda aż na ganek zamku wyszła, by powitać zwycięzców.

XXIII.

Poselstwo Rytygerza.

Królowa Wanda była niezmiernie ucieszona ze zwycięskiego powrotu podjazdu, a nade wszystko z wiadomości, które on przyniósł o Niemcach. Gdy się dowiedziała, że oddział ocalał i wrócił w triumfie jedynie dzięki rozumowi i energii Liska, zaraz mianowała go jednym z wojewodów, mających prowadzić wojaków przeciw Niemcom. Obóz ten pod Wawelem wzrastał ciągle w liczbę i siły. Gorejące co noc wici i stopy oblane smołą sprowadzały z najdalszych stron mężów zbrojnych. Gdzieś tam z za Wisły, z okolic gródka zwanego Wiślica, kneź tamtejszy, Walgierz, przywiódł czterystu kilkudziesięciu wojaków, napół nagich, zarośniętych i dzikich, uzbrojonych w małe tarcze, krótkie oszczepy, łuki, proce i maczugi. Wszystko to mieściło się pod górą, w dużym obozowisku, nappełniając gród i rozrzucone u jego stóp miasto wrzawą i ruchem niezwykłym.

Tej jeszcze nocy, zaraz po powrocie Liska z wyprawy, wojewodowie polecili Zbiskowi wybadać niewolników niemieckich, jakie siły

wiedzie ich wódz Rytygierz i czego chcą Niemcy. Zbyszek nie umiał po niemiecku i nikt w grodzie ani też w mieście tego nie potrafił. Zbyszek więc był w wielkim kłopotcie, jak sobie poradzić z Niemcami. Szczęściem przypomniał sobie, że świeżo przybyły do Krakowa kneź wiślicki Walgierz był tam kiedyś na Niemcach, aż nad wielką rzeką Renem zwaną, o czem gęślarze piękne pieśni śpiewali. Do niego się więc Zbyszek udał, a kneź, wysłuchawszy go, huknął swym grubym, chrapliwym głosem:

— Dawaj-no tu tych Niemców! Juźcić że wiarę ich rozumiem, przecież byłem w ich kraju.

Przyprowadzono tedy niewolników i kneź zabrał się do nich. Ale zrazu nie chcieli nic gadać. Tedy kneź krzyknął na swoich, ci Niemców pochwycili, na ziemię rzucili i gorącemi, żarzącymi węglami poczęli im przypiekać podeszwy u nagich nóg. Męczarnia była straszna i Niemcy krzyczeli wniebogłosy, ale zaraz też wszystko powiedzieli: że ich jest moc wielka, przeszło półtora tysiąca koni i tyluż pieszych, że wiedzie ich wojewoda Rytygierz, który jest starszym rycerzem, że pokonali już Czechów i Morawców, kraj ich z ziemią zrównali i że tak samo chcą zrobić z Chrobatami.

— O! niedoczekanie wasze, przekłete psy niemieckie! — krzyczał Walgierz i dalej pytał:

— Ale czegoż wy chcecie od nas! cośmy wam winni?

— Wojewoda Rytygierz — odpowiadał na to wódz schwytyany przez Liska na skraju puszczy — zasłyszał od wędrownych gęślarzy i minnesengerów o waszej królownie, która ma być cudownie piękna, i pragnie się z nią ożenić. Dlatego zrobił na was wyprawę. Jeżeli królowna zgodzi się na to, wówczas Rytygierz zachowa się spokojnie, z królowną się ożeni i zabierze ją z sobą do krainy niemieckiej, do pięknego zamku muranego na wysokiej skale nad rzeką Renem...

— Znam, znam tę rzekę! — westchnął Walgierz. — Ale mów dalej, niewolniku.

— Wówczas, nie czyniąc nic nikomu, wrócimy do siebie przy graniu piszczałek i fletni, śpiewając, ubrani w wieńce dębowe. Wojewoda zostawi tu jeno w gródku waszym paruset rycerzy, na znak, że on jest panem tej ziemi, jako mąż waszej królowny...

— Damy my jemu królownę! W swaty się wybrał! Damy mu swaty, ale krwawe!... — mruzczał Walgierz.

— Jeżeli zaś królowna odrzuci rękę naszego wojewody — gadał dalej Niemiec — wówczas kraj ten zniszczymy, wszystkie wsi i grody spalimy i zrównamy z ziemią, mężów wymordujemy lub weźmiemy w niewolę, a królownę wódz gwałtem weźmie.

— No! no! obaczymy jeszcze, jak to będzie! — mruknął Walgierz. — A teraz gadaj mi, Niemcze, kiedy z puszczy wylezie wasz wojewoda?

— Tego nie wiem. Wczoraj, kiedy nas wysłał przodem na zwiady, stał koło małego gródka w puszczy, któryśmy mocą wzięli, spalili, wszystkich ludzi wycięli...

Kiedy te słowa Walgierz przetłumaczył na język ludzki Zbiskowi i Liskowi, oraz innym wojewodom, to Lisek zawołał z żalem:

— Sławka te psubraty niemieckie zamordowali! — i począł głośno biadać z powodu straty przyjaciela.

— Czegóż płaczecie, wojewodo Lisku? — mówił Walgierz. — Wiadomo, że na wojnie ludzie się nie rodzą. Lepiej powiedzcie, jak to daleko jest do owego gródka Sławkowego.

— Jak daleko? Dwa dni drogi stąd. Niemcy mogą być pod Krakowem.

Wiadomość ta wywarła silne wrażenie. Odesłano zaraz jeńców niemieckich za Wisłę, do gontyny na wysepce na jeziorku, gdzie mieli być jutro rano poświęceni bogom, i zajęto się uporządkowaniem zebranych sił wojennych. Rozdzielono je na tyle części, ilu było wojewodów. Liskowi, w miejsce poległego Zbigniewa, oddano wszystkich uzbrojonych w pancerze i hełmy, których było przeszło czterystu, i wysłano go na skraj puszczy, by pilnował pokazania się Niemców. Całą noc panował w obozie ruch i gotowano się do jutrzejszej upartej walki z Niemcami.

Nazajutrz o świcie wszyscy wojewodowie i królowa Wanda, oraz mnóstwo wojaków, ko-

biet i dzieci udało się za Wisłę do gontyny, by być świadkiem poświęcenia bogom Niemców. Przed misternie z drzewa zbudowaną i pomalowaną na niebiesko oraz czerwono gontyną leżał wielki, podłużny kamień obficie krwią zeszlą obryzany, na którym zwykle czyniono ofiary czyli objaty, jak je nazywano. Samą gontynę otaczało kilka starych napół spróchniałych dębów.

Kiedy się już wszyscy zgromadzili, kapłani wyprowadzili zupełnie prawie obnażonych jeńców. Wiedzieli oni, co ich czeka, i byli śmiertelnie bladzi. Wódz, olbrzymi mąż, z rudym włosiem, trupioblady, spoglądał dzikim wzrokiem dokoła. Szczęściem oczekiwanie na śmierć niedługo trwało. Ukazał się arcykapłan, trzymając w ręce wielki nóż zrobiony z krzemienia i biednych jeńców skrępowanych powrozami kładziono pokolei na onym podłużnym kamieniu i arcykapłan wśród śpiewów wbijał każdemu ów nóż w serce. Konanie niedługo trwało. Krew trysnęła strumieniem, ofiara zadrgała konwulsyjnie i skończyła. Kamień obficie zlany był krwią. Najstraszniejszym zapewne było to, że gdy prowadzono jednego do fatalnego kamienia, inni musieli na to patrzeć i być świadkami losu, który z kolei i ich miał niebawem spotkać. Czterej pierwsi żadnego oporu nie stawiali. Tracili oni zresztą przytomność przód, nim ich położono na strasznym kamieniu, ale piąty, wódz, stawiał dzielny opór. W rozpaczliwym wysiłku zerwał kępujące go

więzy, kilku uderzeniami pięści powalił wiodących go na śmierć kapłanów i rzucił się do ucieczki ku Wiśle. Schwytano go jednak i po szalonej obronie przyprawiono pokrwawionego, napół już żywego. Arcykapłan wbił mu, jak innym, nóż kamienny w serce.

Pięć trupów potem złożono na stosie i spalono. Ofiarami temi, według pojęć religijnych Słowian, usiłowano przebłagać bogów i zapewnić sobie zwycięstwo nad Niemcami.

Ledwie królowa Wanda i wojewodowie powrócili do grodu, gdy przycwałował na spienionym koniu goniec od Liska, z doniesieniem, że uroczyste poselstwo niemieckie od wojewody Rytygierza do królowy Wandy jest w drodze ku Krakowu. Zatem Zbyszek, jako kasztelan zamku, nakazał, by wszystko było w porządku. Umieciono dziedziniec zarzucony, według obyczaju słowiańskiego, gnojem i śmieciami, na ganek wyniesiono stolec książęcy, przyniesiony jeszcze Krakowi z Carogrodu, schody pokryto szkarłatnem suknem, a załogę gródka uzbrojoną od stóp do głów postawiono dokoła stolca. Gorące słońce poranku lipcowego oświecało to wszystko wspaniale. W obozie wojacy ustawili się także w porządku i tłumy ludu wyległy naprzeciw poselstwu niemieckiemu, o którym przybyły junak cuda opowiadał, jako jest piękne, strojne i jak bogate dary niesie.

Królowa, otoczona niewiastami swojemi, z niepokojem oczekiwała na to poselstwo. Do-

myślała się ona, czego od niej chce Rytygierz, a zawoławszy starego Zbiszka do siebie, zapłakana mówiła:

— Zbiszku, stary druhu mego ojca, co ja mam robić teraz? Wiesz dobrze, z czym to poselstwo niemieckie idzie. Nie godziź się mnie oddać rękę Niemcowi, a ocalić przez to Chrobację od strasznej wojny i straszniejszego spustoszenia? Poradź mi, Zbiszku, bo ja biedna sierota nie wiem, co mam czynić.

— Królowo moja — odrzekł Zbiszek — gdyby to o to tylko szło, pierwszy rzekłbym: poświęć się dla Chrobacji. Ale nie wieszże, co gadał on wódz niemiecki, spalony dziś na stosie? Mówił on, że gdy oddasz rękę Rytygierzowi, to on na znak panowania w Chrobacji zostawi tu w grodzie kilkuset rycerzy. Będziemy znów w niewoli, może gorszej od Obrów niewoli, w niewoli niemieckiej. Nie, królowo, brońmy się doostatka, do ostatniej strzały, a gdy nic już nie poradzimy, spalmy ten gród i uciekajmy w puszcze.

— Dobrze radzisz, Zbiszku — zawołała królowa z radością w twarzy — tak, bić się będziemy doostatka.

Ubrała się cała białą i śliczną swą złotą kosę rozpuściła na plecy. Na głowie, na wieńcu z róż i liści dębowych, miała ciężką koronę ojcowską. Tak oczekiwała poselstwa niemieckiego.

Nakoniec pacholek umieszczony na wieży dał znać, że poselstwo jedzie. Jakoż wstępowało ono

na ulicę miasta z piszczałkami, fletniami i gęślami, grając i śpiewając prześlicznie. Lud witał okrzykami tę muzykę i tłumnie otaczał orszak poselski. Na czele tego orszaku jechał sam poseł. Ubrany w hełm stalowy, lśniący od słońca, jak roztopione srebro, z wielką masą piór u wierzchu, patrzył dumnie na otaczający go biedny, napół nagi, siermiężny lud słowiański. Czerwone jego kudły, wydobywające się z pod hełmu, w słońcu wyglądały, jakby fala krwi spadała na kark Niemca. Z pod skóry rysiej, którą miał zarzuconą na ramiona, wyglądał pancerz, lśniący podobnie, jak hełm. Tarczy ów poseł nie miał wcale, ani też łuku, jeno długi miecz u boku. Koń pod nim był czarny i pieniał się, wspinając się co chwila.

Za posłem jechali owi grajkowie w kołpakach bobrowych, w czerwonych sukniach i z krótkimi oszczepami u boku. Wygrywali oni wesołe i smutne piosenki ku wielkiej uciechu ludu. Za grajkami dwóch pieszych, ubranych w krótkie kozuchy, na które zarzucone były skóry bawole tak, że rogi mieli nad czołem, z ogromnymi tarczami i długimi mieczami u boku, prowadziło prześlicznego konia, jak śnieg białego, okrytego szkarłatnym sukniem ze złotymi frendzlami. Za koniem takichże trzech pieszych, strojnych w skóry bawole, strasznych i dzikich niosło w rękę rozmaite dary, a mianowicie: kubki złote i srebrne, drogie materje wschodnie, zausznicę, manele i t. p. Obok nich postępował na koniu ry-

cerz w zbroi i hełmie, dzierżąc w ręku dwa nagie miecze, z których jeden był czysty jak łąza, drugi zaś zmaczany we krwi. Orszak zakończyło kilkunastu zbrojnych Niemców, a za nimi postępowali z dobytymi szablami junacy Liska, w liczbie kilkudziesięciu, dowodzeni przez niego samego.

Wszystko to z szumem, chrzęstem, krzykiem, odgłosem piszczałek i fletni weszło na górę i na dziedziniec zamkowy, gdzie się zresztą wszyscy pomieścić nie mogli i większa część orszaku została na górze za częstokołem. Królowa Wanda siedziała już na swym tronie książęcym, otoczona niewiastami i starszyzną. Obok niej stał kneź Walgierz, w zbroi i hełmie z piórami obyczajem niemieckim, wsparty dumnie jedną ręką na mieczu.

Kiedy poseł Rytygierza wjechał w dziedziniec i zobaczył królowę, zaraz zeskoczył z konia i szedł do niej pieszo. Przybywszy przed tron, pokłonił się pięknie i począł mówić, co zaraz Walgierz królowej tłumaczył.

— Mój pan — mówił poseł — baron Ritigerus, wielki i sławny rycerz na świat cały, zasłyszawszy o wdziękach twoich, królewno, o których wszyscy minnesengerzy śpiewają, przybywa tu na czele niezliczonych i niezwyciężonych wojsk, ażeby cię wziąć, królewno, za żonę. Baron Ritigerus jest wielki mocarz. Ma nad Renem sześć grodów wzniesionych nie z drzewa, ale z kamienia i cegły, ma mnóstwo niewolników i wojaków,

ma całe skrzynie złota i kosztownych sukien. I oto pewny, że, królowno, przyjmiesz rękę tak wspaniałomyślnie ci ofiarowaną, przysłała ci ślubne dary...

Tu skinął i owi dzicy mężowie w skórach bawolich zbliżyli się z koniem i darami. Ale królowa powstrzymała ich gestem ręki i rzekła do Walgierza, który przetłumaczył jej słowa posła:

— Powiedz, kneziu, temu Niemcowi, że nie chcę znać jego barona i darów jego nie potrzebuję. Jeżeli jest tak wspaniałym, jak mówi, rycerzem, to nie będzie napadał kraju, który mu nic złego nie uczynił, i pójdzie spokojnie tam, skąd przyszedł.

Walgierz powtórzył te słowa posłowi, a ten zacerwienił się cały od gniewu i zawołał:

— Więc tak, królowno? Mój pan, baron Riti-gerus, kazał mi powiedzieć ci, że jeżeli nie zostaniesz jego żoną, to ziemię twoją spustoszy ogniem i mieczem, mężczyzn wytnie, a kobiety i dzieci do niewoli uprowadzi; tam, gdzie były grody, pługiem zaorać każe i zostawi jeno niebo i ziemię. Ciebie zaś, królowno, zrobi swą niewolnicą, nie żoną.

Na te słowa porwał się Walgierz cały czerwony od gniewu.

— Powiedz twemu panu, zuchwały psie niemiecki, że jak go schwytam, ja, Walgierz, ksiączę na Wiślicy, to go obwiesić każe na pierwszej lepszej gałęzi!

— Ja tu nie do ciebie przyszedłem, Walgiezru, księżę na Wiślicy, ale do Wandy, królowej Chrobatów, twej pani. Zatem słowa twe obrazić mnie nie mogą. A teraz, królowo: chcesz pokój, czy wojny?

To rzekłszy, skinął na onego rycerza, który niósł dwa miecze: jeden czysty, drugi krwawy, i który, zsiadłszy z konia stał nieruchomy, jak posąg, obok posła, by się zbliżył. Poseł, chwytając owe miecze, zwrócił je ku królowej ręką i rzekł tonem wielce uroczystym:

— Oto dwa miecze, królowo. Wybieraj! Chcesz słodkiego pokoju i uczt weselnych, czy też krwi i powagi?

Królowa, która co prawda nie rozumiała, co Niemiec do niej mówi, ale z okazania owych mieczów domyśliła się, o co idzie, podniosła się szybko ze swego tronu i chwytając za miecz krwawy, podniosła go w górę, potrząsnęła i zawołała:

— Wojna! wojna z Niemcami na śmierć i życie!

Poseł zrozumiał, o co idzie. Skłonił się, dosiadł swego rumaka i cały orszak w ponurem milczeniu, bez piszczałek i fletni, zawrócił się zpowrotem. Ale lud teraz nie witał go radośnie, tylko spoglądając na Niemców groźnie mruzczał posępnie. Lisek musiał otoczyć swymi junałkami Niemców, żeby im lud nie wyrządził jakiej krzywdy.

XXIV.

Niemcy idą.

Reszta dnia zeszła na przygotowaniach do nieuniknionego boju, którego się nazajutrz spodziewano. Kobiety i dzieci uciekały z miasta do puszczy na wschód, mężczyźni się zbroili. Oddział za oddziałem, hufiec za hufcem wyruszał brzegiem Wisły na obszerne błonia za miasto i tam ustawiał się w długie szeregi zbrojne. Wieczorem, daleko pod puszczą od strony Moraw zajaśniała wielka łuna pożaru, dając znać, że Niemcy idą. Wśród ciemnej nocy ta łuna krwawa znamionowała, że walka będzie straszna i uparta.

Późną nocą nadszedł Lisek, cofając się ze swymi pancernymi przed nawałą niemiecką. Stoczył on z nieprzyjacielem upartą krwawą walkę i wracał ze znacznie przetrzebionym hufcem, zmęczony, zakurzony, zlany krwią. Mówił, że należy spodziewać się Niemców o świcie dnia następnego. Był trochę zniechęcony i gadał do Zaboja:

— Nie rokuję ja sobie nic dobrego z jutrzejszej bitwy. Niemców jest moc wielka i uzbrojeni

są daleko lepiej od nas. Ich zbroi strzały nie biora, a nasze panczerze pociski ich krają jak glinę. W bitwie dzisiejszej najwięcej junaków padło od strzał niemieckich.

Radził tedy wojewodom, żeby nazajutrz nie bawić się w strzelanie z łuków, ale odrazu zwalić się na Niemców i w ręcznym boju ich pokonać.

— Jedyny to sposób pokonania ich. Inaczej wystrzelają nas jak wróble, nim się z nimi mieczem zmierzmy.

Zgodnie z tą radą Liska, popartą przez Walgierza, postanowiono, że jak tylko Niemcy się ukażą, rzucić się na nich z oszczepami, mieczami, toporami, maczugami, nie bawiąc się wcale w łuki. Zawiadomiono o tem wszystkich wojaków i czekano świtu w milczeniu, patrząc na łunę, krwawiącą niebo szeroko. Wielu junaków spało, rzuciwszy się na ziemię tam, gdzie stali, inni siedzieli przy ogniskach, gwarząc o czekającej ich bitwie. Przeważnie jednak w obozie panowało poważne milczenie. Opowiadania wojaków z hufca Liska o sile niemieckiej, o ich dobrem uzbrojeniu, o zapale, z jakim rzucają się do walki, o celności ich strzałów, złe wywierały wrażenie. Słuchano ich chciwie i wątpiono o możliwości pokonania Niemców. Wielu za złe miało, że królowa odmówiła Rytygierzowi. Mówili, że mogła iść za Niemca, kiedy ją chciał wziąć za żonę, że niema powodu bić się z najeźdźcami, kiedy można było tak tanim kosztem załatwić wszystko.

Spalone sioła, pomordowani męże, niewiasty i dzieci, zabrany dobytek — to wszystko więcej warte, niż jedna dziewczka.

Takie było usposobienie większości Chrobaków zebranych na obszernem błoniu w obliczu nieprzyjaciela. Kiedy jeno świt zaszarzał, wszystko już było w ruchu. Wojewodowie na koniach z dobytymi mieczami szykowali swe hufce. Lisek w zbroi niemieckiej, z wielkim hełmem na głowie, ze swym stryczkiem u siodła, formował swych pancernych na samym przodzie, postanawiając pierwszy uderzyć. Słońce powoli się wznosiło i dzień zapowiadał się bardzo gorący. Tumany kurzu wznosiły się z pod kopyt tylu koni i nóg tylu ludzi. Stali na płaszczyźnie niczem nieosłonionej, bez cienia i wody, wystawieni na palące promienie słońca.

Zaraz zrana wysłano kilkunastu ludzi z Zabojem na czele na podjazd, żeby donieśli, jak Niemcy się ruszą, i oczekiwano tych Niemców z pewnym, łatwo zresztą wytłumaczonym niepokojem. Walgierz w zbroi, w rysiej skórze na zbroi, z maczugą nabitą żelaznymi gwoździami, na dzielnym koniu przebiegał szeregi, zachęcał, rozkazywał i sapał potężnie, co chwila wspinając się na koniu, by zobaczyć, czy Niemcy nie idą. Ale Zabój nie wracał i Niemców widać nie było.

Nakoniec, dobrze już koło południa, kiedy spiekota dokuczała wszystkim silnie, przypadł Zabój na czele swej garści junaków na spienionym koniu z doniesieniem, że Niemcy idą. Jakoż

wielkie tumany kurzu, zakrywające niebo, zwiastowały pochód wroga, a gorejąca na górze nad Wisłą gontyna Jessego znamionowała, jak Niemcy wszystko, co napotkali, niszczyli doszczętnie.

Zrobił się ruch w szeregach chrobackich. Doświadano co żywo koni, przypasywano zbroje i hełmy, próbowano mieczów, oglądano trenzle u koni. Wojewodowie przebiegali szeregi. Walgierz przyzwał Liska do siebie i kazał mu na czele jego hufca, który wzmocnił częścią swych Wiśliczan, najprzód uderzyć.

— Zaraz za tobą wszyscy pójdziemy! — gadał.

Tymczasem Niemcy powoli się zbliżali. Słychać było dudnienie ziemi pod ciężarem tyłu ludzi i koni, chrzęst zbroi, krzyki wodzów, a pośrodku tumanów mgły błysnęło nieraz ostrze włóczni lub miecza.

Nakoniec z pośrodku kurzu ukazali się na dwa rzuty strzały, rozwinięci w wielkim szeregu. Wietrzyk miotał proporcami ich włóczni, zbroje błyszczwały, jak srebro, konie rżały głośno. Ukazali się i zoczywszy szeregi chrobackie, zatrzymali się na całej linii.

— Halt! Halt! — rozległ się okrzyk wodzów.

Lisek widząc to, przypadł do Walgierza i rzekł:

— Już czas na nich uderzyć. Nim się sprawią i zasypią nas strzałami, możemy ich poprzeć.

— Dobrze! niech cię Bóg prowadzi! — rzekł Walgierz — ja zaraz za tobą idę.

To rzekłszy pognął pędem do swoich, a Lisek do swoich. Już zabierał się dać rozkaz do uderzenia, gdy nagle na białym koniu, cała biała ubrana z pancerzem na piersiach, z hełmem na głowie, z pod którego wieniec z róż i liści dębowych wyzierał, z krwawym mieczem niemieckim w dłoni, tym samym, który poseł Rytygierza wczoraj przyniósł, ukazała się królowa Wanda. Przypadłszy przed czoło Liskowego hufca, osadziła konia na miejscu, aż zadem zarył w ziemię, i potrząsając mieczem, zawołała:

— Kto jest mężem, ten za mną na Niemców!

To rzekłszy, nie oglądając się na nic i na nikogo, puściła się cwałem naprzód ku linii niemieckiej. Jak stado dzikich żubrów, jak gromada odyńców, jak wezbrany potok, którego falom nic oprzeć się nie zdoła, jak spadająca bryła śniegu z góry, rosnąc co chwila, wkrótce druzgocze stuletnie dęby, tak hufiec Liska rzucił się na Niemców. Ziemia bryznęła z pod kopyt paruset koni w górę, podniósł się olbrzymi tuman kurzu, w którym, niby w chmurach, błyskawicami świeciły miecze, a olbrzymi okrzyk głużył powietrze. Za pancernymi Liska, jak liście rwane wichrem, zrywał się huf za hufem i gnał na Niemców.

Nim ci zdołali się spostrzec, nim chwycili za broń, już im królowa Wanda i Lisek koło niej siedzieli na karkach. Zrazu stawili dzielny, rozpaczliwy opór, ale przełamani, zepchnięci zostali

na dalsze oddziały niemieckie i w szeregach ich straszne powstało zamieszanie. A tu już całe wojsko chrobackie spadło na nich, jak chmura gradowa. Tu Lisek tnie mieczem na prawo i na lewo, a pod straszniem jego cięciem pryskają hełmy i pękają zbroje, walą się ludzie, jak snopy. Tam Zabój, puściwszy cugle koniowi, jeno łechcąc go piętami, gna naprzód, dzierżąc oburącz swój wielki miecz, a gdzie go puści tam krew bluzga, jak z wodotrysku woda. Owdzie Walgierz, z okiem zaiskrzonym, z rozwianą rysią skórą, wali toporem Niemców po hełmach i karkach i napróżno zasłaniają się mieczem: miecze pod uderzeniem olbrzyma trzaskają na drzazgi. Nieprzyjaciel ginął po większej części bezbronne. Zbity w jedną wielką, gęstą masę, nie mogąc używać w tłoku włóczni ani łuków, nie mógł też po większej części dobyć mieczy. Była to więc prawdziwa rzeź. Niemcy padali, jak snopy. Konie ich przerażone, niekiedy wypadały z tej ruchliwej masy, i rżąc głośno biegały po błoniu, często z trupem krwawym na siodle, a często wlokąc po murawie zabitego rycerza, któremu noga uwięzła w strzemieniu.

Nakoniec Niemcy nie mogli już dłużej wytrzymać i poczęli uciekać, najprzód pojedynczo, potem liczniejszemi gromadkami, a wkońcu kto tylko mógł. Puszczano się za nimi w pogoń zawziętą, rąbiąc i zabijając. Pościg ten tak był uparty, że wielu junaków w trzy dni dopiero po bitwie wróciło do Krakowa, mówiąc, że aż do

Moraw gnali Niemców i że Morawianie do zbiegłej reszty zabrali się po swojemu. Mówiono, że z wyprawy tej ani jeden Niemiec nie wrócił do domu. Cała dolina od Krakowa aż po puszcze zachodnią zasłana była trupami niemieckimi, a w puszczy długo jeszcze potem znajdowano zabitych Niemców, napół poszarpanych przez dzikiego zwierza. Zwycięstwo było zupełne. Kilku wziętych jeńców opowiadało, że kiedy zobaczyli królowę Wandę, lecącą na czele swych junaków, całą białą i na białym koniu, pomyśleli, że to duch z nieba się pokazał, i taki ich strach wziął, że nawet mieczów nie dobyli.

Królowa Wanda, poprowadziwszy swoich do boju, cofnęła się potem na bok, otoczona przez Zbyszka i kilkudziesięciu junaków; była tylko widzem krwawej i krótkiej walki. Następnie znużona gorącem, gdy Niemcy już pierzchli i rozpoczął się pościg, zsiadła z konia i spoczęła na zwalonej wierzbie.

Wtem nagle zbliżyło się do niej kilku ludzi, niosących trupa jakiegoś rycerza niemieckiego. Zwłoki te zbroszone krwią złożyli u nóg królowej i rzekli:

— To jest trup Rytygierza, wojewody niemieckiego. Gdy wojsko jego poczęło uciekać, zeskoczył z konia i ten oto miecz wbił sobie w bok.

Zapłakała królowa rzewnymi łzami na ten widok i kazała zabrać zwłoki Rytygierza, by je uczciwie spalono na stosie. Smutna, zadumana,

potykając się co chwila o trupy, wróciła Wanda do grodu na Wawelu i tam zamknawszy się w świetlicy, cały już ten dzień nikomu się nie pokazywała.

Na poboju zato do późnej nocy brzmiały okrzyki radości i triumfu ze strony zwycięzców. Porozpalano wielkie ogniska i pieczono całe woły, kury, owce, sarny. Beczki miodu i piwa wytoczyć kazał Zbisek z grodu dla pokrzenia walecznych junaków. Więc jedzono i pito, śpiewano, cieszą się ogromnie. Wszystkie trupy niemieckie odarto ze zbroi i na długi czas potem mieli Chrobaci na czas wojny wielkie hełmy niemieckie, silne kute pancerze, długie miecze, dalekonośne łuki i dzielne konie. Prawie nie było junaka, któryby nie miał takiej zdobyczy. Poubierali się zaraz w owe zbroje, w owe hełmy z piórami i przechadzali się dumnie między swoimi. Te okrzyki, ta wrzawa, te uczyty w pobliżu trupów niemieckich i swoich przeciągały się do późnej nocy. Kiedy słońce weszło, cały Kraków pogrążony był jeszcze we śnie, otulony w mgły poranne, zaróżowiony od promieni wschodnich czerwonego słońca. Ale właśnie kiedy taka cisza leżała nad grodem Kraka, rozegrała się w nim ostatnia scena posępnego tego dramatu.

XXV.

Śmierć Wandy. — Zakończenie.

Tymczasem, kiedy się tak bawiono w Krakowie, kiedy tak obchodzono zwycięstwo nad Niemcami, kiedy uczutowano na pobojuwisku przesiąkniętym krwią wroga, królowa Wanda, której właściwie przypadła cała chwała zwycięstwa, siedziała w swej świetlicy i gorzkiemi zalewała się łzami. Kiedy obaczyła krwawego trupa Rytgierza, który tak ciężko, tak gorzko zapłacił swe swaty miłosne, kiedy spojrzała po błoniu zasianem trupami wroga i swoich, powstał w jej sercu straszny wyrzut, że ostatecznie ona jest powodem śmierci tylu ludzi i tylu walecznych. Zgliszcza siół i gontyny Jessego, których dym, leniwie rozwłóczący się, widzieć mogła z okienka swej świetlicy, zdawały się wołać o pomstę na nią. Gdyby nie była niewiastą, gdyby nie była tak piękna, ani te siola, ani ta gontyna nie dymiłyby w tej chwili ku niebiosom, ani te błonia nie byłyby pokryte trupami.

Plakała więc królowa Wanda nad swym losem, zawodziła głośno zamknięta w świetlicy. Te łzy jej, ten żal gorzki dziwnie był sprzeczny

z odgłosami radości, dochodzącemi aż tutaj. Te głosy, te krzyki, ta mowa triumfu nad wrogiem szarpały jej serce.

— Co za pewność — mówiła sobie — że jutro lub pojutrze nie zjawi się nowy jaki rycerz, jaki książę lub król potężny, który zasłyszawszy o mej piękności, zapragnie mej ręki i chrobackiej przy niej ziemi na wiano! Znowu pójdą sioła z dymem, dobytek żywić będzie wroga, gontyny z bogami podeptane zostaną. Znowu gorzeć będą smolne beczki i wici po górach, zawiadamiając lud o krwawej wojnie, wzywając go, by rzucał wszystko, swe ciche, spokojne, sielskie zajęcia i biegł na obronę grodu Krakowego i zamkniętej w nim królowej. Znowu te błonia zaleją się krwią i tysiące ludzi zalegnie je swemi trupami; znowu matki, żony, siostry oplakiwać będą synów, mężów, braci... Nie! tak dalej być nie może...

— Ale co robić? jak temu zapobiec? — pytała się samej siebie i nie znajdowała na to żadnej odpowiedzi.

Napróżno lzy lała, napróżno myślała i męczyła głowę... nic wymyślić nie mogła. Okrzyki, dochodzące do niej ze dworu, przesywały jej serce i przypominały nagłą potrzebę zatamowania raz na zawsze źródła wszelkich wojen, spowodowanych ubieganiem się o jej rękę.

Potem przypomniwała sobie okoliczności, którym zawdzięczała swe wstąpienie na tron. Dwie śmierci, z których jedna była wynikiem morder-

stwa, strasznego bratobójstwa, ciążyły wielkim ciężarem na jej rodzie.

— Bogowie nie zostali jeszcze przeblagani za tę okropną zbrodnię! — zawołała królowa i straszna myśl przyszła jej do głowy.

Bogowie potrzebują ofiary i ona będzie tą ofiarą. Przeblaganie bogów za zbrodnię bratobójstwa zetrze klątwę, ciężącą nad jej ojczyzną, usunie wiekuisty powód wojen krwawych. — Tak, ona się poświęci!

Kiedy już raz tę myśl powzięła, zrobiło jej się lżej, radośniej i weselej na sercu. Przestała płakać i utrwałała się coraz bardziej w swym zamiarze. Ona się stanie ofiarą niekrwawą, a na ofierze tej, jak na silnej, skalistej podwalinie, wzniesie się wiekuisty gmach szczęścia tej krainy chłobackiej. Nie będzie już wojen, sielska cisza tu zapanuje, przerywana jeno brzękiem sierpu, rykiem wołu pędzonego w jarzmie u sochy — a dymy będą się rozchodziły tylko z ognisk domowych, przy których rodzina wieczerze sobie gotuje, lub z ołtarzy ofiarnych.

— Ciesz się, ludu — wołała Wanda, słysząc radosne okrzyki zwycięzców — ciesz się, ludu, bo oto dla twego szczęścia spełni się wielka ofiara.

Królowa całą noc, noc zresztą krótką, bo czerwcową nie spała, jeno myślała o swej ofierze. A kiedy świt zaróżowił niebo od wschodu, zerwała się i zbudziła swe służebne, zdziwione niemało tak rannem wstaniem królowej. Ale ona nie

zważała na to. Ubrała się w swe najkosztowniejsze, białe jak śnieg szaty, bujne złote włosy spleść kazała w dwa warkocze, sięgające niemal do kolan, włożyła na głowę koronę ojcowską, ciężką, cierniową koronę, otoczyła ją wieńcem z róż świeżych i ze świeżych liści dębowych, ręce ozdobiła w złote manele, szyję w takżeż paciorki.

Tak przybrana, jak gdyby szła do swego oblubieńca, wyruszyła spokojna i piękna, jak zjawisko nieziemskie, z grodu ojcowskiego. Bramy były otwarte i nikt przy nich nie czuwał, boć wroga w kraju już nie było i smoka w jamie pod Wawelem także nie było. Sama uroczysta cisza letniego poranka leżała nad całą tą śliczną krainą.

Od wschodu niebo gorzało purpurą i złotem, rozpędzając gromady białych obłoków, kąpiących się w ciemnym lazurze nieba. Kilka gwiazd na zachodzie jeszcze migotało swym srebrnym blaskiem. Z Wisły, jak zwykle, białe mgły kłębiły się szeroko i leżały, jak płachta jakaś mętna, nad rzeką i błoniami, na których stoczono wczoraj krwawą walkę, a potem całą noc uczutowano. Ptactwo świergotało głośno, a od puszcz wiatr przynosił balsamiczną woń żywicy.

Po wrzawie nocnej cisza wielka zaległa dookoła. Psy tylko naszczekiwały w mieście i bydło ryczało zamknięte w oborach, pragnąc dostać się na świeże powietrze letniego poranku.

Wanda wszystko to widziała. Oglądała ze łzami zawsze przepyszny wschód słońca, które-



Wszystko, co miała na sobie drogiego, rozdała.

(Król Krak i kr. Wanda)



go już więcej nie ujrzy, chwytając piersią rozkoszne powietrze ojczyste, którem już więcej odychać nie będzie, wsłuchiwała się w tysiączne głosy ziemi ojczystej, których już nigdy nie usłyszy. Wolno zeszła z Wawelu, z tej góry tak niedawno zamieszkaną a tak już sławnej, przesiąkniętej wspomnieniami tylu radości, tylu smutków, tylu łez i krwi...

Nic nie mówiąc, na czele swych służebnych okrążyła górę, zalała się łzami na wspomnienie śmierci bohaterskiego Leszka, pomyślała o biednym Krakę, gdzie on jest teraz, i stanęła nad Wisłą.

Rzeka cicho toczyła swe fale. Mgły coraz bardziej się rozpraszaly i widzieć można było jej wody ciemne, szare, szemrzające głucho i z cichym pluskiem odbijające się od brzegu. Królowa spojrzala na tę wodę, potem na niebo, gorzące wszystkimi blaskami wschodu, na zamek ojczysty, na dal siną, rozplywającą się we mgle, westchnęła i zdjawszy manele z rąk, rzekła, oddając je jednej z niewiast służebnych:

— Masz to, Dąbrówko, na pamiątkę ode mnie.

Potem zdjęła koronę i oddała ją drugiej:

— Masz to, Ludmiło, na pamiątkę ode mnie.

Zausznice otrzymała trzecia, paciorki czwartą i t. d. Wszystko, co miała na sobie drogiego, rozdała. Dziewczęta, nie rozumiejąc, co to znaczy, a przeczuwając coś złego, rozplakały się głośno.

— Co chcecie zrobić, królowo? — spytała Ludmiła, najulubiejsza Wandy.

Wtedy Wanda, podnosząc wzrok i białe ręce w górę, zawołała:

— Bogom na ofiarę się poświęcić!

Ledwie to wyrzekła, zanim ją służebne powstrzymać mogły, rzuciła się do Wisły. Płynęła fala głośno, zapluskiała o brzeg i zamknęła się nad ciałem królowej chrobackiej. Wielkie koła toczyły się po wodzie, toczyły, aż i one znikły i Wisła, jak dawniej, toczyła swe mętne fale.

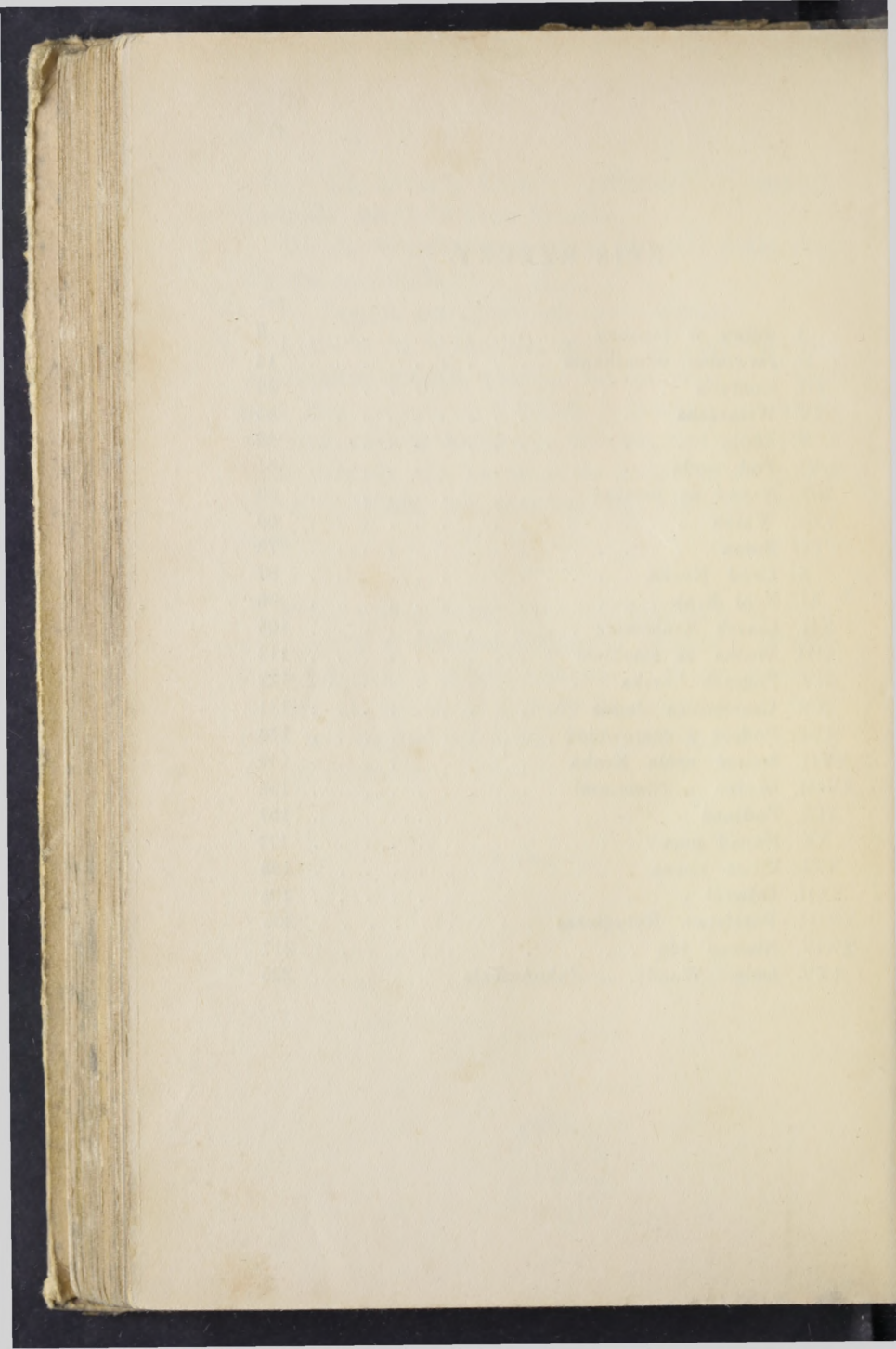
Płacz i narzekanie było wielkie, gdy się rozszła wieść o śmierci królowej Wandy. Wydobyto jej ciało z wody, spalono z wielką uroczystością na stosie, a popioły pochowano za miastem we wspaniałej urnie. Nad urną tą lud usypał wysoką mogiłę...

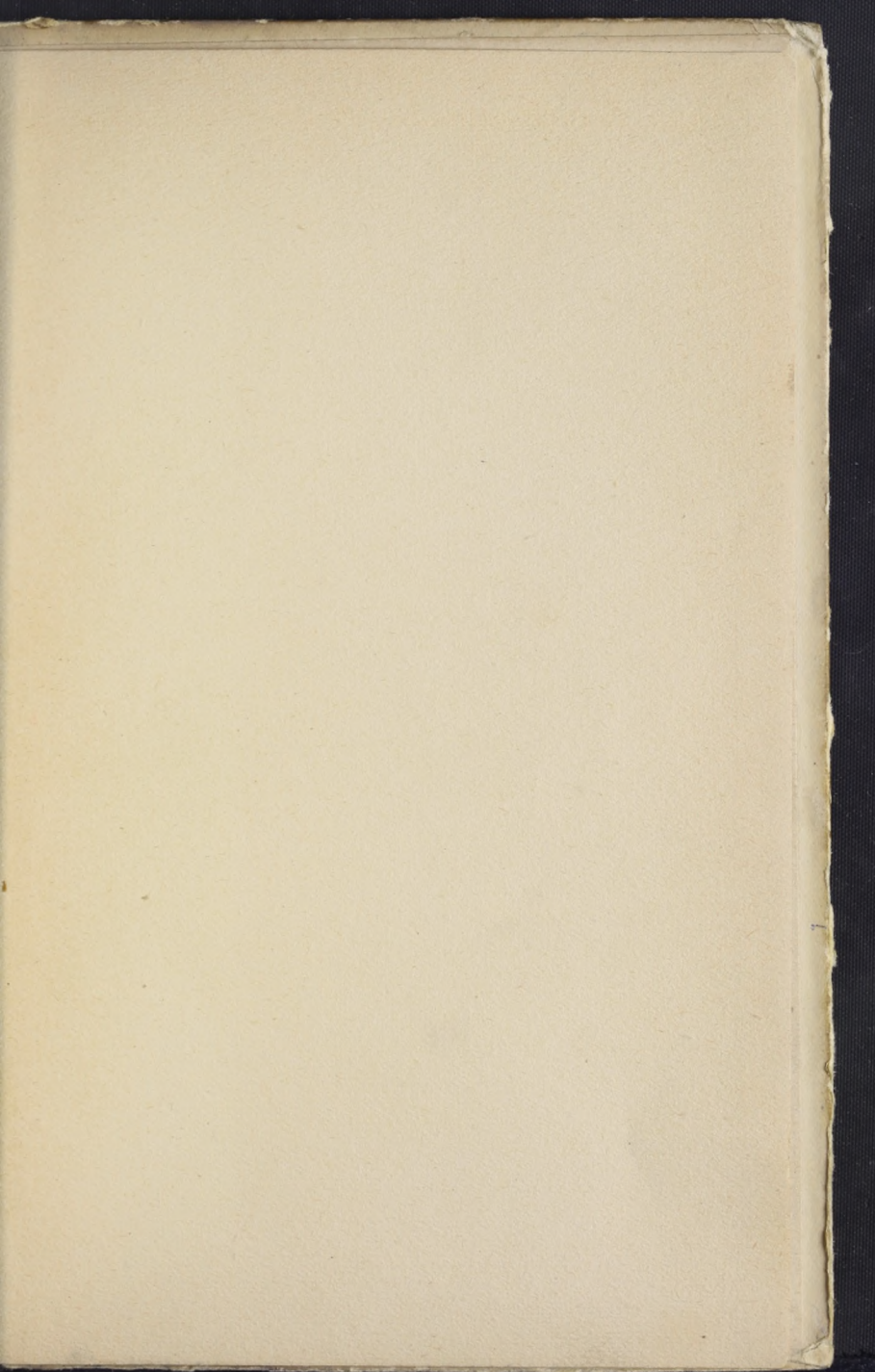
KONIEC.

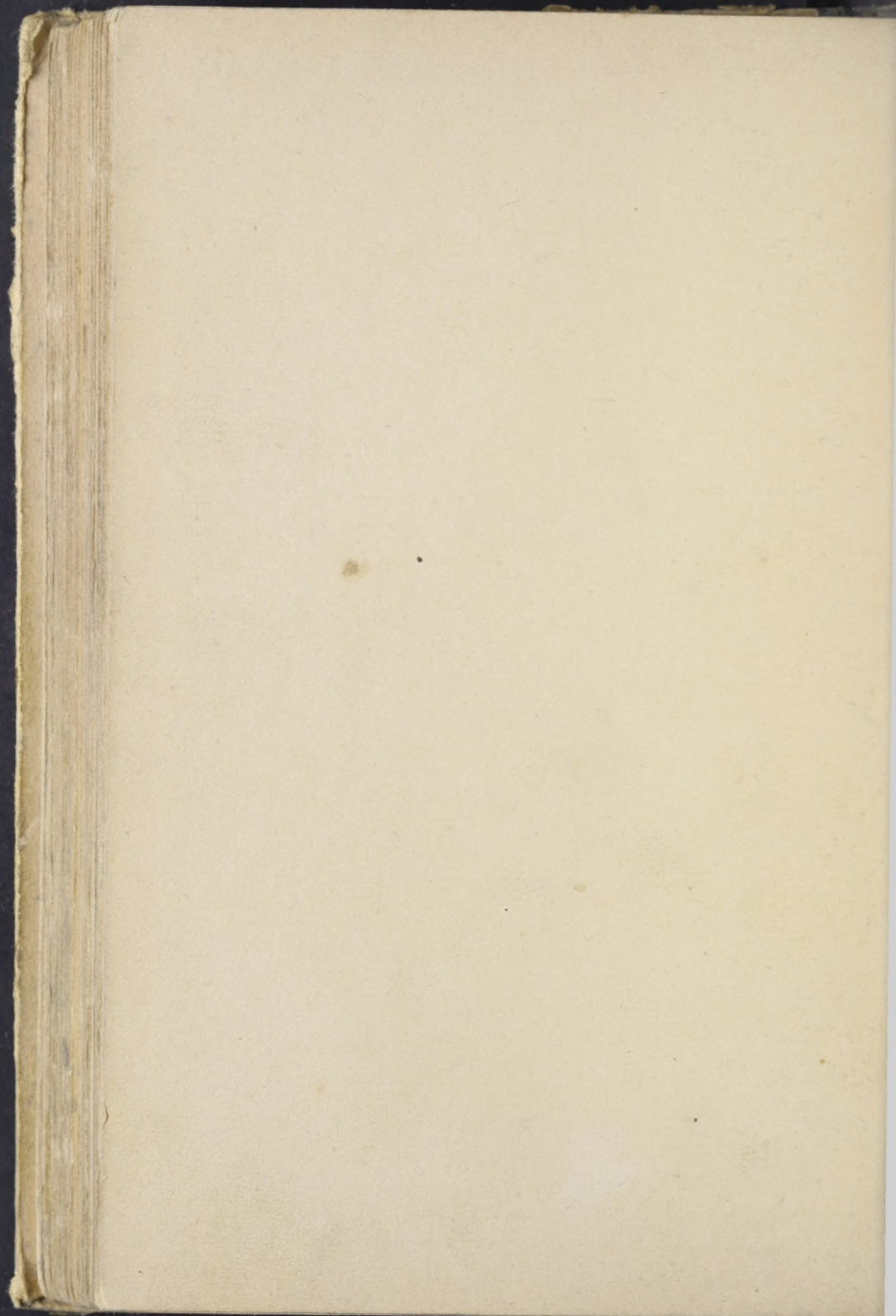
SPIS RZECZY.

	Str.
I. Żubry w puszczy	5
II. Nawodne mieszkanie	14
III. Gontyna	24
IV. Wieszcza	33
V. Zbóje	42
VI. Pod wodą	51
VII. Napad na pasiekę	60
VIII. Walka	69
IX. Burza	78
X. Gród Kraka	87
XI. Król Krak	96
XII. Leszek Krakowicz	105
XIII. Walka ze smokiem	113
XIV. Pogrzeb Leszka	122
XV. Czarownica Jagna	131
XVI. Podróż z czarownicą	140
XVII. Śmierć króla Kraka	149
XVIII. Wojna z Niemcami	158
XIX. Podjazd	167
XX. Napad nocny	177
XXI. Bitwa nocna	186
XXII. Odwrót	196
XXIII. Poselstwo Rytygierza	206
XXIV. Niemcy idą	217
XXV. Śmierć Wandy. — Zakończenie	225









Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021678071

Ant. Nowak
Kielce 3.04.89

-3000,-

1467467

